

TRZYMAJĄCA W NAPIĘCIU TAJEMNICZA HISTORIA.
TEN KTO ODGADNIE HASŁO ZDOBEDZIE FORTUNE!

EDGAR
WALLACE



ZAGADKA

S Z U L E R A

S Z U L E R A S Z U L
L E R A S Z U L
E R A S Z U L

DAVIDOS
sensacja

Edgar Wallace

Zagadka szulera

Stary szuler, który dorobił się pieniędzy ogrywając niedoświadczonych graczy w ruletkę, buduje w Londynie dom ze skarbcem, w którym składa wszystkie zgromadzone przez lata pieniądze.

Oprócz pieniędzy jego pasją są zagadki i wynalazki. Nie mając rodziny postanawia, iż pieniądze dostanie ten, kto rozwiąże przygotowany przez niego akrostych. W testamencie wskazuje kto ma prawo wziąć udział w wyścigu po fortunę i spróbować rozwikłać przygotowaną przez niego zagadkę. Jest to galeria jego dawnych współpracowników, którzy wabili niegdyś bogatych, niedoświadczonych graczy. W wyścigu udział biorą młody, przystojny Jimmy, piękna kobieta, która jest córką jednego z oszukanych, jak również niecny adwokat. Gra się rozpoczyna...



Schówek przy Lombard Street

Sir William Spedding z kancelarii adwokackiej Spedding, Mortimer i Larach w sposób niebudzący żadnych podejrzeń nabył nieruchomości przy Lombard Street. Po śmierci starszej pani, która mieszkała przy Market Harborough i która zupełnie nie ma związku z naszą opowieścią, posiadłość tę wystawiono na licytację i sprzedano zgodnie z przyjętym zwyczajem. William Spedding kupił ją za sto sześć tysięcy funtów. Kwota była dostatecznie wysoka, by wzbudzić zainteresowanie nie tylko wszystkich wieczornych gazet, lecz także licznych porannych.

Warto zwrócić uwagę, że plany budowy, dość niezwykle, zostały przejrane i zatwierdzone przez wydział budownictwa. Urzędujący tam inspektor był wprawdzie mocno zdumiony rozkładem pomieszczeń nowego gmachu, projekt odpowiadał jednak przepisom ustawy budowlanej obowiązującej w Londynie i nic nie można było zarzucić wyglądowi zewnętrznemu budynku. Zarys fasady został tak przemyślany, że można było przejść obok niej kilka razy w ciągu dnia i nie zauważyć niczego niezwyklego. System wentylacji i oświetlenia również okazał się bez zarzutu, toteż inspektor bez mrugnięcia okiem zatwierdził przedstawiony plan.

– Nie rozumiem tylko, panie Spedding – rzekł, wskazując palcem błękitny punkt na planie – w jaki

sposób pański klient zapewni sobie tu bodaj odrobinę prywatności. Jest westybul i jeden ogromny hall. A gdzie biura? Co znaczy ten olbrzymi skarbiec na środku hallu? I gdzie będą pracować urzędnicy? Bo przypuszczam, że pański klient zatrudni jakichś urzędników? Na Boga! Ten człowiek nie będzie miał ani minuty spokoju.

– Będzie miał tyle spokoju, ile zechce – odparł Spedding, a na jego ustach pojawił się przebiegły uśmiech.

– A piwnice? Sądziłem, że najważniejsze będą tu magazyny w podziemiach. – Inspektor stuknął palcem w róg rozłożonego planu, na którym figurował napis „Plan budowy nowego magazynu”.

– Jest przecież skarbiec. – Spedding znów się uśmiechnął.

William Spedding, przebywający już, niestety, na tamtym świecie – umarł nagłą śmiercią, o czym opowiemy później – był niezwykle kulturalnym wysokim mężczyzną. W towarzystwie zachowywał się z niezwykłą gracją. Palił drogie cygara, których koniuszki ścinał złotym obcinaczem, i zawsze potrafił przywołać na twarz uśmiech świadczący o zadowoleniu z życia.

Aby nie rozwodzić się nad zbytecznymi szczegółami, powiemy od razu, że długo poszukiwano wykonawcy nowego magazynu. W końcu wybrano Potham & Holoway, firmę, która przedstawiła najwyższy kosztorys. Nic w tym nie było podejrzanego, w ogłoszeniu wyraźnie zaznaczono, że o wyborze oferty niekoniecznie

rozstrzygać będzie niska cena.

– Mojemu klientowi zależy przede wszystkim na doskonałym wykonaniu. Musi to być gmach, który przetrzyma najrozmaitsze wstrząsy. – Spedding rzucił szybkie spojrzenie na przedsiębiorcę budowlanego siedzącego naprzeciw niego przy biurku. – Gmach, który oprze się nawet eksplozji dynamitu.

Przedsiębiorca przytaknął.

– Przeczytał pan warunki – mówił dalej adwokat, obcinając nowe cygaro. – Wszystko, co się tyczy postumentu... jest zrozumiałe...? – Przerwał i spojrzał na rozmówcę.

– Wszystko zostało jasno wyrażone – odparł ten. Wyjął ze swej teki plik papierów i odczytał: – „Fundament z betonu głęboki na dwadzieścia stóp... Postument z układanych na przemian płyt granitu i stali... Pośrodku nisza osłonięta stalą, dziesięć na pięć cali, na połowę głębokości postumentu”.

Spedding kiwał potakująco głową.

– Postument to najważniejsza część całej budowy. Bardzo istotna jest też nisza opancerzona stalą, nie znam wyrażeń technicznych, którą pańscy ludzie będą musieli wymurować w najbliższych dniach. Ale skarbiec, który ma zostać umieszczony pięćdziesiąt stóp nad poziomem podłogi... Tak, skarbiec jest już gotowy.

Cała armia robotników, używając tego obrazowego określenia przybyła na Lombard Street i wyburzyła starą zabudowę. Zniszczono budynki, wszystko pozrywano i

zrównano z ziemią, aż cała ulica stała się szara od tumanów pyłu. Wnętrza starych zacisznych pokoi o dębowej poplamionej posadzce obnażono i bezwstydnie wystawiono na widok publiczny. Ciężkie brudne taczki zagradzały przejście, a nocą nad tymi zwaliskami płonęły jaskrawe światła.

Mężczyźni z obnażonymi ramionami pocili się i kopali, dniem i nocą. Pewnego ranka Spedding zjawił się na ulicy z jedwabnym parasolem rozpiętym nad głową, gdyż deszcz siąpił bez przerwy, i w imieniu swojego klienta wyraził zadowolenie z szybko postępującej pracy. Stał na śliskiej desce służącej za pomost, a robotnicy, podnieceni obecnością przedstawiciela firmy – przewodnika Speddinga – w gorączkowym pośpiechu biegali tam i z powrotem.

– Nic sobie nie robią z deszczu. – Adwokat wskazał brodą w kierunku harujących robotników.

Przedstawiciel firmy potrząsnął głową.

– Tylko za dodatkową opłatą – objaśnił lakonicznie. – Co z góry zostało uwzględnione w kosztorysie – dodał szybko, usprawiedliwiając tę hojność.

I tak, w deszczu i w słońcu, dniem i nocą, wznoszono nowy gmach.

Pewnego razu, kiedy akurat pracował nocny oddział robotników, w pobliże placu budowy podjechał opuszczoną ulicą elegancki powóz. Woźnica, przystanąwszy energicznie, pomógł wysiąść z ciemnego wnętrza drżącemu starcowi o bladej zmęczonej twarzy.

Starzec pokazał kierownikowi budowy upoważnienie i pozwolono mu wejść na plac przez prowizoryczną bramę. Ostrożnie stąpał pośród gruzu zawałającego ogrodzoną przestrzeń. O nic nie pytał, nie udzielał też odpowiedzi na pytania zdumionego kierownika, który nie mógł zrozumieć, co szczególnego może być w placu budowy, że stary człowiek zerwał się o trzeciej w nocy w chłodny wiosenny poranek i przyjechał go oglądać.

Starzec przemówił tylko raz.

– W którym miejscu stanie postument? – spytał ostrym, skrzeczącym głosem, w którym dało się słyszeć londyński akcent.

A gdy kierownik wskazał miejsce, gdzie robotnicy lali właśnie fundamenty, jego usta rozchyliły się w złośliwym uśmiechu, odsłaniając zęby zbyt regularne i zbyt białe jak na człowieka tak wiekowego. Nic więcej nie powiedziawszy, szczelniej otulił chudą szyję futrzanym kołnierzem i zmęczonym krokiem wrócił do powozu.

Była to jedyna wizyta klienta Speddinga na placu budowy – jeśli w ogóle był to klient Speddinga. Tyle wiadomo, że nie zjawił się więcej przy Lombard Street przed ukończeniem gmachu – ani w chwili wstawiania ostatniej szyby w wysokiej złoconej kopule, ani podczas osadzania ostatniej płyty marmuru we wspaniałych ścianach ogromnego hallu. Ani nawet wtedy, gdy przyszedł adwokat i w milczeniu przyglądał się wyniosłemu postumentowi z granitu wznoszącemu się pośród rusztowania smukłych stalowych belek

podtrzymujących kręte schody, które wiodły do gigantycznego skarbcza górującego wśród wolnej przestrzeni.

Adwokat nie był sam, obok niego stał przedsiębiorca budowlany i w trwożnym milczeniu oglądał ogrom dzieła.

– Skończone! – rzekł, a jego głos odbił się echem w posępnym wnętrzu.

Spedding nie odpowiedział.

– Pański klient może już jutro rozpocząć urzędowanie, jeśli tylko ma ochotę.

Tym *razem* adwokat odwrócił się do przedsiębiorcy.

– Jeszcze nie poczynił odpowiednich przygotowań – odezwał się cicho, jakby się obawiał rozbudzić echo. A potem skierował się ku ogromnym, otwartym na oścież stalowym drzwiom hallu.

Przedsiębiorca poszedł za nim. W westybulu Spedding wyjął z kieszeni dwa klucze. Ciężkie drzwi zachybotwały cicho. Adwokat zamknął je na klucz. Obaj mężczyźni przez westybul wyszli na ożywioną ulicę i Spedding zamknął drzwi zewnętrzne.

– Mój klient prosił, bym panu podziękował za szybkie wykonanie pracy – powiedział adwokat.

Przedsiębiorca zatarł ręce z pewnym zadowoleniem.

– Ukończył pan na dwa dni przed umówionym terminem – dodał Spedding.

Budowniczy, który poza swoim zawodem był człowiekiem mało pomysłowym, powtórzył:

– Tak, pana klient już jutro może otworzyć interes.

Adwokat się uśmiechnął.

– Mój klient, panie Potham, nie otworzy go prawdopodobnie nawet za dziesięć lat. Prawdopodobnie nie otworzy go... przed śmiercią, panie Potham.

Dom przy Terrington Square

Człowiek, który skręcił z Seymour Street na Terrington Square, spokojnie minął posterunkowego, rzuciwszy mu krótkie „dobranoc”. Później posterunkowy opisał przechodnia jako mężczyznę ze spiczastą bródką o cudzoziemskim wyglądem. Pod lekką narzutką miał prawdopodobnie strój wieczorowy, gdyż policjant zauważył trzewiki z pojedynczą czarną kokardką, a biała jedwabna chustka na szyi i cylinder tylko to przypuszczenie potwierdzały. Mężczyzna przeszedł na drugą stronę ulicy i zniknął za rogiem ogrodu, który, otoczony żelaznymi sztachetami, zajmował środek skweru. Jakaś spóźniona dorożka przejechała ulicą, a tuż za nią auto rozwożące gazety, zmierzające w kierunku Paddington. Kilka sekund później skwer opustoszał – na całym placu nie było widać nikogo oprócz posterunkowego. Ciemne ponure domy otaczające skwer wyglądały na pogrążone w głębokim śnie – wszędzie opuszczone story, zamknięte okiennice i milczenie.

Przechodzień powolnym krokiem szedł przed siebie. Przystanął dopiero przed numerem 43, szybkim spojrzeniem objął ulicę, a rozejrzawszy się, pokonał trzy schodki znajdujące się przed domem. Przez chwilę manipulował przy zamku, zanim udało mu się wsunąć klucz, po czym przekręcił go i wszedł. Dostawszy się do domu, znów stał przez moment, następnie wyjął z kieszeni

lampkę elektryczną i zapalił ją. Nie wyglądał na zainteresowanego wyglądem wielkiego westybulu. Skąpą smugę światła skierował na wewnętrzną stronę drzwi. Dwa cienkie druciki i mała cewka przytwierdzone do poprzecznej deski w futrynie wcale go nie zdziwiły. Jeden z drutów zerwał się przy otwieraniu drzwi.

– Alarm ostrzegawczy na wypadek włamania – mruknął z uznaniem. – Wszystkie okna zabezpieczone w ten sam sposób. Bóg raczy wiedzieć, jakie jeszcze pułapki zastawiono na niedoświadczonych włamywaczy.

Mężczyzna skierował odpowiednio światło lampki i obejrzał cały hall. Jego uwagę zwrócił ciężki perski dywan u stóp krętych schodów. Wyjął z kieszeni składaną laskę, rozłożył ją, umocnił, by się nie zamknęła z powrotem, po czym ostrożnie podszedł do dywanu. Podniósł laską jeden jego róg, a to, co zobaczył, widocznie go zadowoliło, gdyż cofnął się ku drzwiom, gdzie we wgłębieniu stała mała figura z marmuru. Musiał wyteńczyć wszystkie siły, by ją podnieść. Ostatecznie, chwiejąc się na nogach, zdołał postawić figurę na podłodze. Następnie, tocząc ją na okrągłej podstawie, jak tragarze kolejowi toczą bańki z mlekiem, przysunął ją aż do rogu dywanu. Pod mocnym jego pchnięciem figura zatoczyła się na środek kobierca, zatrzymała na sekundę, zachybotła i w okamgnieniu zniknęła. Tam, gdzie przed chwilą leżał dywan, teraz widniała czarna dziura.

Mężczyzna czekał. Skądś z głębi dobiegł go głośny trzask, a dywan znów się wyłonił i zakrył ziejącą dziurę.

Gość, wcale niewyprowadzony z równowagi, skinął głową, pochwalając niejako przezorność gospodarza.

– Nie sądzę, by nauczył się jeszcze nowych sztuczek – mruknął z żalem. – Taki już jest stary.

Następnie mężczyzna zbadał kolejno wszystkie ściany. Były pokryte obrazami i sztychami.

– W nowocześnie urządzonej domu nie powinien tego umieszczać – znów mruknął, po czym rozpedziwszy się, przeskoczył dywan i zatrzymał się na pierwszym schodku. Przez chwilę lustrował zbroję stojącą koło poręczy schodów. – Pancierz z epoki Elżbiety, bagnet z kolei hiszpański – westchnął z politowaniem. – To nie przynosi zaszczytu znawcy i kolekcjonerowi.

Mężczyzna podniósł lampkę i jeszcze raz dokładnie, od dołu do góry, obejrzał groźną figurę z podniesionym toporem.

– Nie podoba mi się ten topór – wymamrotał, odsuwając się nieco. Wtem zobaczył cienki drucik rozpięty nad schodami. Ostrożnie go przeskoczył i stanął obok stalowego rycerza. Zdjął płaszcz, wyciągnął ramię i chwycił figurę za rękę, po czym szybkim ruchem nogi przerwał drut.

Mężczyzna oczekiwał, że topór spadnie. Ale na to, że z chwilą przerwania drutu postać odwróci się w prawą stronę i topór ze świstem zatoczy półkole, nie był przygotowany. Usiłował powstrzymać opadające ramię rycerza, ale tak samo mógłby próbować zatrzymać koło rozpedzonej maszyny. Jego ręka została gwałtownie

odrzucona, a lśniące ostrze topora o mały włos a trafiłoby go w głowę. Chwilę później z syczącym odgłosem ramię zajęło poprzednią pozycję i nieruchomo zawisło w powietrzu.

Gość zwilżył wargi językiem i westchnął.

– To całkiem nowa sztuczka, całkiem nowa. – W jego głosie brzmiał nieklamany podziw. Podniósł upuszczony płaszcz, przerzucił go przez ramię i po pokonaniu kilkunastu schodów znalazł się na zakręcie klatki schodowej. Przyjrząwszy się stojącej tu chińskiej szafeczce, nie zauważył niczego niepokojącego – biały promień lampki oświetlił kąty i szczeliny, ale niczego nie odsłonił.

Mężczyzna potrząsnął firankami przy oknach i nasłuchiwał z zapartym tchem.

– Tu nie – stwierdził stanowczo. – Stary nie poważyłby się na to. Węże pełzające swobodnie po domu rano należałoby schwytać. A to nie byłoby proste. – Rozejrzał się dookoła. Za zakrętem klatki schodowej widać było drzwi prowadzące do pokoi.

Pokój, którego okno, według wyliczeń mężczyzny, wychodziło na ulicę, nie interesował go. Przez chwilę wpatrywał się w drzwi do drugiego pomieszczenia, przesłonięte ciężką kotarą. W końcu jednak postąpił ku trzecim i starannie owinąwszy klamkę swoją jedwabną chustką, nacisnął ją. Drzwi się poddały. Jeszcze chwileczkę stał niezdecydowany, aż nagłym szarpnięciem otworzył je na oścież i odskoczył. Tylko przez jedną

sekundę wewnątrz pokoju było pogrążone w mroku rozświetlonym jedynie migotliwymi błyskami, które zdradzały ogień płonący na kominku. Już w następnej sekundzie gość usłyszał pstryknięcie i oślepiająca jasność zalała wewnątrz.

Mężczyzna czekał w ciemności klatki schodowej. Niebawem złamany starczy głos rzekł niechętnie:

– Proszę.

Gość wciąż jeszcze stał w mroku i czekał.

– Wejdźże, Jimmy, przecież cię znam.

Mężczyzna ostrożnie przestąpił próg. Wszedł do jasno oświetlonego pokoju i stanął przed starym człowiekiem, który w watowanym szlafroku siedział przy kominku w głębokim fotelu. Starzec o bladej twarzy i szyderczym uśmiechu trzymał na kolanach całą masę papierów. Gość pozdrowił go życzliwym skinieniem głowy, a potem odezwał się stanowczym głosem:

– Jeśli się dobrze orientuję, ten pokój znajduje się nad garderobą. Gdybyś mnie tam stracił przy użyciu swych doskonałych sztuczek, Reale, zleciałbym prosto na twoją cenną porcelanę.

Poza przelotnym błyskiem zaniepokojenia na wspomnienie chińskiej porcelany, twarz gospodarza zachowała niezakłócony spokój, a jego oczy ani na moment nie przestały się wpatrywać w przybyłego. Szyderczy uśmiech wrócił na usta starca i gestem wskazał on gościowi miejsce naprzeciw siebie.

Jimmy końcem laski odwrócił poduszkę na fotelu i

usiadł.

– Podejrzliwy? – Uśmiech starego zamienił się w cichy chichot. – Podejrzliwy wobec starego przyjaciela? Jimmy, nie ufasz swemu staremu szefowi? He?

Jimmy przez chwilę nie dawał odpowiedzi, po czym odparł:

– Staruszk, jesteś istnym cudem, daję słowo. Czy ten rycerz w zbroi to także twój pomysł?

Stary potrząsnął głową z wyrazem żalu.

– Niezupełnie mój, Jimmy. Bo widzisz, to działa dzięki elektryczności, a ja nie bardzo się na niej znam. Nigdy tego nie stosowałem, z wyjątkiem...

– Z wyjątkiem? – powtórzył Jimmy zachęcająco.

– Och, ten stół do ruletki był moim pomysłem, ale tam był magnetyzm. Jeśli dobrze rozumiem, to coś innego niż elektryczność.

Jimmy przytaknął.

– Szczęśliwie ominąłeś pułapkę? – spytał stary, a w jego oczach zatlił się błysk podziwu.

– Tak. Przeskoczyłem.

Stary skinął głową z uznaniem.

– Zawsze byłeś bystry w tym sprawach. Znałem mnóstwo młodzieniaszków, którym nie przyszłoby na myśl przeskoczenie dywanu. Taki Connor, albo ta Świnia, Massey, po prostu poszliby przed siebie. Tylko, czy czegoś nie uszkodziłeś? – spytał nagle wzburzony. – Słyszałem jakiś trzask, ale miałem nadzieję, że to ty runąłeś w dół.

Jimmy pomyślał o marmurowej figurze, która sprawiała wrażenie cennego przedmiotu.

– Niczego nie uszkodziłem – skłamał swobodnie, a z twarzy starego zniknął wyraz zaniepokojenia.

Siedzieli obaj naprzeciw siebie przy kominku i przez całe dziesięć minut żaden się nie odzywał. Następnie Jimmy pochylił się ku staremu i spytał spokojnie:

– Reale, ile jesteś wart?

Niezaniepokojony tym wstępnym pytaniem, a nawet zdradzający żywe zadowolenie, stary odparł bez wahania:

– Dwa miliony, Jimmy, i coś tam jeszcze. Mam w głowie te wszystkie cyfry. Licząc po cenie należytej, wystrój i wszystkie rzeczy w domu, będzie dwa miliony i czterdzieści tysięcy funtów. A w gotówce, w czystej gotówce, że wystarczy wyciągnąć rękę, by ją podjąć, tak, Jimmy, dokładnie milion i trzy czwarte. – Oparł się wygodniej na poduszkach fotela i ze złośliwym uśmiechem triumfu popatrzył na gościa.

Jimmy wyjął z kieszeni papierosa i zapaliwszy go, uważnie przyglądał się dogasającej zapałce.

– Milion i trzy czwarte – powtórzył spokojnie. – Mnóstwo pieniędzy...

Stary Reale zachichotał cicho.

– A wszystko wyciągnięte z kieszeni ufających obywateli z pomocą moją... Connora oraz Massey'a...

– Massey jest świnią! – przerwał mu z wściekłością stary.

Jimmy puszczał kłęby dymu.

– W pocie czoła i trudzie wyrwane głupim młodzieniaszkom, którzy zaufali tygrysowi i grali o wysokie stawki w niezrównanej świątyni szczęścia pana Realea w Kairze i filiach w Aleksandrii, Port Saidzie oraz Suezie.

Postać w watowanym szlafroku wprost wiła się w podrygach cichej radości.

– Ilu ludzi, Reale, zniszczyłeś? – spytał Jimmy.

– Bóg raczy wiedzieć! – wesoło odrzekł stary. – Na pewno wiem tylko o trzech: dwóch zmarło już dawno, jeden dopiero co. Tamci dwaj nie zostawili ani żony, ani dzieci, trzeci ma córkę.

Jimmy na wpół zmrużonymi oczami przyglądał się swemu gospodarzowi.

– Skąd ta troska o rodziny? Chyba nie w zamiarze... ?

Stary milczał, wyczekując niejako dalszego pytania, po czym energicznie kiwnął głową, a uśmiech na jego twarzy stał się wyrazistszy.

– Jimmy, jak ty umiesz dobierać słowa! Zawsze potrafiłeś. W ten sposób przyciągałeś swoich arystokratycznych koleżków, by spróbowali szczęścia u mnie. Troska! Co to ma znaczyć? Że się troszczę o nich? He? Tak, to właśnie... Troszczę się o nich. I mam zamiar... Jak to się mówi? Dopiero co miałem to słowo na końcu języka!

– Odszkodowanie? – podsunął Jimmy.

Reale skinął głową uradowany.

– W jaki sposób?

– Nie zadawaj pytań! – Stary podniósł głos. – Ja nie pytam, dlaczego nocą wtargnąłeś do mojego domu, jakkolwiek dobrze wiem, że byłeś tu już wcześniej i majstrowałeś coś koło licznika. Widziałem cię i od tego czasu czekałem na ciebie.

– Wiedziałem o tym – spokojnie odparł Jimmy, małym palcem strzepując popiół z papierosa – i myślałem, że zechcesz... – Nagle urwał, nasłuchując. – Ktoś jest w domu oprócz nas? – spytał szybko, ale spojrzawszy na starego, od razu się uspokoił.

– Nikt – niecierpliwie rzucił Reale. – Mam przecież osobny dom dla służby. Przychodzą dopiero rano, a ja słyszę wtedy dzwonek alarmowy. – Zachichotał, ale nagle na jego twarzy pojawił się niepokój. – Och, ten sygnał alarmowy! – szepnął. – Jimmy, zerwałeś druty, wchodząc tutaj. Słyszałem sygnał. A teraz, chociażby ktoś wszedł do domu, nie wiedzielibyśmy wcale...

Nasłuchiwali obaj. Z hallu dobiegł jakiś trzask, a następnie głuchy odgłos, jakby coś upadło.

– Przeskoczył dywan – zauważył Jimmy i zgasił światło.

Znaleźli się w całkowitej ciemności. Obydwaj usłyszeli skradające się kroki na schodach. Czekali. Przez szczelinę drzwi wniknęła smuga światła, a do ich uszu dobiegł ciężki oddech człowieka. Jimmy przechylił się i szepnął coś staremu do ucha. A gdy po chwili naciśnięto klamkę i drzwi się otworzyły, Jimmy włączył światło.

Intruz był małym, przysadzistym człowiekiem o

szerokiej czerwonej twarzy. Miał na sobie kraciaste ubranie w jaskrawych kolorach, a sztywny zsunięty na tył głowy kapelusz swą wąską krawędzią jeszcze bardziej uwydatniał wielkość twarzy. Przygodny obserwator określiłby intruza jako prostego, dobrodusznego człowieka o nieco szorstkim sposobie bycia, lecz niepozbawionego uczucia. Mądry fizjonomista nie dałby się jednak zwieść i od razu poznałby w nim okrutne zwierzę, niezdolne do jakiegokolwiek litości.

Intruz cofnął się, mrugając oczami, oślepiiony nagłą łuną światła. Jego ręka ścisnęła pistolet, skierowany w stronę obu mężczyzn.

– Ręce do góry! – warknął. – Ręce do góry!

Żaden z mężczyzn nie posłuchał rozkazu. Jimmy wyglądał na rozbawionego, o czym świadczyła jego mina, gdy bladymi smukłymi palcami gładził swą krótką bródkę. Stary natomiast był uosobieniem wściekłości. Odwrócił się do Jimmy ego i zaskrzeczał:

– A co, Jimmy, czy nie mówiłem? Czy nie mówiłem zawsze? Massey jest świnią i zachowuje się jak Świnia. Pfuj!

– Ręce do góry! – syknął człowiek z pistoletem. – Ręce do góry, powtarzam, albo was obu sprzątnę.

– Jimmy, co za szkoda, że on nie wszedł pierwszy! – Stary załamał ręce ze zmartwienia. – Przypuśćmy, że przeskoczyłby przez dywan, w końcu każdy marny złodziejasek potrafiłby się domyślić... Czy jednak sądzisz, że dałby sobie radę z rycerzem w zbroi? Mam

nadzieję, że ustawiłeś go z powrotem jak należy!

– Massey, odłóż rewolwer – rzekł chłodno Jimmy. – Chyba że musisz mieć w ręce jakąś zabawkę. Stary Reale nie na dość siły na gimnastykę, jaką proponujesz, a ja nie mam na nią ochoty.

Przybysz pienieł się z wściekłości.

– Na Boga, jeśli macie zamiar spłatać mi jakiegoś łajdackiego figla, to obu was...

– Och, jestem tu gościem, podobnie jak ty – odparł Jimmy i wykonał lekceważący ruch ręką. – A co do tych łajdackich figli, to mogłem cię zastrzelić, zanim wszedłeś do pokoju.

Massey się nachmurzył. Wciąż obracał w ręce rewolwer.

– Bezpiecznik znajduje się po lewej stronie lufy – ciągnął Jimmy, wskazując na pistolet. – Odsuń go do góry. W każdej chwili możesz go znów opuścić kciukiem, jeśli naprawdę będziesz miał ochotę nas zastrzelić. Widzisz, w moich oczach nie jesteś wcale materiałem na dobrego włamywacza. Oddychasz nazbyt głośno i w ogóle jesteś niezgrabny. Słyszałem przecież, jak otwierałeś drzwi na dole.

Chłodna pogarda jego słów okryła twarz przybyłego jeszcze silniejszym rumieńcem.

– Och, wiadomo, ty jesteś najzręczniejszy! – wycedził.

Reale, odzyskawszy w tym czasie zimną krew, wskazał mu krzesło.

– Proszę siadać, Massey – warknął. – Usiądź, mój drogi, i opowiedz, co słychać nowego. Właśnie rozmawialiśmy o tobie z Jimmym. Tak, ja i Jimmy mówiliśmy o tobie. Mówiliśmy, jaki z ciebie kawalarz. – Głos starego stał się piskliwy. – Jaką świnią, jakim opasłym wstrętnym wieprzem jesteś, Massey.

Reale padł na oparcie fotela całkiem wyczerpany wybuchem.

– Słuchaj pan, szefie... – zaczął Massey. Położył rewolwer na stole, a czerwoną ręką żywo gestykulował, jakby podkreślał każde swoje słowo. – Nie potrzebujemy się kłócić. Byłem dobrym przyjacielem, tak samo jak Jimmy. Przez całe lata załatwialiśmy dla ciebie tę brudną robotę, ja i Jimmy. Jimmy wie o tym dobrze. – Spojrzał na Jimmy ego z przy pochlebnym uśmiechem. – A teraz chcielibyśmy dostać okruchy, które nam się należą, bo przecież coś nam się należy.

Stary Reale spojrział na Jimmyego spod krzaczastych brwi. Ten w zadumie patrzył na ogień w kominku.

– Więc to ułożone, he? Plan z góry obmyślony. Pierwszy przychodzi Jimmy, jako sprytniejszy, i ułatwia drogę temu drugiemu.

Jimmy przecząco potrząsnął głową.

– Domysł fałszywy! – rzucił. Następnie odwrócił głowę i uważnym spojrzeniem zmierzył Massey'a od stóp do głów. Chłodna wzgarda malująca się w jego oczach była aż nadto widoczna. – Spójrz na niego – rzekł. – Przyjrzyj się naszemu kochanemu Masseyowi! Czy

wygląda na takiego, z którym wdawałbym się w kunszachty? – Zdawało się, że ogarnia go chłodna wściekłość. – Czysty przypadek, że się tu spotkaliśmy. – Wstał, podszedł do Massey'a i zatopił w nim spojrzenie.

W spojrzeniu tym było coś takiego, że ręka Massey'a powędrowała do rewolweru.

– Massey, psie – zaczął Jimmy, lecz nagle się zaśmiał i przeszedł w drugi kąt pokoju.

Stała tam flaszką whisky i syfon z wodą sodową. Jimmy nalał sobie sporą porcję alkoholu i dopełnił wodą. Podniósł szklanekę pod światło i spojrzął na starego. W jego twarzy dostrzegł wyraz, który już raz u niego widział. Wypił whisky i wypowiedział myśl Reale'a.

– Na nic to się nie zda, Reale. Musisz sprawę załatwić z Massey'em, ale nie w taki sposób, jak myślisz. Moglibyśmy go usunąć, tyle że musielibyśmy również usunąć samych siebie... – Zamilkł.

– I Connora – mruknął Massey. – A Connor gorszy ode mnie. Ja jestem człowiekiem rozsądnym, Reale, zadowolę się przyzwoitym udziałem...

– Doprawdy? Zadowolisz się? – Stary znów uśmiechnął się jadowniczo. – Twój udział wynosi dokładnie milion i trzy czwarte w gotówce, a trochę ponad dwa miliony wszystkiego razem. – Urwał, by śledzić wrażenie swych słów. Spokój Jimmy'ego go irytował, obojętność Massey'a oburzała. W tym jest udział Jimmy'ego i udział Connora. Oraz udział panny Kathleen Kent. – Tym razem efekt był lepszy. Obojętna twarz Jimmy'ego lekko się

ożywiła.

– Kent? – spytał szybko. – Czy nie tak nazywał się ten...?

Stary Reale zachichotał.

– Ten sam, tak... Ten sam, który wszedł z zamiarem przegrania dziesiątki, a przegrał pięć tysięcy. I który następnego wieczoru przyszedł się odegrać i stracił wszystko, co miał. Tak, to ten sam! – Zatarł chude ręce, jak gdyby przypomniał sobie coś przyjemnego. – Jimmy, otwórz tamtą szafę. – Wskazał niemodną szafę z orzechowego drzewa, stojącą w pobliżu drzwi. – Widzisz tam coś, co jest podobne do małego wiatraka?

Jimmy zobaczył niewielki przedmiot z tektury przedstawiający niewątpliwie miniaturowy model. Wyjął go ostrożnie i postawił przed starym na stole. Reale od niechcienia dotknął zabawki. Małym palcem wprowadził w ruch kółko, a maleńkie tekturowe drążki zaczęły się przesuwać tam i z powrotem, gdy drewniane kółko obracały się coraz szybciej.

– Oto, co zrobiłem z jego pieniędzmi. Wynalazłem nową maszynę, która porusza się sama, małe perpetuum mobile. Możesz się szyderczo uśmiechać, Massey, a jednak to zrobiłem. Pięć lat pracy i ćwierć miliona – tyle kosztował ten mały model. Nigdy nie odkryłem tajemnicy. Skonstruowałem niejedną maszynę, która poruszała się przez kilka godzin z rzędu, gdy się ją pchnęło, ale zawsze potrzeba było tego pchnięcia. Całe życie szalałem na punkcie wynalazków i rozmaitych

zagadek. Przypominacie sobie ten stół z Suezem? – Chytrym spojrzeniem objął obu mężczyzn.

Massey z coraz większym zniecierpliwieniem słuchał tych wszystkich wspomnień. Przyszedł tu z określonym zamiarem, wziął na siebie wielkie ryzyko i dobrze o tym pamiętał. Zdecydował się więc przerwać staremu.

– Niech diabli wezmą twoje zagadki, Reale. Teraz chodzi o mnie. Jimmy nie wchodzi tu w rachubę. Co znaczy ta cała głupia gadanina o blisko dwóch milionach dla nas i dziewczyny? Kiedy zwinąłeś ten swój interes w Egipcie, powiedziałeś, że w swoim czasie każdy z nas dostanie, co mu się należy. Ten czas już nadszedł.

– Niemal, niemal nadszedł. – Na trupią twarz Realea wypląnął zły uśmiech. – Tak, niemal już nadszedł. Niepotrzebnie się jednak trudziliście, przychodząc do mnie. Mój adwokat ma wasze adresy. Ja już dobiegam do końca – oświadczył pogodnie. – Za pół roku nie będę żył, z całą pewnością. A wtedy wy, moje zuchy, dostaniecie pieniądze – dodał powoli, akcentując każde słowo. – Ty, Jimmy, albo Massey, albo Connor, albo ta młoda dama. Massey, powiadasz, że nie lubisz zagadek. W takim razie masz kiepskie widoki. Jimmy jest najsprytniejszy i zdaje mi się, że to on zgarnie pieniądze. Choć Connor jest przebiegły i może je wydrzeć Jimmyemu. A może młoda dama ma największe szanse? Kobiety potrafią rozwiązywać zagadki.

– Co to ma znaczyć, do stu diabłów? – ryknął Massey, zrywając się z krzesła.

– Siadaj! – warknął Jimmy, a Massey posłuchał.

– Z tymi dwoma milionami łączy się zagadka – mówił dalej Reale, a jego skrzeczący głos o twardym londyńskim akcencie wprost piał z radości na widok zdumionej twarzy Massey'a i zsuniętych brwi Jimmy'ego. – Kto rozwiąże zagadkę, weźmie pieniądze.

Gdyby starzec nie był tak rozbawiony, niewątpliwie zauważyłby, że brutalna twarz Massey'a raptownie się zmieniła, i to by go ostrzegło.

– Postanowiłem w testamencie – ciągnął jednak podniecony – zmierzyć wyzyskiwaczy z wyzyskanymi. Wabiące szulerskie ptaki, a byliście nimi wy dwaj, ze zwabionymi gołębiami. Dwa najthuciejsze gołębie dawno już nie żyją, trzeci umarł ostatnio. Ale ma córkę. Zobaczymy, co ona potrafi. Gdy umrę...

– Więc teraz! – ryknął Massey, przechylił się i zadał staremu śmiertelny cios.

Jimmy zerwał się na równe nogi. Ujrzał strugę krwi i nóż w ręce Massey'a. Sięgnął do kieszeni, ale Massey trzymał już rewolwer skierowany w jego stronę. Twarz rzezimieszka wyglądała strasznie.

– Ręce do góry! Inaczej, klnę się na Boga, strzelę!

Jimmy podniósł ręce.

– On ma tu gdzieś schowane pieniądze! – wycedził Massey, ciężko sapiąc. – Gdzieś w domu.

– Oszalałeś. – W głosie Jimmy'ego dźwięczała pogarda. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo siedział i drwił ze mnie. – Massey rzucił

nienawistne spojrzenie na nieruchomą postać na podłodze.
– Nie przyszedłem tu, by słuchać jego bajdurzenia o zagadkach. Sam sobie winien. – Cofnął się do stołu, na którym stała taca z napojami, i wypił pół szklanki nierozcieńczonej whisky. – Obaj jesteśmy w to zamieszani, Jimmy – podkreślił, wciąż stojąc naprzeciw niego z wymierzonym rewolwerem. – Możesz opuścić ręce, ale bez żadnych sztuczek. Daj mi broń.

Jimmy wyjął rewolwer z kieszeni i podał tamtemu, rękojeścią zwróconą ku przodowi. Dopiero wówczas Massey pochylił się nad starcem i przeszukał jego kieszenie.

– Są klucze... Ty zostajesz – oświadczył, a następnie wyszedł z pokoju.

Jimmy usłyszał skrzypienie klucza przekręcanego w zamku i zrozumiał, że jest więźniem. Pochylił się nad starcem, który leżał bez ruchu, ujął go za rękę i wyczuł słabiutkie tętno. Przez zaciśnięte zęby wlał mu trochę whisky, a po jakiejś minucie Reale otworzył oczy.

– Jimmy! – szepnął, lecz zaraz sobie przypomniał i jęknął: – Gdzie Massey?

Nie było potrzeby o to pytać, ciężkie kroki Massey'a głucho dudniły nad ich głowami.

– Szuka pieniędzy? – z trudem wyszeptał stary, a po jego twarzy przemknęło coś w rodzaju uśmiechu. – Kasa ogniotrwała jest na piętrze – wymamrotał i znów się uśmiechnął. – Wziął klucze? – Wzrok starego błędził po pokoju, aż zatrzymał się na przedmiocie wyglądającym na

tablicę rozdzielczą. – Czy widzisz rączkę oznaczoną cyfrą siedem? – szepnął.

Jimmy skinął głową.

– Opuść ją, kochany, proszę. – Jego głos zamierał. – To mój nowy pomysł, przeczytałem w jednej książce... Opuść ją.

– Po co?

– Zrób, co mówię – wyszeptały blade wargi umierającego. Jimmy podszedł do tablicy i opuścił umieszczoną osobno rączkę. Równocześnie dał się słyszeć na piętrze ciężki upadek, od którego zadrżał sufit, po czym nastąpiła cisza.

– Co to było? – spytał surowo Jimmy.

Umierający się uśmiechnął.

– Massey! – wyszeptały jego usta.

* * *

Pół godziny później Jimmy opuścił dom starca. W kieszeni jego kamizelki tkwił brudny strzępek papieru, na którym wypisano najdziwaczniejsze wierszydło, jakie można sobie wyobrazić.

Znalezione nazajutrz rano na piętrze dwa trupy dostarczyły wieczornej prasie najbardziej sensacyjnej historii roku.

3

Pan Angel

Nikt nie wiedział dokładnie, w jaki sposób pan Angel doszedł do swojego stanowiska w Scotland Yardzie. W „Police Review” pewien „długoletni urzędnik”, jak się podpisał, nazwał jego nominację komedią i prawdopodobnie miał rację. Pan Angel bowiem w ciągu swej krótkiej, lecz owocnej kariery, pełnił rozmaite obowiązki, nigdy jednak nie był urzędnikiem policyjnym. Brał udział w polowaniach na grubego zwierza, był specjalnym korespondentem jednego z czasopism i „skrybą” w magistracie, a stanowisko najbardziej zbliżone do zajmowanego obecnie pełnił, gdy został mianowany sędzią pokoju w Rodezji i jako członek Komisji Trzech skazał na powieszenie niejakiego Linchweego oraz sześciu jego czarnych kompanów zbrodniarzy.

Krąg znajomych Angela sięgał przedmieść Londynu. Tamtejszym mieszkańcom wyjątkową przyjemność sprawiała gęsia skórka, pojawiająca się na ich ciele, ilekroć z dreszczem grozy, niepozbawionym pewnej rozkoszy, przysłuchiwali się opowiadaniom pana Angela o wykonywanych wyrokach śmierci. W salonach Mayfair, czyli w doborowym towarzystwie Londynu, pan Angel znany był jednak przede wszystkim jako zręczny mediator.

– Kim jest ten młody człowiek o starej twarzy i złym spojrzeniu? – zapytała kiedyś owdowiała księżna Hoeburn

swojego sąsiada na herbatce u jaśnie wielmożnej pani Carter-Walker (było to w czasie, kiedy salony Mayfair naśladowały styl podmiejski), ten zaś całkiem niepotrzebnie nałożył binokle.

– Ach, to pan Angel – rzucił obojętnie.

– Co za jeden?

– Urzędnik policyjny.

– Z Indii?

– Nie, ze Scotland Yardu.

– Wielkie nieba! – wykrzyknęła księżna przerażona. – Jakież to okropne! Co on tu robi? Obserwuje gości czy czuwa nad srebrnymi łyżkami Carterowej?

Młody człowiek głośno się zaśmiał.

– Księżno, proszę nie lekceważyć pana Angela! – zawołał. – To człowiek, którego warto znać. Niezrównany, jeśli chodzi o pokonywanie trudności. Gdyby miała pani na przykład jakiś zawiły spór albo wpadła w ręce... niepożądanych ludzi lub w ogóle znalazła się w jakiejś przykrej sytuacji, Angel jest właśnie tą osobą, której pomoc jest nieodzowna.

Jej Wysokość z zainteresowaniem spojrzała na tak dzielnego człowieka. Pana Angela, z filiżanką herbaty w jednej ręce, a kanapką w drugiej, otaczała grupka mężczyzn, wśród których był także gospodarz domu. Wydawało się, że pan Angel prowadzi pełną ożywienia rozmowę.

– Miałem trzy asy i zacząłem grać o małą stawkę, by ich podniecić. Młody Saville podniósł stawkę na dziesięć,

a rozdający karty dodał jeszcze dziesięć. George Manfred, na którego przyszła pora, postawił dwadzieścia pięć funtów i kupił kartę. Ja dokupiłem dwie i wyciągnąłem znowu asa. Saville też dokupił, a rozdający się wstrzymał. Myślałem, że wygram i postawiłem dwadzieścia pięć funtów. Saville podniósł na pięćdziesiąt, rozdający na sto, a Manfred podwoił stawkę. Przyszła kolej na mnie. Miałem cztery asy. Przypuszczałem, że Saville ma fula, a rozdający kolor. Łatwo ich było pobić, ale co z Manfredem? Manfred to szczwany lis. Wiedział, jakie karty mają tamci. Jeśli on stawia, to pewny jest swoich pieniędzy, wobec czego odłożyłem moje asy. Manfred miał pokera.

Odpowiedział mu chór uznania. Gdyby „długoletni urzędnik” słuchał tego opowiadania, utwierdziłby się w przekonaniu, że pan Angel jest najmniej odpowiednią osobą, by zajmować odpowiedzialne stanowisko.

Prawdę mówiąc, nikt właściwie nie wiedział, jakie dokładnie stanowisko piastuje pan Angel. Jeśli zwrócilibyśmy się do portiera w Scotland Yardzie i spytali o Christophera Angela, to po sprawdzeniu wszystkich legitymacji portier ów zaprowadziłby nas na piętro i oddał w ręce innego urzędnika, a ten przez całe mnóstwo wahadłowych drzwi i nieskończony labirynt korytarzy poprowadziłby nas do pokoju numer 647. Wszedłszy tam, zastalibyśmy pana Angela przy biurku, przerzucającego, chyba z braku zajęcia, „Sporting Life” lub jakiś inny tygodnik zawierający sprawozdania z wyścigów.

Pewnego razu sam pan naczelnik, we własnej osobie, wszedł do pokoju, wcześniej nie zapukawszy. Zastał Angela zatopionego w jakichś skomplikowanych rachunkach, w otoczeniu grubych ksiąg i dużych arkuszy papieru całkowicie pokrytych drobnymi cyframi. Biedaczek nawet nie usłyszał, że ktoś wchodzi.

– Cóż to za trudny problem? – spytał naczelnik.

Angel przywitał go najśłodszym z uśmiechów, a poznawszy, wstał.

– Cóż to za problem? – powtórzył naczelnik.

– Prawdziwa klęska, panie naczelniku – z całą powagą odparł Angel. – Mimoza całkowicie mnie zawiodła. Byłem pewien, że mimo obciążenia, pierwsza dobiegnie do mety. Ale fatalnie się pomyliłem.

Naczelnik szybko oddychał.

– Mój drogi – rzekł cierpkim tonem – byłem pewien, że pracuje pan nad sprawą banku w Lagos.

Angel miał roztargniony wyraz twarzy, gdy odpowiadał:

– Och, to już załatwione. Stary Carby został otruty przez niejakiego... Zapomniałem nazwiska, ale był to ktoś z Monrovii. Zatelefonowałem na policję w Lagos i ujęliśmy go na statku, który miał właśnie odbijać.

Naczelnik policji promieniał.

– Serdecznie wieszczę, panie Angel. Na Boga, byłem przekonany, że nie zdołamy już pomóc tym ludziom w Afryce. Czy jakiś biały jest w to zamieszany?

– Tego jeszcze nie wiemy. – Angel był wciąż jeszcze

nieprzytomny. Jego oczy ciągle wracały do rozłożonego arkusza i kolumn cyfr. – Zdaje mi się, że maczał w tym palce niejaki Connor, który był u starego Realea krupierem czy czymś w tym rodzaju – dodał, patrząc na papier ze zmarszczonym czołem. Nagle chwycił ołówek leżący na biurku i szybko coś zaczął obliczać.

Naczelnik niecierpliwie postukał palcem w biurko. Usiadł na krześle naprzeciw Angela.

– Drogi panie, kto to jest stary Reale? Pan zapomina, że jest naszym specjalnym zagranicznym sprawozdawcą. Na Boga, gdyby pan znał połowę tych strasznych historii, które o panu krążą z powodu tej nominacji, umarłby pan ze wstydu!

Angel ze śmiechem odsunął papiery z rachunkami.

– Nie potrafię się wstydzić – przyznał lekko. – A zresztą znam tę gadaninę. Pan pyta o starego Realea. Reale to człowiek z charakterem. Przez dwadzieścia lat był właścicielem najrozkosznieszych jaskiń hazardu w Egipcie i w Rzymie. Bóg raczy wiedzieć, gdzie jeszcze. Wykształcenie – żadne. Tylko pasja do wynalazków. Poza tym zajmowały go jeszcze zagadki i szarady. Odgadywanie opuszczonych słów. Te najrozmaitsze konkursowe łamigłówki rozpisywane przez drugorzędne gazetki. Namiętność, której pozostał wierny. Mieszka przy Terrington Square czterdzieści trzy.

– Gdzie? – Naczelnik zmarszczył czoło. – Reale? Przy Terrington Square czterdzieści trzy? Tak, naturalnie. – Obrzucił Angela dziwnym spojrzeniem. – Wie pan

wszystko o Realeu?

Angel wzruszył ramionami.

– Tyle, co wszyscy – odparł.

Naczelnik przytaknął.

– A zatem, proszę wziąć dorożkę i udać się na Terrington Square czterdzieści trzy. Ten pański Reale został w nocy zamordowany.

Cechą Angela było to, że nic nie mogło go zadziwić. Najokropniejsze wiadomości przyjmował z uprzejmym zainteresowaniem, a teraz powiedział tylko:

– Coś takiego!

Dopiero później, pędząc dorożką przez Whitehall, pozwolił sobie na większe zdumienie.

Pod numerem 43 przy Terrington Square zebrała się żadna sensacji gromadka ludzi oczekujących wstrząsających wieści. Policjant pozwolił wejść Angelowi, a inspektor okręgowy przerwał przesłuchiwanie śmiertelnie bladego zarządcy domu, by pozdrowić go krótkim „dzień dobry”.

Wstępna inspekcja nie zabrała Angelowi dużo czasu. Obejrzał dwa martwe ciała, których jeszcze nie zabrano z miejsca zdarzenia, przeszukał kieszenie obu trupów i przejrzał papiery rozrzucone na podłodze pokoju, gdzie rozegrała się tragedia. Następnie wrócił do salonu i rozmówił się z inspektorem, który siedział przy stole i pisał sprawozdanie.

– Rozumie się, że mordercą jest człowiek leżący na piętrze – zaczął.

- Oczywiście – odrzekł szorstko inspektor Boyden.
- I został zabity prądem elektrycznym przechodzącym przez rączkę u drzwiczek kasy.
- Domyśliłem się tego – skwitował Boyden tym samym tonem co poprzednio, nie przerywając pisania.
- Morderca nazywa się Massey – cierpliwie objaśniał Angel. – George Charles Massey.

Inspektor obrócił się na krześle i spojrzał nań z sarkastycznym uśmiechem.

- Ja również – powiedział z naciskiem – przeczytałem adresy na kopertach, które miał w kieszeni.

Twarz Angela wyrażała niezwykłą powagę, kiedy dodał:

- Co do tego trzeciego nie mam jeszcze pewności.

Inspektor spojrzał nań podejrzliwie.

- Trzeciego? Jakiego trzeciego?

Udając zdumienie, Angel uniósł brwi w taki sposób, że przybrały kształt odwróconej litery V.

- Musiał tu być jeszcze jeden. Pan o tym nie wie?

– Nie znalazłem poszlak, które wskazywałyby na obecność trzeciej osoby. – Głos inspektora był chłodny. – Zresztą nie skończyłem jeszcze przeszukiwać budynku.

– Dobrze! – zawołał wesoło Angel. – Gdy pan skończy, znajdzie pan trzy niedopałki papierosów. Dwa w pokoju, gdzie starzec został zamordowany, a jeden koło kasy, na wyższym piętrze. Wszystkie z napisem „Al Kam”. To dość drogi gatunek egipskich papierosów. Massey palił cygara, stary Reale nie palił wcale. Teraz

pojawia się pytanie – mówił głośno do siebie, nie zważając na osłupiałego inspektora – czy tym trzecim był Connor czy Jimmy...

Inspektor stłumił pragnienie zaspokojenia ciekawości. Ugodziłoby to w jego honor, toteż postanowił zachować się z wyniosłym niedowierzaniem. Zabrał się na powrót do sprawozdania.

– Będzie dość trudno dowieść winy jednemu czy drugiemu – w zadumie kontynuował Angel, patrząc na plecy inspektora. – Wskażą pięćdziesiąt najdokładniejszych alibi i w dodatku zaskarżą nas o niesłuszne uwięzienie – dodał przebiegle.

– Tego zrobić nie mogą – zakomunikował opryskliwie inspektor.

– Nie mogą? – spytał naiwnie Angel. – No, w każdym razie nie powinniśmy ich więzić. Jimmy gotów...

Inspektor Boyden gwałtownie obrócił się na krześle.

– Panie Angel, czy pan sobie ze mnie stroi żarty? Może pan nie jest obeznany z procedurami dotyczącymi spraw kryminalnych w Londynie? Spieszę więc pana poinformować, że to mnie powierzono śledztwo. Jeśli pan ma w tej sprawie coś do przekazania, proszę, by uczynił pan to natychmiast.

– Z całą przyjemnością. – Na twarzy Angela wykwitł serdeczny uśmiech. – Przede wszystkim Jimmy...

– Proszę o nazwisko. – Inspektor zanurzył pióro w atramencie.

– Nie mam pojęcia – odparł lekko Angel. – Wszyscy

znają Jimmiego. Był najzręczniejszym wabikiem starego Realea. Miał odpowiedni spryt i odpowiednie upierzenie, a przy tym wygląd tak przyjazny, że drobniejsze ptactwo przyfruwało i siadało dokoła niego. A zanim biedactwa odkryły, że ten piękny ptak, który je zwabił, to tylko pomalowane drewno i pióra, już rozlegało się pif-paf strzelby starego Realea. Starczało pieczeni na wiele dni.

Inspektor Boyden odrzucił pióro z gniewnym pomrukiem.

– Obawiam się – rzekł z desperacją – że nie będę mógł wcielić pańskiej metafory do mojego sprawozdania. Jeśli może mi pan udzielić jakichś ściślejszych informacji, chętnie z nich skorzystam.

Nieco później Angel rozmawiał z naczelnikiem Scotland Yardu.

– Jak tam idzie współpraca z Boydenem? – spytał naczelnik.

– Bardzo dobry chłop, spokojny, uprzejmy, a gorliwy, jak mało kto – odpowiedział Angel, zgodnie ze swoją zasadą.

– Oddam mu tę sprawę – stwierdził naczelnik.

– Nie mógłby pan zrobić lepiej – z przekonaniem przytaknął Angel.

Po tej rozmowie detektyw udał się do swego mieszkania przy Jermyn Street, by przebrać się do obiadu. Potem, już schludnie ubrany, pchnął oszklone drzwi wahadłowe restauracji Heinz, wszedł do wspaniałej stylowej jadalni i wybrał stół przy oknie, z widokiem na

Piccadilly. Gość siedzący przy tym stoliku podniósł głowę i skinął mu na przywitanie.

– Witam! – rzucił swobodnie.

– A witam, Jimmy! – odpowiedział detektyw, nie dbając o konwenanse.

Wziął ze stołu jadłospis i z wielką uwagą zabrał się do wybierania potraw. Na koniec zamówił pół butelki beaujolais.

– Najśmieszniejsze, że tyle trzeba tu zapłacić za małą buteleczkę, którą w każdym przyzwoitym sklepie dostanie się za dziesięć pensów – zauważył.

– Trzeba płacić za te wszystkie wygody – odrzekł Jimmy pogodnie. A po krótkiej pauzie spytał: – Czego pan szuka?

– Nie pana. Aczkolwiek mój młody przyjaciel, inspektor Boyden, urzędnik policji i znawca prawa, niebawem będzie pana poszukiwał.

Jimmy powolnym ruchem odwijął wykałaczkę z jedwabnej bibułki.

– Nie mam z tym nic wspólnego... z tym morderstwem – oświadczył spokojnie. – Ale byłem tam.

– Wiem o tym. Widziałem te pańskie idiotyczne papierosy. I nie podejrzewałem, by brał pan udział w morderstwie. Jest pan przestępcą, ale tylko wobec własności, nie ludzi.

– A więc zauważa pan tę subtelną różnicę między zbrodnią przeciw własności a zbrodnią przeciw ludzkiemu życiu?

– Właśnie.

Pauza.

– A więc? – spytał Jimmy.

– Właściwie chciałem z panem pomówić o tym wierszu – rzekł Angel, mieszając zupę w talerzu.

Jimmy się roześmiał.

– Jaki z pana sprytny mały diablak – oznajmił z podziwem. – A nawet nie taki mały, jeśli spojrzeć na cel i przebiegłość.

Zapadło milczenie, a głębokie zmarszczki na czole Jimmyego były aż nazbyt wymowne.

– Proszę się tylko dobrze zastanowić – zakpił Angel.

– Zastanawiam się – odparł powoli Jimmy. – Pisałem ołówkiem, gdyż nie było bibuły. Zrobiłem tylko jeden odpis pod dyktando starego i...

– I użył pan bloczku. – Grzecznie podsunął Angel. – A zerwał pan tylko pierwszą stronę. I przyciskał pan mocno ołówek, gdyż na drugiej kartce wszystko się odbiło całkiem wyraźnie.

Twarz Jimmyego wyrażała irytację.

– Jaki ze mnie osioł! – jęknął i znów zapadło milczenie.

– A wiersz? – spytał Angel. – Czy może pan dopatrzeć się w nim jakiegoś sensu?

– Nie. – Jimmy potrząsnął głową. – A pan?

– Nie mam zielonego pojęcia – szczerze wyznał Angel.

Podczas jedzenia kolejnych potraw żaden z nich nie

rzekł ani słowa. Dopiero gdy przyniesiono kawę, Jimmy przerwał milczenie.

– Nie musi pan sobie łamać głowy tym wierszem. Ja go tylko dostałem kilka dni wcześniej niż inni. Niebawem otrzyma go Connor, a także jakaś dziewczyna. Massey także wszedłby w jego posiadanie. – Uśmiechnął się ponuro.

– O co właściwie chodzi?

Jimmy z pewną podejrzliwością spojrział na pytającego.

– Pan nie wie? – zdziwił się.

– Nawet się nie domyślam. Dlatego właśnie do pana przyszedłem.

– Ciekawe! – zauważył Jimmy. – Bo ja właśnie zamierzałem odszukać pana z tego samego powodu. Dowiemy się za dzień, dwa – rzekł, przywołując gestem kelnera. – Stary powiedział, że wszystko napisał w testamencie. Ten wiersz podyktował mi tuż przed śmiercią. To było jego pasją, musi pan wiedzieć. „Naucz się go na pamięć, Jimmy – skrzeczał – dostaniesz dwa miliony, jeśli odgadniesz...” I z tymi słowami na ustach skonał. Kelner, rachunek!

Wyszli. Kiedy kierowali się ku Piccadilly, Jimmy spytał:

– Dokąd idziemy?

– Do Plait na godzinę.

– W interesach?

– Poniekąd. Spodziewam się tam kogoś zastać.

Przeięli Piccadilly i skręcili w boczną ulicę. Druga przecznica w lewo, a potem pierwsza w prawo zawiodła ich przed jasno oświetlony hotel. Z wnętrza dochodziły dźwięki skrzypiec. Przy stoliczkach ustawionych w obszernym barze siedziały eleganckie roześmiane kobiety, a towarzyszyli im młodzi mężczyźni w strojach wieczorowych. Nad ich głowami unosiły się obłoki papierosowego dymu, a dźwięki muzyki zagłuszała wrzawa głosów i śmiechów. W końcu udało im się znaleźć wolny kącik. Usiedli.

– Widzę, że pan się tu dobrze orientuje – rzekł Jimmy.

– Tak – odparł smutno Angel. – Widok wesoły, tylko zbyt mi znany. Widzę zresztą, że i pan nie czuje się tu obco.

– Nie – westchnął z pewną goryczą Jimmy. – Tylko że my obaj zajmujemy przeciwne miejsca w parlamencie. Pan należy do partii rządzącej, a ja do stałej opozycji.

– Stłumione łkanie! – zawołał drwiąco Angel. – Litości dla biednego Ismaela, dla wyrzutka, który trzyma się na uboczu dla własnej przyjemności! Współczucie dla upadłego brata! Prośmy o cichą łezkę dla wspaniałego rozbitka, który woli siedzieć na samotnej skale, niż swobodnie pływać po morzu! Niech pan nie plecie farmazonów, zwłaszcza jeśli tyczy się to pańskiej osoby, panie Jimmy. W przeciwnym razie rzucę się na pana i zaapeluję do pańskiej lepszej natury. Pan jest złodziejem, a ktoś inny zbieraczem znaczków lub zapalonym

myśliwym. Na razie to pańska mocna strona. Halo, Charles, widzę, że nie masz zamiaru nas obsłużyć!

– W tej chwili do usług. – Charles przybiegł usłużnie.
– Co panowie rozkażą? Dobry wieczór, panie Angel.

– Prosiłbym o, jak to nazywa mój przyjaciel Doley, trochę plugastwa. A pan?

Jimmy starał się zachować poważny wyraz twarzy.

– Lemoniadę – odparł z godnością.

Kelner przyniósł whisky.

Kto nie zna Plait, nie zna Londynu. To jeden z tych specyficznych lokali, który na kontynencie otrzymałby adnotację, że nie jest odpowiedni dla „młodych osób”. Ale w Londynie nie znajdzie się jego nazwy w żadnym bedekerze czy innym przewodniku. Mogłoby to zakończyć się w sądzie.

– Oto Walker – rzucił obojętnie Angel. – Chwilowo go nie poszukują, przynajmniej w Anglii. A tam znów Frisco Kate, niebawem zostanie skazany na dożywocie. Zna pan przypadkiem tego młodzieniaszka w jasnobrązowym garniturze?

Jimmy spojrzał z ukosa na młodego człowieka.

– Nie, to ktoś nowy.

– Nie całkiem – zaprzeczył Angel. – W Budapeszcie podczas wyścigów, w Jerozolimie w sezonie turystycznym, bogaty arystokrata węgierski, prowadzący ciągłe podróże ze względów zdrowotnych. Oto, kim jest ten rzekomy nowicjusz.

– Dwuznacznie, niegramatycznie, ale

przekonywająco – mruknął Jimmy.

– Poszukują go zresztą! – Angel się ożywił.

– Jeśli ma pan zamiar urządzić tu scenę, ja się ulatniam – zastrzegł Jimmy, odstawiając opróżnioną szklanekę.

Angel chwycił go za ramię. Do sali wszedł jakiś człowiek i rozglądał się, jakby kogoś szukał. Pochwycił spojrzenie Jimmyego i drgnął. Następnie, przepychając się przez ciżbę, podszedł do jego stolika.

– Hej, Jimmy... – Zamilkł raptownie na widok towarzysza Jimmyego i wsunął rękę do kieszeni.

– Witam, Connor! – Z rozbajającym uśmiechem przywitał go Angel. – Właśnie z panem pragnąłem się zobaczyć.

– O co chodzi? – burknął zagadnięty. Był silny i barczysty, a jego usta ocieniały zwisające wąsy.

– Ach, właściwie nic ważnego – odparł lekko Angel. – Poszukuję pana, Connor, z powodu tej historii w Lagos, ale nie mam jeszcze dość materiału obciążającego. Proszę się nie obawiać.

Przybyły zbladł pod smagłą skórą i chwycił się stołu.

– Logos – wymamrotał – Co... co...

– Och, nie ma powodu do obaw. – Angel machnął lekceważąco ręką. – Proszę siadać.

Connor wahał się przez chwilę, po czym usłuchał, siadając na krześle między Anielem a Jimmym. Inspektor rozejrzał się wokół. Niebezpieczeństwo, że mógłby ich ktoś podsłuchać, było nie większe niż gdzieś w głębi

pustyni.

– Jimmy – Angel dotknął jego ramienia – powiedziałaś przed chwilą, że wyprzedziłeś wszystkich, gdyż znasz już tę wierszowaną zagadkę starego Realea. Tymczasem wcale nie masz tego pierwszeństwa, gdyż ja już czytałem testament. Tak samo Connor. – Spojrzał swemu ociążałowemu sąsiadowi prosto w oczy. – A prócz was dwóch, w testamencie jest wspomniany jeszcze ktoś. Oczywiście jako ewentualny spadkobierca. Pewna dziewczyna. – Ani na sekundę nie odrywał oczu od twarzy Connora. – Chciałem poznać tę młodą damę – ciągnął Angel – i dziś po południu udałem się do Clapham, by jej złożyć wizytę... – Urwał.

Connor nie zareagował, oczy miał wbite w podłogę.

– Otóż udałem się do niej i dowiedziałem się, że tego popołudnia zniknęła w bardzo tajemniczych okolicznościach... – Znow urwał. – Przybył do niej jakiś pan z poselstwem. Jak pan sądzi, panie Connor, od kogo? – spytał, porzucając nagle lekki i swobodny ton.

Connor, podniósłszy nań wzrok, spotkał się z twardym spojrzeniem dwojga zimnych błękitnych oczu. Po jego plecach przeszedł dreszcz.

– Otóż – ciągnął powoli Angel – poselstwo było od inspektora Angela, co jest najwyższą bezczelnością, panie Connor. Nie jestem żadnym inspektorem. A ta młoda dama nie pojechała oczywiście do Scotland Yardu. Teraz zaś pytam: co pan zrobił ze spadkobierczynią starego Realea?

Connor zwilżył językiem zaschłe wargi i milczał. Angel skinął na kelnera, wyrównał swój rachunek i zaczął zbierać się do odejścia.

– Proszę natychmiast odstawić pannę Kathleen Kent tam, skąd ją pan zabrał. Odwiedzę ją jutro rano, a jeśli bodaj jeden włos spadnie z jej głowy, panie Connor...

– To...? – wyzywająco spytał Connor.

– To zaryzykuję i na podstawie dostępnych mi informacji każę pana uwięzić za tę historię w Logos. – Angel krótko skinął głową Jimmy'emu i wyszedł.

Connor, nieprzytomny z wściekłości, zwrócił się do swego sąsiada:

– Jimmy, słyszałeś? Słyszałeś, co ten pies...

– Radzę ci – przerwał Jimmy – zrobić to, czego żąda Angel.

– Sądysz może, że się go boję?

– Nie – brzmiała spokojna odpowiedź. – Wcale się nie boisz Angela. Nie chodzi o to, co on by zrobił. Rzecz w tym, co ja zrobię.

4

Szajka Miejska

Ani trochę nie odpowiadało to obrazowi, jaki Kathleen Kent wyrobiła sobie o Scotland Yardzie. Przypominało to rodzaj podwórza, gdyż brudna, zamknięta z obu stron uliczka z niskimi domami kończyła się nagle wysokim murem. Górowały nad nim szare kadłuby i ciężkie czerwone kominy statków.

Gdy dorożkarz przystanął przed jednym z budynków, w pobliżu muru, natychmiast otworzyły się drzwiczki. Jej towarzysz podróży, który przez cały czas siedział obok niej w posępnym milczeniu, odpowiadając monosylabami na pytania, chwycił ją za ramię i szybko pociągnął w stronę domu. Kiedy zatrzasnęły się za nią drzwi, uświadomiła sobie, w jakim niebezpieczeństwie się znalazła. Jakieś przeczucie czy instynkt mówił jej już wcześniej, że nie wszystko jest w porządku. Zauważyła bowiem z przerażeniem, że dorożka z szerokiej ulicy wiodącej do Scotland Yardu skręciła w labirynt wąskich krętych uliczek i szybkim tempem zmierzała w kierunku wschodnim. Nie знаła Londynu rozciągającego się od Trafalgar Square na wschód, aż do Walthamstow. Ba, nie znała nawet ruchliwego przedmieścia, na którym przyszło jej mieszkać, gdyż miała tylko niewielkie dochody czerpane z 4000 funtów ulokowanych w papierach wartościowych. Czowała jednak, choć mgliście, że Scotland Yard nie może się mieścić na wschodnim krańcu

Commercial Road.

Toteż gdy drzwi domu zatrzasnęły się za nią, a ręka towarzysza silniej pochwyciła ją za ramię, ochryply głos szepnął natomiast, że jeśli zacznie krzyczeć, już on sobie z nią poradzi, zrozumiała – choć nie bardzo wiedziała, co znaczy to „poradzi” – że rozsądniej będzie nie krzyczeć. Szła więc spokojnie obok swego dozorczy. Ten zaś przystanął na chwilę na chybotliwym podeście, a potem otworzył drzwi.

Okno, przez które w normalny dzień wpływałoby światło dzienne, przysłonięte było ciężką zieloną portierą. Za zasłoną – o czym jeszcze nie wiedziała – zostały rozwieszane trzy grube wojskowe koce, nieprzepuszczające ani promyka słońca. Równie skutecznie przesłaniały one obserwatorowi z zewnątrz światło wiszącej pod sufitem lampy.

Kathleen Kent była całkowitym przeciwieństwem ludzi znajdujących się w pokoju. Błada na twarzy, odważnie przed nimi stanęła. Nieco więcej niż ładna, ale nieco mniej niż piękna, miała podłużną twarz o szarych spokojnych oczach, prostym nosie i wąskiej górnej wardze arystokratki. Jedynie jej usta były dla znawców piękności trochę zbyt pełne i zbyt powabne. Kolejno wodziła spojrzeniem po twarzach obecnych, a poza bladością nic nie zdradzało jej lęku.

Jakkolwiek o tym nie wiedziała, przypadł jej w udziale niezwykły przywilej. Przez zwykły przypadek została postawiona przed trybunałem Szajki Miejskiej.

Nazwa wprawdzie nie brzmiała heroicznie, zwłaszcza dla zorganizowanej bandy zbrodniarzy, ale trzeba wiedzieć, że zorganizowani przestępcy nigdy nie przybierają charakterystycznych czy górnolotnych nazw. Srebrne Topory czy Czerwone Noże to chuligani z bajek, posługujący się pistolecikami, jakimi bawią się chłopcy.

Policja określała tę bandę najczęściej właśnie jako Szajkę Miejską. Mniejsze figury świata zbrodniarzy chełpiły się stosunkami z tą bandą, a ilekroć jakaś wstrząsająca zbrodnia wprawiała świat w przerażenie, policja, przystępując do śledztwa, zadawała sobie przede wszystkim pytanie, czy sprawcą jest któryś z członków Szajki Miejskiej, czy też nie?

Kiedy Kathleen została wepchnięta do pokoju, raptownie zamilkły wszystkie prowadzone półgłosem rozmowy. Dziewięć par obojętnych oczu pobiegło w jej stronę, obejmując ją surowymi spojrzeniami. Dziewczyna szybko rozejrzała się wokół, a gdy ujrzała otaczające ją twarze, była przekonana, że za chwilę nastąpi wybuch ordynarnej wesołości. Przeszył ją lęk – nie wiedziała, dlaczego. Dziwna, śmiertelna cisza, jaka nastąpiła po jej wejściu, dodała jej odwagi, ale zimne spojrzenia zaniepokoiły. Tylko jeden z mężczyzn stracił panowanie nad sobą. Rosły, barczysty człowiek, który siedział do tej pory w kącie z pochyloną głową, uważnie słuchając, co mówił mały, wygolony, podobny do wysłużonego dżokeja człowieczek z bokobrodami, zerwał się i zaklął przez zęby.

– Na górę! – ryknął i w obcym języku powiedział szybko kilka słów, które wprawiły w taki strach zbira trzymającego dziewczynę za ramię, że zachwiał się, a jego twarz gwałtownie pobladła.

– Ja... ja... – mamrotał błagalnie – ja nie zrozumiałem.

Z twarzą wykrzywioną gniewem barczysty mężczyzna wskazał drzwi, a zbir, który przywiódł Kathleen, spiesznie je otworzył i wywłókł przerażoną dziewczynę na ciemną klatkę schodową.

– Tędy – burknął, a ona czuła wyraźne drżenie jego ręki, gdy nie puszczając ani na chwilę jej ramienia, po ciemku ciągnął ją za sobą na kolejne piętro.

– Ani piśnij, bo będzie źle. Widzisz przecież, jak się ze mną obszedł, za to tylko, że zaprowadziłem do złego pokoju. Och, to diabeł wcielony, ten Connor, chciałem rzec, ten Smith. Smith się zowie, rozumie pani? – Mocno potrząsnął nią za barki. Był całkiem nieprzytomny ze strachu.

Kathleen mogła się tylko domyślać strasznych słów wyrzuconych przez barczystego mężczyznę. Sama zresztą była na wpół zmartwiała z przerażenia. Okropne twarze tych ludzi, tajemnicze zebranie w zamkniętym domu o szczelnie zasłoniętych oknach, uprowadzenie jej – wszystko to wzięte razem potęgowało grozę sytuacji.

Przewodnik otworzył drzwi i wepchnął ją do pokoju przygotowanego na jej przyjęcie. Na nakrytym stole stało jedzenie i picie. Drzwi zamknęły się, a rygiel zasunął ze zgrzytem. Podobnie jak w poprzednim pokoju, tu również

okna zostały zasłonięte tak gęstymi portierami, że nie dochodził ani promyczek światła. Pierwszą jej myślą było: „Uciekać”. Zaczekała, aż na skrzypiących krzywych schodach umilkną kroki, po czym szybko przebiegła pokój i zatrzymała się przy oknie. Skok nie będzie chyba zbyt niebezpieczny, w każdym razie postanowiła zaryzykować. Odsunęła portierę. Zamiast okna, zobaczyła stalową płytę przykręconą do ramy okna. Ktoś liczył się z tym, że może chcieć uciec. Na ścianie niewprawną ręką wypisano kredą ostrzeżenie:

Nie zrobimy ci nic złego, jeśli będziesz się zachowywać mądrze. Chcemy się tylko dowiedzieć pewnych rzeczy, a potem cię wypuścimy. Tylko nie krzycz, bo pożałujesz. Siedź cicho i powiedz nam, co chcemy wiedzieć, a wkrótce cię wypuścimy.

O co oni chcą ją pytać i co ma im powiedzieć? Nie miała najmniejszego pojęcia, czego mogli od niej chcieć porywacze. Kim są ludzie, którzy ją uwięzili? W ciągu następnych paru godzin raz po raz zadawała sobie to pytanie. Niemal omdlewała z głodu i pragnienia, ale nie tknęła potraw ustawionych na nakrytym stole. Przerazała ją tajemniczość tego uprowadzenia. Jaką wartość mogła przedstawiać dla tych ludzi? Szmer rozmów prowadzonych w pokoju na pierwszym piętrze nie ustawał ani na chwilę. Raz czy dwa razy dobiegł ją podniesiony męski głos. Raz usłyszała zatrzaśnięcie drzwi i ktoś,

stukając głośno butami, zbiegł po schodach. Musiał też być tu portier, gdyż niebawem usłyszała, że mówi coś do odchodzącego.

Nie mogła wiedzieć, że pytania, nad którymi ona tak się głowiła, stanowiły tego wieczoru trudną zagadkę dla wszystkich innych mieszkańców domu. Ludzie, których widziała, cieszyli się w pewnych kołach tak wielkim rozgłosem, że chętnie by się go wyrzekli. Teraz zaś nie wiedzieli, co począć. Wyjaśnienie domagał się Bat Sands – mężczyzna o niezdrowym wyglądzie, sprawiający wrażenie, jakby dopiero co przebył ciężką chorobę. Vennis – nikt nie znał jego imienia – również nie mógł pohamować swojej ciekawości i zadawał pytania, które niepodobna było zostawić bez odpowiedzi. Właśnie skierował swe martwe rybie oczy na barczystego Connora i rzekł dobitnie:

– Connor, co to za historia z tą dziewczyną? Czy będziemy coś z tego mieli?

Connor zbyt dobrze znał tych ludzi, by zwlekać z odpowiedzią.

– Będziecie, jeśli się uda – odparł powoli.

Bat przechylił ku niemu swą krótko ostrzyżoną rudą głowę.

– Gotówka? – spytał.

Connor skinął głową twierdząco.

– Dużo?

Connor głęboko zaczerpnął powietrza. Prawdę mówiąc, wcale nie miał zamiaru dopuścić szajki do

podziału. I gdyby nie idiotyczna pomyłka jego pomocnika, żaden z nich nie dowiedziałby się o obecności dziewczyny. Ale samo już podejrzenie o wiarołomstwo było wielce niebezpieczne. Znał swoich ludzi, a oni znali jego. Ani jeden z nich nie zawahałby się go sprzątnąć za najłżejsze podejrzenie o zdradę. Najlepiej więc, i najbezpieczniej, postąpić szczerze.

– Trudno wytłumaczyć, dlaczego sprowadziłem tu tę dziewczynę – przyznał. – Tyle powiem, że można zarobić milion.

Wiedział, że mu wierzą. Ani na chwilę nie przypuszczał, by mogli mu nie dowierzać. Zbrodniarze tego typu nie zniżają się do poziomu marnych wykrętów. Nie należą do tej drobnej hołoty złodziejasków, chępliwych, okłamujących się nawzajem, w nadziei, że współtowarzysze uwierzą w ich kłamstwa.

Obserwując skupienie malujące się na ich twarzach, można było się domyślić, jakie wrażenie wywarła na nich ta wiadomość.

– To pieniądze starego Realea – ciągnął Connor. – Pozostawił je czterem osobom. Massey nie żyje, zostały więc trzy.

Zbytecznym było wyjaśniać, kim jest Massey czy Reale. Tydzień temu Massey siedział w tym pokoju i rozmawiał z Connorem o tajemniczym wierszu, odgrywającym tak wielką rolę w testamencie starego. Massey był niejako członkiem honorowym Szajki Miejskiej.

Connor opowiadał dalej. Mówił powoli, czekając na natchnienie. Zręczne kłamstwo mogłoby uratować sytuację. Ale nie miał pomysłu i musiał słuchać, jak jego ociągający się język mówi prawdę.

– Wszystkie pieniądze znajdują się w jednym schowku. Och, Tiny, nie ciesz się tak, równie dobrze mógłbyś próbować włamać się do Banku Anglii. Tak, milion i trzy czwarte w gotówce: w banknotach i w złocie. Wszystko wpakował do tego przekłętego schowka i zamknął. A w testamencie zostawił klucz.

Connor był człowiekiem, któremu mówienie sprawiało kłopot. Każde słowo wychodziło z jego ust powoli, z ociąganiem, jakby opowiadający niechętnie rozstawał się ze swoją opowieścią.

– Oto klucz – powiedział wolno i sięgnął do kieszeni kamizelki.

W gorączkowym oczekiwaniu przypatrywali się ruchom jego ręki. Gdy ją wyjął, w palcach trzymał kawałek starannie złożonego papieru.

– Zamek schowka to jeden z pomysłów starego Realea. Można go otworzyć tylko tym kluczem. – Potrząsnął przed nimi rozwiniętym papierkiem i zamilkł.

– Więc czemu nie otworzysz tego schowka? – niecierpliwie zapytał Bat. – I co to ma wspólnego z tą dziewczyną?

– Ona także ma klucz albo dostanie go jutro. A Jimmy...

Przerwał mu gromki śmiech Curta Goylea, który

słuchał uważnie, aż do chwili, gdy padło imię Jimmyego. Ostry wymuszony śmiech przerwał pełne napięcia milczenie.

– Ach, więc lord James także jest w to zaplątany? Głosuję za wykluczeniem go z całej sprawy. – Goyle wstał z krzesła i przeciągnął się, nie odrywając oczu od Connora. – A jeśli chcecie wiedzieć, dlaczego, to wam powiem. Jimmy jest, na mój gust, trochę zanadto delikatny i, na mój gust, trochę zanadto przyjaźni się z policją. Jeśli należymy do tego interesu, to Jimmy nie ma tu nic do roboty – oświadczył, a jego słowa zostały przyjęte pomrukiem zadowolenia.

Umysł Connora pracował na najwyższych obrotach. Bez Jimmyego mógł się obejść, nie mógł natomiast pozbawić się pomocy szajki. Tylko że trochę bał się Jimmyego. Należał on do tego typu zbrodniarzy, którego Connor nigdy nie rozumiał. Jeśli jest współzawodnikiem w grze o miliony Realea, szajka na pewno się z nim rozprawi. Tym lepiej. Śmierć Maseya zmniejszyła liczbę spadkobierców – jest ich już tylko troje. Sprzątnięcie Jimmyego jeszcze bardziej zmniejszy niebezpieczeństwo utraty pieniędzy. Spadkobierczyni jest przecież w pokoju na piętrze.

Oświadczenie Goylea rozwiązało wszystkim języki. Nie podniósł się żaden głos w obronie Jimmyego. Zażądało natomiast końca historii. Wśród grobowej ciszy Connor opowiedział o testamencie i wierszowanej zagadce, której rozwiązanie oznaczało zdobycie

milionowego majątku.

– Dziewczyna musi pogodzić się ze swoim losem. Jest zbyt niebezpieczna, byśmy ją mogli puścić na wolność. Chodzi o blisko dwa miliony, a ja nie chcę ryzykować. Musi tu zostać, aż do rozwiązania zagadki. Nie możemy pozwolić, by sprzątnęła nam pieniądze sprzed nosa.

– A Jimmy? – spytał Goyle.

Connor nerwowo poprawiał coś przy klapie płaszcza. Wiedział już, jaką odpowiedź szajka postanowiła dać na pytanie Goylea. Wiedział, że zażądają jego pozwolenia na czyn najcięższej zdrady, jaka kiedykolwiek splamiła jego łotrowskie życie. Ale wiedział także, że Jimmy był znienawidzony przez ludzi należących do tej dziwnej grupy – pracował na własną rękę, nie dzielił z nikim ryzyka ani zdobyczy. Jego lodowaty cynizm był czymś, co przekraczało ich rozumowanie. Obawiali się go. Odchrząknął.

– Może byśmy go namówili...

Goyle i Bat szybko wymienili między sobą spojrzenia.

– Zaproś go, by tu przyszedł dziś wieczorem, omówić wszystkie sprawy – niedbałym tonem rzucił Goyle.

* * *

– Connor coś długo nie wraca. – Sands zwrócił swą chorobliwie wyglądającą twarz w stronę towarzyszy.

Minęły już trzy godziny odkąd Connor rozstał się z szajką, by odszukać Jimmyego.

– Wróci niebawem – rzekł uspokajająco Goyle. Omiótł wzrokiem towarzyszy i dodał: – Słuchajcie, chłopcy! Jeśli któryś z was nie chce się mieszać do tej sprawy, może teraz odejść. Bo chcemy się porachować z Jimmym.

Nikt się nie poruszył. Ani jeden z mężczyzn nie drgnął na straszną zapowiedź zawartą w tych słowach.

– Milion i trzy czwarte... Opłaci się dyndać na szubienicy! – zakończył twardo Goyle. Podszedł do wąskiej, wysokiej szafy w pobliżu pieca i otworzył drzwi. Było w niej dość miejsca, by człowiek mógł wygodnie stać. Bliższe zbadanie wnętrza szafy wypadło zadowolająco. – Stał tu już ktoś – spojrzał znacząco na Bata Sandsa – kiedy miałem sprzątnąć Ike Steena... Ike miał w kieszeni pieniądze od policji. Zamierzał nas wydać.

– Ktoś mieszka w sąsiednim domu? – spytał któryś nagle.

Goyle się zaśmiał. To on był gospodarzem tamtego domu, gdyż to on go wynajął. Powoli przymknął drzwi szafy.

– Jeśli nie liczyć starego Georgea, dom stoi pusty – odpowiedział. – Słyszycie?

W głębokiej ciszy doszło do nich głuchoe mamrotanie zza ściany.

– Gada do siebie – wyjaśnił Goyle, krzywiąc usta w

złośliwym uśmiechu. – Jest niespełna rozumu, ale zastępuje stróża. Płoszy dzieci i kobiety, które podpatrywałyby nas, gdyby nie bały się wariata. On...

Nagle usłyszeli trzask zamykanych drzwi na dole i głosy dwóch mężczyzn w sieni.

Goyle zerwał się na równe nogi, a na jego twarzy pojawiła się zaciekłość.

– To Jimmy! – szepnął ochryple.

Usłyszawszy kroki na schodach, zbliżył się do wieszaka i wyjął coś z kieszeni płaszcza. Potem wślizgnął się do szafy i przymknął jej drzwi. W tej samej chwili mężczyźni weszli do pokoju.

Jimmy, który pojawił się za Connorem, natychmiast wyczuł chłodne przyjęcie. Poza tym miał nieokreślone przeczucie, że grozi mu niebezpieczeństwo. Cisza w pokoju była złowroga. Bat Sands zachowywał się zbyt uprzejmie, niemal nadskakująco. Jimmy od razu to zauważył i postanowił mieć się na baczności. Wszystkie jego zmysły napięły się do ostatnich granic. Bat wziął krzesło i postawił je przed drzwiami szafy.

– Siadaj, Jimmy – zaproponował ze sztuczną serdecznością.

Jimmy usiadł.

– Też chcę z wami porozmawiać – oznajmił spokojnie. – W tym domu jest pewna młoda dama, przyprowadzona tu wbrew swojej woli. Musicie ją wypuścić.

Oczekiwał protestu i oburzenia, tymczasem jego

słowa przyjęto głębokim milczeniem. „Źle” – pomyślał i rozejrzał się po pokoju, próbując ocenić, skąd grozi mu niebezpieczeństwo. Wtedy właśnie zdał sobie sprawę, że brakuje jednej twarzy.

– A gdzie nasz przyjaciel Goyle, kochany gospodarz?
– zapytał z wesołą ironią.

– Nie było go dzisiaj – pośpieszył z odpowiedzią Bat.

Jimmy spojrział na stojącego przy drzwiach Connora, który udawał, że obgryza paznokcie, i unikał jego wzroku.

– Aha! – Jimmy doskonale odegrał obojętność.

– Chce, byśmy odesłali tę dziewczynę – nagle odezwał się Connor. – Myśli, że jej zniknięcie narobi dużo hałasu. Tak samo myśli też jego przyjaciel, detektyw.

Jimmy spokojnie wysłuchał tego podstępnie wyrażonego oskarżenia. Znow z pewnym zaniepokojeniem stwierdził, że słowa Connora, równoznaczne przecież z zarzutem zdrady, przyjęto bez protestu.

– Nie o to chodzi, co myślą inni, lecz o to, co myślę ja sam – podkreślił sucho. – Tę dziewczynę musicie odwieźć z powrotem do domu. Chcę pieniędzy Realea nie mniej niż wy, uważam jednak, że tym razem wszystko musi się odbyć uczciwie.

– Odesłali? Naprawdę? – Connor nie krył szyderstwa. Zauważył, że drzwi szafy za krzesłem Jimmyego lekko się poruszyły.

Jimmy, założywszy nogę na nogę, wciąż siedział

spokojnie na krześle. Lekki płaszcz, który zarzucił na wieczorowy strój, spoczywał teraz złożony na jego kolanach. Connor czuł, że zbliża się decydujący moment i ze wszystkich sił starał się odwrócić uwagę dawnego towarzysza. Zrozumiał już nieobecność Goylea i lekkie poruszenie drzwi szafy. W pozycji, którą zajmował, Jimmy był całkowicie bezbronny. Prowadząc go tu, Connor był tak zdenerwowany, że wprost nie mógł skupić myśli. Teraz nabrał odwagi i podniósł głos:

– Jimmy, jesteś zbyt przemądrzały. Nie podoba nam się, że tak często mówisz, co mamy robić. Dziewczyna zostanie tu, bo... takie jest nasze postanowienie!

Mózg Jimmyego gorączkowo pracował. Wyraźnie czuł, że niebezpieczeństwo jest bardzo blisko. Musiał zmienić taktykę. Wykorzystać strach, który budził w Connorze i pamiętać o Szajce Miejskiej. Od którego z tych ludzi grozi mu niebezpieczeństwo? Badawczym spojrzeniem objął kolejno ich twarze. Znał wszystkich. Znał na pamięć ich okropne biografie. Nagle na wieszaku w drugim kącie pokoju zauważył płaszcz. Od razu poznał, do kogo należał – do Goylea. A gdzie właściciel? Za wszelką cenę musiał zyskać na czasie.

– Nie mam najmniejszego zamiaru krzyżować czyichkolwiek planów – powiedział powoli. Zaczął wciągać na rękę białą rękawiczkę, jak gdyby zbierał się do odejścia. – Chętnie wysłucham waszych argumentów, ale chcę podkreślić, że ja także interesuję się tą młodą damą.

W zamyśleniu przyglądał się swej dłoni, jakby

podziwiał dobry krój rękawiczki, którą właśnie założył. Było coś tak niezwykłego w tym pozornie niewinnym spojrzeniu, że Connor podskoczył ku niemu z przekleństwem.

– Goyle, szybko! – krzyknął.

Ale Jimmy wstał już z krzesła i oparł się plecami o drzwi szafy. W jego ręce bez rękawiczki ukazała się groźna broń z rękojeścią i lufą. Jednym ruchem ręki kazał im się cofnąć, a oni posłusznie to zrobili.

– Chcę was wszystkich widzieć – rozkazał. – Nie ukrywać się jeden za drugim! Chcę widzieć, co robicie. Bat, precz z tym płaszczem, inaczej pošlę ci kulkę prosto w brzuch. – Oparł się mocno o drzwi szafy, uprzedzając pchnięcie ich przez Goylea. Ale więzień pogodził się widocznie ze swym losem, gdyż nie dawał znaku życia. – Pewnie dziwicie się, jakim sposobem dowiedziałem się, co jest w szafie – zadrwił. Podniósł do góry rękę w rękawiczce, a na dłoni odbiło się światło lampy.

Connor zrozumiał. Zwierciadełko wszyte w rękawiczkę należało do ekwipunku złodziei.

– A teraz, moi panowie – Jimmy kpiąco się uśmiechnął – muszę obstawać przy swoim. Connor, przyprowadź, proszę, panią, którą uprowadziliście dziś po południu.

Connor się zawahał, pochwycił jednak spojrzenie Bata Sandsa i z ponurą miną wyszedł z pokoju. Jimmy nie odezwał się ani słowem, dopóki Connor nie wrócił ze śmiertelnie bladą dziewczyną. Poznał od razu, że jest

wyczerpana, i dał znak jednemu z obecnych, by podsunął jej krzesło. Ona zaś pośród tych okropnych ludzi zauważyła nagle młodego człowieka z bródką a la Van Dyke, który patrzył na nią poważnymi, zamyślonymi oczami. Poznała, że to dżentelmen, i jej serce podskoczyło z radości. Uświadomiła sobie, że obecność tego człowieka w wytwornym, modnym garniturze, z najbardziej niewytwornym rewolwerem w ręce, oznacza wyzwolenie z tego straszego miejsca.

– Panno Kent – przywitał ją uprzejmie.

Skinęła głową, nie mając jeszcze zaufania do swojego głosu. Przeżycia ostatnich godzin doprowadziły ją niemal do omdlenia. Jimmy widział, że dziewczyna lada chwila osunie się bezprzytomnie.

– Odwiozę panią do domu – powiedział. I dodał żartobliwie: – Nie mogę się jednak pozbyć wrażenia, że nie docenia pani przywileju, który przypadł jej w udziale. Otóż muszę zwrócić uwagę, że nieczęsto zdarza się sposobność oglądania tak wspaniałego zespołu. – Wykonał ręką gest i zaczął jej przedstawiać zebranych. – Panno Kent, oto Bat Sands, złodziej najpodlejszego gatunku, jeśli nie gorzej. George Conroy, fałszerz pieniędzy i skończony łotr. Vennis, zarabiający na życie w sposób najhaniebniejszy, jako lichwiarz i oszust. A teraz – ciągnął, odsuwając się od szafy – zaprezentuję pani naszego przyjaciela, który skromnie usunął się w cień. – Krzyknął ostro do siedzącego w szafie: – Goyle, wychodź!

Żadnej odpowiedzi.

Jimmy skinął na jednego z rzezimieszków.

– Otwórz szafę – rozkazał.

Przywołany nieśmiało podszedł i odemknął drzwi.

– Goyle, wyłaź – burknął, po czym cofnął się, a jego twarz wyrażała osłupienie. – Co... co... – mamrotał. – W szafie nikogo nie ma!

Z głośnym okrzykiem Jimmy podskoczył ku drzwiom. Jeden rzut oka do środka szafy przekonał go, że tamten powiedział prawdę, a wtedy...

Wśród zebranych mężczyzn byli tacy, którzy potrafili szybko się orientować, przyzwyczajeni do nagłych decyzji i natychmiastowego wprowadzania ich w czyn. Bat Sands dostrzegł, że uwaga Jimmyego została na chwilę odwrócona i że jego trzymająca pistolet ręką na moment opadła. Myśl i czyn były u Bata Sandsa czymś, co następowało równocześnie. Gdy Jimmy znów się odwrócił, ujrzał nad swoją głową kańczug, zdołał jednak uskoczyć w bok. Nie zdążył nawet dojść do siebie, a już ktoś zarzucił płaszcz na lampę i w pokoju zapanowała kompletna ciemność. Jimmy wyciągnął rękę i złapał dziewczynę za ramię.

– Do szafy... – szepnął i popchnął ją do kryjówki, z której przed chwilą w sposób tak tajemniczy ulotnił się Goyle.

Następnie, wsparty jedną ręką o krawędź drzwi, po omacku skierował rewolwer w stronę napastników. Słyszał ich oddechy, a po skrzypieniu desek zorientował

się, że zdążają w jego stronę. Przysiadł na podłodze, domyślając się, że cios zostanie wykonany na wysokości głowy stojącego człowieka. Niebawem usłyszał świst kija przecinającego powietrze, a kańczug z trzaskiem uderzył w ścianę nad nim.

Był w niezwykle trudnej sytuacji. Wiedział, że strzał miałby przykre następstwa, a z najrozmaitszych powodów nie chciał ściągać policji. Dopóki nic nie zagraża życiu dziewczyny, powstrzyma się od użycia rewolweru – takie powziął postanowienie. Kiedy więc Ike Josephs, ostrożnie skradający się w jego stronę z kańczugiem, potknął się o niego, Jimmy zadał mu dotkliwy cios w tę część ciała, która w anatomii nosi poważną nazwę *solar plexus*. Ike runął na podłogę, nie wydawszy nawet jęku. Sekundę później Jimmy usłyszał krótki okrzyk zdumienia zamkniętej w szafie dziewczyny, a następnie głos, na którego dźwięk serce podskoczyło mu z radości.

– W porządku! W porządku! Wszystko dobrze!

Tylko jeden człowiek zwykł się posługiwać tym frazesem. Jimmy odetchnął z ulgą, błogosławiąc go w duchu.

– Tędy, panno Kent – mówił głos. – Proszę uważać na schodek. Niech się pani nie obawia tego na podłodze, ma na rękach i na nogach kajdanki, a w ustach knebel, nic więc pani z jego strony nie grozi.

Jimmy zaśmiał się cicho. Teraz zrozumiał, dlaczego Angel był tak dokładnie poinformowany o wszystkich planach szajki i o działalności Connora, wyjaśniło się też

tajemnicze zniknięcie Goylea. Nie wiedział wprawdzie, że lokator „pustego” sąsiedniego domu pomysłowo usunął cienką ścianę, dzielącą oba budynki, a za szafą umieścił ruchomą przegrodę, która w rzeczywistości była drzwiami, ale mógł się tego domyślać.

Nagle oślepiająca jasność zalała pokój, w którym Szajka Miejska wciąż jeszcze próbowała dobrać się po omacku do swego nieprzyjaciela, i rozległ się łagodny głos:

– Panowie, pozostawiam wam wolny wybór. Możecie wyjść frontowymi drzwiami, przy których czeka mój przyjaciel, inspektor Collyer, z oddziałem swoich ludzi, albo tylnymi drzwiami, gdzie sierżant Murtle i jego siedmiu ludzi w cywilu niecierpliwie was wyczekują.

Bat poznał głos mówiącego.

– Angel – krzyknął przerażony.

Z mroku nieobjętego wąską smugą oślepiającej lampki elektrycznej dobiegł wesoły chichot.

Kryptogram

Spedding spojrział na zegarek. Stał na marmurowej posadzce Wielkiego Depozytu. Nad jego głową pod wspaniałym sufitem płonęły setki świateł bogato zdobionego elektrycznego żyrandola. Mężczyzna krążył wokół ogromnego postumentu wznoszącego się pośrodku budynku. Stalowe okratowanie rzucało na podłogę mozaikę zygzakowatych cieni. Poza tuzinem krzeseł, ustawionych półkolem przed granitowym cokołem, olbrzymi hall był całkiem pusty.

Spedding przechadzał się w tę i z powrotem, a jego kroki rozbrzmiewały głucho w pustej nieomal przestrzeni. Gdy w końcu przemówił, jego głos, wchłonięty przez ogromną zamkniętą przestrzeń, odbił się od ścian dudniącym echem.

– Jeszcze tylko czekamy na przybycie tej pani – rzekł, patrząc znów na zegarek.

Mówił do dwóch mężczyzn siedzących na przeciwległych krańcach rzędu krzeseł. Jednym był Jimmy, roztargniony i zadumany; drugim Connor, onieśmielony i zdeprymowany. W pewnej odległości za krzesłami stali dwaj mężczyźni. Wyglądali na rzemieślników i w istocie nimi byli: u ich stóp leżał worek z narzędziami, a na małej desce przygotowali coś, co wyglądało, jak piasek. W drzwiach stał natomiast policjant o tępych wyrazie twarzy, na którego piersi

błyszczały medale.

W westybulu odezwały się kroki i dało się słyszeć szelest kobiecej sukni. W wejściu pojawiła się Kathleen Kent, a tuż za nią Angel. Podchodząc do przybyłej, adwokat spojrzał na niego pytająco.

– Pan Angel był uprzejmy ofiarować mi swoją pomoc – wyjaśniła dziewczyna nieśmiało, a na widok Connora twarz jej oblała się nagłym rumieńcem. – A jeśli zajdzie potrzeba, także swoją opiekę.

Spedding się uklonił.

– Mam nadzieję, że ta część ceremonii nie będzie dla pani męcząca – powiedział cicho i wskazał jej krzesło, a następnie detektywowi.

– Co to będzie? – szepnęła Kathleen do swego towarzysza, ale Angel potrząsnął głową.

– Mogę się tylko domyślać – odrzekł również szeptem.

Kiedy Angel podniósł oczy na olbrzymi sejf, w którym, jak wiedział, mieścił się majątek nieżyjącego szulera, zdziwił się kapryśnej pomysłowości tego, który tę dziwną scenę obmyślił i przewidział. Szmer kroków dobiegający od drzwi skłonił go do odwrócenia głowy. Zobaczył postać w bieli i postępującego za nią człowieka w czarnym ubraniu, który niósł na poduszce złotą szkatułkę. Na dźwięk czcigodnych, znanych słów Angel drgnął i zerwał się z krzesła.

A ta jest wola Ojca mego, który mnie posłał, iżby

każdy, który widzi Syna, a w Niego wierzy, miał żywot wieczny: a ja go wskreszę w ostatni dzień.

Uroczysty głos księdza rozbrzmiewał w budynku. Detektyw zrozumiał, że chodzi o złożenie prochów zmarłego, który miał tu znaleźć swój wieczny spoczynek. Pochód uroczyście posuwał się w stronę kolumny, zbliżając się z wolna do milczącej grupy. Duchowny, wstępując po krętych żelaznych schodach, które dzwoniły pod jego stopami, zaintonował psalm. Była to pieśń najbardziej ze wszystkich nadająca się, by towarzyszyć staremu Realeowi w jego ostatniej drodze.

Wysłuchaj mnie, Panie, bo łaskawe jest miłosierdzie Twoje: według nieskończonej swej litości wejrzyj na mnie. Ty znasz pohańbienie moje i zelżywość moją, i wstyd mój...

W połowie wysokości kolumny w zwartej powierzchni granitu zrobiony był mały otwór i do niego właśnie wsunięto złotą szkatułkę. Robotnik krocący za niewielkim pochodem podniósł gładki kawałek polerowanego granitu.

Bóg Wszechmogący w swej niezmierzonej łasce zabrał do siebie duszę naszego kochanego zmarłego brata...

Kielnia murarza zgrzytnęła na brzegach otworu, wsunięto płytę kamienną, która doskonale zrównała się z powierzchnią postumentu. Na kamieniu wyryto cztery słowa: *Pulvis Cinis et Nihil*.

Po odejściu robotników, gdy adwokat żegnał w drzwiach duchownego, który dokonał tego dziwnego obrzędu, Angel zbliżył się do Jimmyego. Pochwycił jego przebiegły uśmiech i spojrzał na miejsce, gdzie umieszczono doczesne szczątki Realea.

– Po łacinie? – spytał.

– Zdumiewające, nieprawdaż? – spokojnie odparł Jimmy. – Musi pan wiedzieć, że Reale widział spory kawał świata. Człowiek, odbywając tak dużo podróży, niejednego się dowie. – Wskazał na epitafium. – Ten pomysł przyszedł mu do głowy w Toledo, w tamtejszej katedrze. Zna ją pan? Płyta z brązu nad zmarłym przodkiem królów Portocarrero: *Hic jacet pulvis cinis et nihil*. [tutaj spoczywają pył, proch i nicość] Przetłumaczyłem to Realeowi i muszę przyznać, że bardzo się mu spodobał sens tych słów. Kiedy siedziałem i przyglądałam się temu niezwykłemu pogrzebowi, zastanawiałem się, czy też nie wyłoni się owe *pulvis, cinis et nihil*.

Spedding wracał od drzwi, dudniąc butami po marmurowej posadzce. Robotnicy odeszli, drzwi zewnętrzne zamknięto, a policjant cofnął się do swojego pokoju, który był połączony z westybulem. Adwokat trzymał w ręce plik papierów. Usiadł, odwrócony plecami do granitowego postumentu, i nie tracąc czasu, przystąpił

do rzeczy.

– Mam tu testament zmarłego Jamesa Ryana Realea – zaczął. – Treść znana jest wszystkim obecnym, z wyjątkiem panny Kent. – Prawnik, obdarzony specyficznym poczuciem humoru, dodał następnie: – Przed tygodniem dokonano w moim biurze bardzo zręcznego włamania: otworzono szafę, wyłamano jedną z szuflad i przejrano prywatne papiery. Muszę mojemu gościowi oddać sprawiedliwość – tu skłonił się lekko najpierw Connorowi, a potem Jimmyemu – i powiedzieć, że niczego nie zabrano i nawet nie porzrzucano papierów. Nie ulega wątpliwości, że dokonano włamania jedynie w celu przejrzenia testamentu.

Jimmy przyjął tę przejrzystą aluzję całkiem obojętnie, poruszył się na krześle tylko po to, by zająć wygodniejszą pozycję. Nawet przerażone oczy dziewczyny, błagalnie się w niego wpatrujące, zdawały się go nie wytrącać z równowagi.

– Proszę mówić dalej – zachęcił adwokata, który uczynił pauzę, jakby czekał na reakcję. W duchu świetnie się bawił. Wiedział doskonale, kto był tym uprzejmym włamywaczem.

– Dzięki skopiowaniu testamentu włamywacz zapewniał sobie przewagę nad spadkobiercą lub spadkobiercami. – Sztywny papier głośno szeleścił, kiedy adwokat rozwijał dokument. – Najpierw oficjalnie odczytam testament, a następnie udzielę wyjaśnień tym osobom, którym będą one potrzebne – podjął.

Dziewczyna słuchała z uwagą, gdy adwokat czytał dokument. Choć była oszołomiona prawniczą terminologią, ciągłym powtarzaniem tych samych zwrotów, chaosem słów, zdołała pojąć, że testament starego Realea jest niezwykły. Była w nim mowa o domach, dobrach ziemskich, nieruchomościach i obligacjach... oraz o różnych posiadłościach mających przypaść komuś w udziale. Nie mogła tylko zrozumieć, kto ma być tym spadkobiercą. Raz się jej zdawało, że ona – z ust adwokata padły bowiem słowa: „panu Francisowi Corydonowi Kentowi albo jego spadkobiercom”, innym znów razem, że olbrzymi majątek ma przejąć „James Cavendish Fairfax Stannard, baronet Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii”. Zadawała sobie pytanie, czy chodzi o Jimmyego, przypomniała też sobie mgliście, że kiedyś mówiono o tak nazywającym się baronecie jako o osobie mającej podejrzaną przeszłość. Później doszła do wniosku, że spadkobiercą zostanie Patrick George Connor. W testamencie była też mowa o jakimś wierszu, który adwokat odczytał z wielkim pośpiechem. Zanim skończył, wspomniał jeszcze o schowku.

Na twarzy Connora pojawił się purpurowy rumieniec, a na ustach Jimmyego ponownie zacięty uśmiech, kiedy adwokat odczytał na koniec:

– Podpisane w mojej obecności przez wymienionego powyżej Jamesa Ryana Realea, jako jego ostatnia wola i testament. Słowo „złodziej” po „James Cavendish Fairfax Stannard, baronet Zjednoczonego Królestwa Wielkiej

Brytanii” oraz po „Patrick George Connor”, w wierszach dwudziestym i dwudziestym trzecim od góry, zostało wykreślone.

Spedding złożył testament i wsunął go do kieszeni. Następnie wyjął z koperty cztery kartki.

– Panowie chyba zrozumieli? – spytał. I nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do przestraszonej dziewczyny. – Obawiam się, że pani nie całkiem zrozumiała testament. Spróbuję zatem wyjaśnić w paru słowach. Mój zmarły klient był właścicielem pewnej jaskini hazardu. W ten sposób zebrał olbrzymi majątek, który zapisał, że się tak wyrażę, temu, kto zwycięży w jego konkursie. Państwo są tymi, którzy mają brać w nim udział. Krótko mówiąc, jest to współzawodnictwo między ofiarami czy spadkobiercami ofiar zrujnowanych przez mojego zmarłego klienta a tymi, którzy mu pomagali przy ich rujnowaniu.

Adwokat mówił spokojnie, jak gdyby objaśniał jakąś wątpliwość, ale w jego tonie była pewna nutka, którą Connor od razu wyczuł i drgnął.

– Pani ojciec był przed laty jedną z takich ofiar. Pani zapewne chodziła wtedy do szkoły. Z bogatego człowieka nagle stał się biedakiem.

Wyraz twarzy dziewczyny nagle się zmienił.

– Więc w taki sposób to się stało... – powiedziała powoli.

– Właśnie w taki – powtórzył adwokat poważnym głosem. – Majątek pani ojca był jedną z trzech ogromnych

fortun, które utonęły w kasach pancernych mojego zmarłego klienta. Ale Reale miał też odrobinę przyzwoitości. Pozostałe dwie zrujnowane doszczętnie ofiary zmarły bezpotomnie już dawno. Pani jest więc jedyną przedstawicielką ofiar Realea. Ci panowie są, powiedzmy, stroną przeciwną. A ten sejf – wskazał ręką na duży stalowy skarbiec u szczytu granitowej kolumny – zawiera ogromny majątek. Sejf jest wynalazkiem mojego zmarłego klienta. Tam, gdzie powinien znajdować się zamek, mieści się sześć tarcz wsuniętych jedna w drugą. Na każdej z tych tarcz widnieją litery alfabetu. Na jednym końcu umieszczono stalową wskazówkę. Słowo złożone z sześciu liter otworzy sejf. Należy ustawić tarcze w taki sposób, by litery tworzące słowo, stanęły naprzeciw wskazówki. Wówczas sejf się otworzy. – Zamilkł, by otrzeć pot z czoła. Widocznie zrobiło mu się gorąco z powodu zapału, z jakim udzielał wyjaśnień. Po krótkiej przerwie ciągnął dalej: – Państwa zadaniem jest odnalezienie tego słowa. Mój zmarły klient miał wyjątkowe upodobanie do wszelkiego rodzaju akrostychów, zagadek i wynalazków. Pozostawił niezdamny wiersz, który, według jego solennych zapewnień, zawiera rozwiązanie. – Wręczył kartkę papieru najpierw dziewczynie, następnie mężczyznom.

Przez chwilę Kathleen miała wrażenie, że wszystko wiruje jej przed oczami. Uświadomiła sobie, jak wiele zależy od tego wierszyka. Dokładnie rozważając każde słowo, jakby się obawiała, że może je przeoczyć lub go

nie zrozumieć, czytała:

*Oto zagadka w starym języku, Rozwiąż – a złota
znajdziesz bez liku.*

*Tedy na RYGIEL drzwi zamknij wraz,
A skoro tylko znajdziesz CZAS,
Rażno skocz nad rzeki BRÓD,
Czy na zachód, czy na WSCHÓD.
Zerwij liści świeżych PEK,
Niech cię nie opadnie LĘK.
Zagadka ze starej księgi wzięta,
A jest to księga mądra, święta.*

Odczytała wiersz po raz drugi i trzeci, a tamci patrzyli na nią w skupieniu. Każde ponowne czytanie zdawało się ją oddalać od rozwiązania tajemnicy. Zrozpaczona zwróciła się do Angela, wykrzykując bezradnie:

– Nie dam rady! Nic mi nie przychodzi na myśl. Nic, nic, nic.

– Bo też, nie ubliżając zmarłemu, to wyjątkowo niezrozumiała gadanina – przyznał szczerze adwokat. – A jednak właśnie od tego wiersza zależy odziedziczenie całego majątku.

Ani Connor, ani Jimmy nie przeczytali wręczonego im wiersza, co nie umknęło uwadze adwokata. Dodał więc:

– Kartki, które państwu dałem, są reprodukcją

oryginału. Sam oryginał w każdej chwili można obejrzeć w moim biurze.

Dziewczyna w napięciu recytowała wiersz.

– Przenigdy tego nie rozwiążę – oświadczyła zrozpaczona.

Angel delikatnie wyjął papier z jej ręki.

– Proszę teraz dać spokój – poradził głosem pełnym życzliwości. – Ma pani dość czasu. Nie sądzę, by pani współzawodnicy cokolwiek zyskali, czytając ten wiersz wcześniej. Ja także już przed tygodniem miałem jego odpis.

Dziewczyna spojrzała na niego zdumionymi, szeroko otwartymi oczami.

– Pan? – spytała.

Angel nie zdążył wyjaśnić, gdyż przeszkodziło mu nieoczekiwane zajście.

Przez cały ten czas Connor siedział na końcu rzędu krzeseł i chmurnie wpatrywał się w kartkę. Nagle siedzący na przeciwległym końcu i w zamyśleniu gładzący brodę Jimmy wstał i podszedł do niego. Connor cofnął się, Jimmy jednak, nie zważając na ten gest, usiadł obok, pochylił się w jego stronę i przyciszonym głosem powiedział parę słów. Trwało to zaledwie kilka sekund, ale obserwujący obu Angel dostrzegł na twarzy Connora wyraz niedowierzającego zdumienia. Po chwili Connor zerwał się z gniewem i pięścią walnął w poręcz krzesła.

– Co?! – ryknął. – Wyrzec się możliwości zdobycia majątku? Rad bym widzieć...

Jimmy nie podniósł głosu, lecz ujął Connora za ramię i z powrotem usadowił na krześle.

– Ani mi się śni! Ani mi się śni! Sądysz, że po prostu odrzucę taki majątek?

Jimmy puścił go i wstał, wzruszywszy ramionami, po czym zbliżył się do Kathleen.

– Panno Kent... – zaczął i zawahał się. – Niełatwo mi wyrazić, co mam do powiedzenia. Proszę jednak przyjąć do wiadomości, że jeśli o mnie chodzi, uznaję, że majątek Realea należy do pani. Zrzekam się wszelkich pretensji, ponadto zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pomóc pani w odnalezieniu tajemniczego słowa ukrytego w tym wierszu.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Usta miała zaciśnięte, a w jej oczach znów się pojawił tamten zawzięty błysk, który Angel zauważył, gdy adwokat mówił o jej ojcu. Jimmy przez chwilę czekał na odpowiedź, gdy jednak dziewczyna nadal milczała, lekko się skłonił i skierował w stronę drzwi.

– Proszę zaczekać! – zawołała Kathleen, a Jimmy odwrócił się i spojrzał na nią w oczekiwaniu. – Jeśli dobrze zrozumiałam tekst testamentu – rzekła powoli – to pan jest jednym z tych, którzy doprowadzili mojego ojca do ruiny.

Spokojnie wytrzymał jej wyzywające spojrzenie.

– Tak – odparł po prostu.

– Jest pan jednym z tych, którym zawdzięczam lata cierpienia – ciągnęła. – Kiedy widziałam, jak ojcu wiedzie

się coraz gorzej, jak męczy się w poczuciu winy, że przez swoje szaleństwo sprowadził nędzę na żonę i dziecko, gdy patrzyłam, jak umierał w zgryzocie i utrapieniu, nie przypuszczając, że kiedykolwiek spotkam człowieka, który jest za to odpowiedzialny.

Jimmy wciąż nie spuszczał z niej oczu. Z niewzruszonym spokojem słuchał gorzkiego oskarżenia.

– Z testamentu wynika, że należał pan do tej samej klasy społecznej, co mój ojciec. Znał pan więc wszystkie sztuczki, którymi można skusić szlachetnego, prostego człowieka, obdarzonego dziecięcą łatwowiernością w stosunku do ludzi pańskiego pokroju.

Jimmy nie odpowiedział, a dziewczyna mówiła dalej z goryczą.

– Kilka dni temu pomógł mi się pan wyrwać z rąk ludzi, których z poczuciem wyższości przedstawił jako złodziei i gwałcicieli. Że też był pan tym, który mi oddał tę przysługę, tego nie przestanę żałować do końca życia. Pan! Pan! Pan! – Wykonała ręką gest pogardy. – Jeśli oni są złodziejami, to kim pan jest? Agentem szulera? Jego wabikiem? Jastrzębiem żerującym pośród słabych, nieszczęśliwych braci, by im wyrwać łup? – Tu wskazała Connora. – Gdyby ten człowiek ofiarował mi swą pomoc, być może bym ją przyjęła. Gdyby oświadczył, że na moją korzyść zrzeka się swych pretensji, prawdopodobnie byłby mnie wzruszył swoją szlachetnością. Ale od osoby, która wykorzystwała swój przywilej szlachetnego urodzenia i wychowania, aby wtrącać w nieszczęście i doprowadzać

do ruiny ludzi takich, jak mój ojciec... od pana propozycję tę uważam za obelgę!

Twarz Jimmyego okryła się śmiertelną bladością, pozornie zachował jednak spokój. Tylko w jego oczach migotały nerwowe błyski, a ręka, którą gładził brodę, nieznacznie drżała.

Zmęczona dziewczyna zwróciła się do Angela. Ten wybuch i wszystkie emocje, które towarzyszyły jej podczas całego wieczoru, wyczerpały ją całkowicie.

– Czy nie zechciałby pan mnie odprowadzić? – spytała. Podała rękę adwokatowi, który z zainteresowaniem śledził tę scenę i nie spojrzawszy na pozostałych dwóch mężczyzn, skierowała się do wyjścia.

W tej chwili odezwał się Jimmy:

– Panno Kent, nie mam zamiaru się usprawiedliwiać – powiedział spokojnie. – Sam jestem odpowiedzialny za swoje życie i postępowanie. Pani potępiający wyrok nie uczyni mojego życia ani lżejszym, ani cięższym. – Uczynił ruch, jakby chciał ją zatrzymać, gdyż Kathleen zmierzała już ku drzwiom. – Dokładnie się zastanowiłem nad sprawą, którą pani poruszyła. Istotnie, jestem jednym z tych, którzy doprowadzili pani ojca do ruiny, ale tylko w takim stopniu, że należałem do towarzyszy Realea. Nie jestem jednym z nich. Co więcej, zadałem sobie dużo trudu, by odwieść pani ojca od tej ryzykownej gry, w którą się wmieszał. – Widocznie przypomniało mu się coś wesołego, gdyż na jego twarzy pojawił się ironiczny uśmiech. Potem tym samym spokojnym głosem

kontynuował: – Powiedziała pani, że zdradziłem jej ojca. W rzeczywistości zdradziłem Realea, ponieważ podjąłem się wyjaśnienia pani ojcu tajemnicy elektrycznego stolika do rulety. Wyjaśniłem mu, jak bezowocne jest stawianie bodaj jednego feniga. – Zaśmiał się. – Powiedziałem, że nie mam zamiaru się usprawiedliwiać, a teraz tłumaczę się, jak mały chłopczyk: „to nie ja to zrobiłem” – dodał już trochę niecierpliwie. I zaraz potem zakończył: – Nie chcę pani zabierać więcej czasu.

Czuł podświadomie, że przez chwilę zwlekała z odejściem, jakby szukała odpowiedzi, po czym usłyszał szelest jej sukni i zrozumiał, że wyszła. Stał przed postumentem i patrzył na rzeźbiony granit, kryjący prochy Realea, aż umilkły jej kroki, a głos adwokata przerwał ciszę.

– A teraz, sir Jamesie... – zaczął prawnik.

Jimmy odwrócił się, głośno przeklinając. Jego twarz była blada od wzburzenia.

– Jimmy – warknął zachrypniętym głosem. – Nazywam się Jimmy i nie życzę sobie, by nazywano mnie inaczej.

Spedding, jakkolwiek przyzwyczajony do najrozmaitszych ludzkich kaprysów, nieco się przeraził reakcją, którą wywołał swoimi słowami, śpiesznie więc dodał:

– Bardzo pana przepraszam. Chciałem tylko powiedzieć...

Jimmy wcale nie był ciekaw, co miał do powiedzenia

adwokat. Zwrócił się do Connora:

– Z tobą mam jeszcze do pomówienia. – Jego głos odzyskał spokojne brzmienie, lecz w tym spokoju było coś groźnego.

– Tamtego wieczoru, kiedy skłoniłem Angela, by pozwolił ci uciec, gdy uwięziono Szajkę Miejską, miałem nadzieję, że zdołam cię nakłonić do odstąpienia majątku pannie Kent, jeśli oczywiście udałoby się odnaleźć to słowo. W głębi duszy wiedziałem, że to złudna nadzieja... W twoim charakterze nie ma ani odrobiny dobra, jesteś... jesteś skończoną bestią. Niczym więcej. – Przez minutę czy dwie chodził tam i z powrotem, a potem przystanął. – Connor, kiedyś próbowałeś mnie zabić. Teraz mam ochotę odpłacić ci w ten sam sposób. Możesz się głowić nad odkryciem słowa, które otwiera sejf. Szukaj go na wszelkie sposoby, jakie tylko przyjdą ci do głowy. Ukradnij je, kup, rób co chcesz. Ale ostrzegam cię, dzień, w którym zdobędziesz klucz do skarbów Realea, będzie dniem, kiedy cię zabiję – powiedział to takim tonem, jakby składał jakąś zwykłą propozycję.

Adwokat, który w młodości napisał poważną rozprawę zatytułowaną *Zbrodniarz z urodzenia*, słysząc te słowa, ze zdumienia aż otworzył usta. Jimmy natomiast zdjął z krzesła palto i kapelusz, skłonił się prawnikowi i powoli wyszedł z hallu. W westybulu, gdzie na początku stał tylko jeden policjant, teraz zobaczył ich sześciu. Byli to sami podoficerowie, a sądząc z medali na piersiach, każdy z nich brał udział w wojnie. Jimmy zauważył, że

wszyscy mieli ciężkie futerały z rewolwerami przytwierdzone do pasa i w myśli pochwalił czujność adwokata.

– Straż nocna, panie wachmistrzu? – spytał jednego, na którego rękawie widniała korona oznaczająca jego stopień.

– Straż nocna i dzienna, proszę pana – spokojnie odpowiedział zapytany.

– Słusznie – pochwalił Jimmy i wyszedł na ulicę.

Po odejściu Jimmygo adwokat i Connor również zaczęli zbierać się do wyjścia. Prawnik prawie nie zwracał uwagi na rosnącego, ociążałego przestępcę, idącego obok niego. Zwykły złoczyńca o masywnym karku.

– Czy życzy pan sobie, abym mu jeszcze coś wyjaśnił? – spytał, gdy znaleźli się obok siebie w westybulu.

Connor spojrział na stojących na straży podoficerów i lekko zmarszczył czoło.

– Niezbyt pan nam ufa – zauważył.

– Wcale wam nie ufam – podkreślił adwokat.

Czerwona koperta

Pan Spedding, znakomity adwokat, mieszkał w Clapham Common. Był właścicielem wspaniałej wielkopańskiej siedziby High Holly Lodge. Żył w stanie kawalerskim i miał wyjątkowe zamiłowanie do brydża i madery. Ciekawscy sąsiedzi niewątpliwie bardzo by się zdziwili, gdyby dowiedzieli się, że na renowację swojej siedziby w ciągu pierwszych dwóch lat wydał przeszło trzy tysiące funtów.

Nie było natomiast tajemnicą, że Spedding zatrudnił u siebie robotników mówiących w języku, którego w Clapham nikt nie znał. Jego pracownicy przez cały czas budowy mieszkali w skonstruowanym specjalnie dla nich baraku z blachy. Jeden z sąsiadów, który od czasu do czasu odwiedzał prawnika, wyraził zdumienie, że po dokonaniu tej całej roboty, nie widać właściwie żadnej różnicy w wyglądzie domu. Jego zdaniem po wyjeździe robotników dom wyglądał zupełnie tak samo, jak przed ich przybyciem. Na wszystkie pytania dotyczące przebudowy czy renowacji Spedding odpowiadał ogólnikowo. Wspominał tylko o nowym systemie wentylacji i centralnego ogrzewania.

Obywatel mieszkający pod miastem lubi upiększać swoją siedzibę według własnego gustu. Spedding jednak na wszystkie dyskretne prośby znajomych, chcących obejrzyć te jego wynalazki, odpowiadał tylko

swobodnym, dobrodusznym uśmiechem, tak nieocenionym w jego zawodzie.

Kilka dni po wydarzeniach w depozycie przy Lombard Street, Spedding siedział sam przy skromnym wieczornym posiłku w Clapham. Obok niego leżała na krześle gazeta wieczorna, którą przeglądał w przerwach między daniami. Po raz kolejny czytał fragment artykułu o uwolnieniu Szajki Miejskiej:

Ludzie aresztowani przy okazji przeprowadzonej przez policję obławy na jaskinię hazardu w Poplar zostali dziś wypuszczeni na wolność. Policja nie mogła dostarczyć dostatecznych dowodów, które by usprawiedliwiały wniesienie skargi.

Adwokat pokiwał głową z wyrazem powątpiewania.

– Podoba mi się to wyjaśnienie Angela – mruknął z cierpkim uśmiechem. – Doskonały sposób ratowania honoru policji, niemniej wolałbym się pozbyć Szajki Miejskiej.

W późniejszym czasie miał okazję zmienić zdanie.

Pukanie do drzwi poprzedziło ukazanie się dostojnego służącego. Adwokat rzucił okiem na wizytówkę, zawahał się przez sekundę, po czym zakomenderował:

– Prosić!

Do pokoju wszedł Jimmy i złożył lekki ukłon gospodarzowi, który wstał. Milczeli, dopóki nie zamknęły

się drzwi za służącym.

– Czym mogę służyć? – Adwokat wskazał krzesło.

– Czy mogę zapalić? – odparł pytaniem Jimmy.

Spedding skinął głową na znak przyzwolenia.

– Chodzi o te miliony Realea. – Jimmy podążał spojrzeniem za smugą dymu z papierosa.

– Jeśli pamiętam, wyraźnie zaznaczyłem, że w tej sprawie udzielam potrzebnych informacji tylko w biurze i w określonych godzinach – oznajmił szorstko adwokat.

Jimmy przytaknął ruchem głowy.

– Przyzna pan, panie Spedding – rzucił swobodnie – że testament Realea jest na tyle niezwykły, że usprawiedliwia odchylenia od konwencjonalnych przepisów.

Spedding niecierpliwie machnął ręką.

– Nie mam zamiaru mieszać się do pańskich interesów – ciągnął uprzejmie Jimmy. – I wcale mi nie zależy na tym, aby się dowiedzieć, w jaki sposób poznał pan swojego klienta, ani też, jakie honorarium pan otrzymał za podjęcie się sprawy tak niezwykłej. Jestem jednak przekonany, że dostał pan dostateczną rekompensatę za tak drobne nieprzyjemności jak, powiedzmy, moja poobiednia wizyta.

Jimmy potrafił w szczególny sposób dobierać słowa, ważył każde określenie, aby najściślej wyrażało każdy odcień jego myśli. Adwokat zrozumiał od razu, do czego Jimmy zmierza, i poprzestał na nic niemówiącym wzruszeniu ramion.

– Nie pytam o motywy pańskiego postępowania – mówił dalej Jimmy. – Chcę wierzyć, że są najzupełniej bezinteresowne i odpowiadają idealnemu stosunkowi między klientem a jego pełnomocnikiem.

Tym razem uczynił dłuższą pauzę, a rozdrażniony adwokat wycedził:

– A zatem?

– A zatem – powiedział powoli Jimmy – ponieważ w to wierzę, nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego, odczytując testament, nie zawiadomił nas pan, że istnieje klucz rozwiązujący tajemniczy wierszyk.

– Nie ma żadnego klucza – odciął się szybko adwokat. I dodał: – O ile mi wiadomo.

– Że nam pan nie powiedział – ciągnął Jimmy, jakby nie usłyszał słów adwokata – o czerwonej kopercie.

Spedding, śmiertelnie blady, zerwał się z krzesła.

– Koperta... – wybełkotał zirytowany. – Co panu wiadomo. .. o jakiejś kopercie?!

Jimmy wskazał mu krzesło.

– Kochany panie Spedding, bardzo proszę, by się pan powstrzymał od niepotrzebnych wybuchów i wykrętów. Proszę nie robić scen spowodowanych rzekomą obrazą honoru. Wcale nie twierdzę, że pan z jakichś tajemniczych powodów zataił przed nami informację, którą mój przyjaciel Angel określiłby pewnie jako „ciekawy zwrot akcji”. Nie wątpię, że w odpowiedniej chwili zawiadomiłby pan nas o istnieniu czerwonej koperty.

– Nie wiem o żadnej czerwonej kopercie – obstawał

adwokat.

– Podejrzywałem, że pan właśnie tak odpowie. – W głosie Jimmyego pobrzmiwał pewien odcień podziwu. – Nie należy pan do tych lisów, które wyrzekają się kurcząt za pierwszym szczeknięciem psa, proszę wybaczyć porównanie, i byłbym właściwie rozczarowany, gdyby postąpił pan inaczej.

Adwokat chodził po pokoju tam i z powrotem.

– Niech pan posłucha – rzekł w pewnej chwili, przystając przed Jimmym, który osłonięty obłoczkami dymu wygodnie rozparł się w fotelu. – Oto stracił pan mnóstwo czasu na analizowanie mojej osoby, szukanie nieprawdziwych cech mojego charakteru i dawanie mi do zrozumienia, że jestem nie lada łotrem. Czy wolno spytać, do czego pan zmierza? Czy chodzi może o akt wymuszenia? – spytał ochryple.

– Nie – oświadczył Jimmy, wcale niewytrącony z równowagi tym brutalnym pytaniem.

– Czy pan chce zebrać, zaciągnąć pożyczkę, a może...

– Kraść? – niedbale podsunął Jimmy.

– Chcę panu powiedzieć tylko tyle: niech pan kończy tę rozmowę. Poza tym może pan przyjść jutro rano, urządzić rewizję w moim biurze i wybadać moich sekretarzy. Będę panu towarzyszył w drodze do moich banków i do wynajętego sejfu o stalowych ścianach. Może pan szukać czerwonej koperty, o której pan mówi, a jeśli ją pan znajdzie, wolno panu będzie wysnuć najgorsze wnioski.

Jimmy spokojnie palił papierosa i zamyślonym spojrzeniem wodził po suficie.

– Czy mówi pan po hiszpańsku? – spytał.

– Nie – brzmiała niecierpliwa odpowiedź.

– Szkoda – westchnął Jimmy z odrobiną szczerego żalu. – Język hiszpański jest bardzo przydatny, zwłaszcza w Argentynie, a wiem, że adwokaci mający nieczyste sumienie darzą ogromnym upodobaniem ten piękny kraj. Moja znajomość hiszpańskiego wymaga pewnego odświeżenia. Kiedyś jednak miałem sposobność ćwiczyć się nieco w konwersacji z pewnym człowiekiem, który, jeśli się nie mylę, nazywał się Murrello. Czy pan go zna?

– Czy pan wreszcie skończy? Bo zadzwonię na służącego, by pokazał panu wyjście – wycedził adwokat.

– Otóż ten mój Hiszpan opowiedział mi interesującą historię. Okazało się, że pochodzi z Barcelony, a jako murarz czy ktoś w tym rodzaju został wraz ze swoją rodziną sprowadzony do Anglii, by dokonać niezwyklej przebudowy domu jakiegoś seniora w... No, akurat w Clapham.

Adwokat oddychał szybko i nieregularnie. Jimmy mówił powoli:

– Z tego zdołałem wywnioskować, a muszę zaznaczyć, że mój hiszpański jest bliższy dialektowi andaluzyjskiemu niż katalońskiemu, toteż niejeden szczegół tego interesującego opowiadania pozostał dla mnie niezrozumiały, że przebudowa ta dotyczyła przede wszystkim tajnych, niezwykle pomysłowych schodków,

stalowych drzwi przesłoniętych rzeźbą, piwnic w chytry sposób ukrytych pod niewinnymi kuchniami w suterrenach, małych schodków wydrążonych w ścianach robiących wrażenie solidnych murów i tym podobnych przeróbek. – Jimmy porzucił lekki ton i wyprostował się na krześle. – Nie mam zamiaru przeszukiwać pańskiego biura – zaznaczył spokojnie – a może powinienem powiedzieć, że nie mam ochoty na dalsze przeszukiwanie, gdyż najdokładniej przeszukałem już każdą dziurę i każdy kącik. Nie – uprzedził szybko słowa, cisnące się na usta Speddinga – nie ja dokonałem tego niezręcznego włamania, o którym pan wspomniał. Po mnie nie znalazł pan żadnych śladów, jestem pewien. Może pan sobie zachować klucze do swej kasy żelaznej. Nie będę też trudził pańskich bankierów.

– Czego pan chce? – spytał krótko adwokat.

– Chcę wiedzieć, co pan przechowuje w suterrenie – brzmiała odpowiedź, a jej ton świadczył o tym, że powinna zostać potraktowana serio. – Przede wszystkim zaś pragnę zobaczyć czerwoną kopertę.

Adwokat pochylił się w zamyśleniu. Jego oczy ani na sekundę nie przestawały wpatrywać się w Jimmyego.

– Przypuśćmy – zaczął – że taka koperta istnieje, przypuśćmy, teoretycznie, że w tym domu mieszczą się, jak pan twierdzi, te tajemnicze podziemia i ukryte komórki. Jakim prawem jednak rości pan sobie pretensje do ich oglądania, skoro nie było to udziałem żadnego z pozostałych spadkobierców? Dlaczego miałbym panu

przyznać ten przywilej z krzywdą dla tamtych?

Jimmy, zanim odpowiedział, wstał i wyprostował się.

– Ja uznaję tylko jednego spadkobiercę – rzucił krótko. – A raczej spadkobierczynię. Pieniądze należą się panie Kent. Sam nie wezmę ani pensa. Postanowiłem również, że poza nią nikt inny nic nie dostanie. Ani mój przyjaciel Connor – zrobił pauzę, by następnym dwóm słowom nadać większe znaczenie – ani pan.

– Ejże! – syknął oburzony adwokat.

– Ani pan, panie Spedding – z głębokim przekonaniem powtórzył Jimmy. – Mam nadzieję, że się dobrze rozumiemy. Moim zdaniem jest pan całkiem przyzwoitym obywatelem. Powierzyłbym panu dziesięć, a nawet sto tysięcy funtów, bez najmniejszej obawy. Ale nie powierzyłbym dwóch milionów w gotówce ani panu, ani nikomu innemu. Ogrom tej kwoty może zawładnąć poczuciem etyki. Im wcześniej czerwona koperta znajdzie się w rękach Angela, tym lepiej dla nas wszystkich.

Spedding stał z pochyloną głową, nerwowo gładząc palcami podbródek. Nad czymś się zastanawiał. Jimmy też myślał: „To inteligentny człowiek, trzeba się mieć na baczności, inaczej może być nieciekawie”. Obserwował twarz adwokata. Wyraz napięcia i zaniepokojenia ustąpił nagle miejsca spokojnemu uśmiechowi. „Pogodził się i powie chociaż część prawdy” – doszedł do wniosku Jimmy, a diagnoza okazała się trafna.

– Otóż, panie Jimmy – zaczął Spedding z pewną serdecznością – skoro wie pan już tak dużo, mogę panu

powiedzieć więcej. Jak pan to zręcznie odkrył, mój dom jest istotnie w znacznej mierze skarbcem. Mam tyle wartościowych dokumentów, że nie mógłbym ich spokojnie przechowywać w biurze. Tu, pod moim okiem, że się tak wyrażę, są najbezpieczniejsze. Papiery zmarłego Realea również znajdują się w tym domu. Czy jednak – proszę słuchać uważnie – czerwona koperta znajduje się pośród nich, tego nie wiem. Jest mnóstwo dokumentów, odnoszących się do tej sprawy, a nie miałem czasu przejrzeć ich wszystkich. Co prawda teraz jest już późno, ale... – Urwał niezdecydowany. – Jeśli ma pan ochotę obejrzeć tajemnicze podziemia – znów uprzejmie się uśmiechnął, całkiem już spokojny – to będzie mi bardzo miło... zwłaszcza gdy pomoże mi pan przejrzeć pobieżnie te wszystkie papiery.

Jimmy był uosobieniem skupienia i ostrożności.

– Niech pan prowadzi – odparł krótko, a Spedding, po chwilowym wahaniu, otworzył drzwi i wyszedł do westybulu. Za nim podążył Jimmy.

Wbrew jego oczekiwaniom adwokat poprowadził go na piętro i przez skromnie urządzone sypialnię wszedł z nim do przylegającej garderoby. Pod ścianą stała zwykła szafa, którą Spedding teraz otworzył. Wisiało w niej na kołkach i wieszakach kilka garniturów, ale Spedding szukał między nimi czegoś innego. Jimmy usłyszał cichy dźwięk i tylna ścianka szafy się usunęła.

Spedding odwrócił się w stronę gościa z drwiącym uśmiechem.

– Sposób, w jaki pański przyjaciel Angel zdobył dostęp do nory Szajki Miejskiej nie był oryginalny. Niech pan podejździe.

Jimmy ostrożnie zanurzył się w ciemność. Usłyszał naciśnięcie guzika elektrycznego i łagodny promień światła ukazał mu pokój, w którym dwóch ludzi mogło stać całkiem wyprostowanych. Tylne ścianki szafy zamknęły się. Znaleźli się w izdebce o rozmiarach zwykłej szafy. Na jednej ze ścianek znajdowała się sprężyna. Adwokat nacisnął ją ostrożnie. Jimmy miał wrażenie, że spada, i usłyszał stłumiony warkot maszyny.

– Zapewne winda elektryczna – zauważył spokojnie.

– Winda elektryczna – powtórzył adwokat.

Zjeżdżali coraz niżej i niżej, a Jimmy obliczył, że muszą być chyba co najmniej dwadzieścia stóp poniżej poziomu ulicy. Następnie winda zwolniła, aż wreszcie zatrzymała się przy jakichś drzwiach. Spedding otworzył je kluczem, który wyjął z kieszeni, po czym weszli w wilgotny, zatechły mrok.

– Jest światło. – Adwokat po omacku szukał kontaktu.

Byli w dużym pokoju o suficie w kształcie łuku. Światło spływało z góry. Naprzeciw widać było stalowe drzwi, a wzdłuż ścian, na żelaznych półkach, stało mnóstwo czarno lakierowanych skrzyń w stylu japońskim. Jimmy odczytywał napisy. Był zaskoczony rozległą i poważną wiedzą adwokata. Spedding odgadł widocznie jego myśli, gdyż powiedział z ironicznym uśmiechem:

– To chyba nie świadczy o adwokacie, który ma nieczyste sumienie.

– Dwa miliony funtów – szybko odparował Jimmy. – To jedyna moja odpowiedź, panie Spedding. Olbrzymi majątek. .. tak łatwy do osiągnięcia. W podobnych warunkach nie ufałbym nawet dyrektorom Banku Anglii.

Kiedy Spedding podchodził do drzwi w ścianie i otwierał je, był niewątpliwie poirytowany. Umiał jednak ukryć rozdrażnienie. Gdy drzwi odskoczyły, Jimmy zobaczył pokój sześciu stóp długości i czterech szerokości. Mógł dosięgnąć stropu ręką. Czuć tu było powiew świeżego powietrza, Jimmy nie mógł jednak odkryć, skąd pochodził. Jedyne sprzęty w tej celi były biurko i krzesło, ustawione tuż pod lampą elektryczną zwisającą z sufitu.

Spedding wysunął szufladę biurka.

– Nie zamykam go – rzekł żartobliwie.

Było to dla niego charakterystyczne – nie wdawał się w żadne wstępy ani usprawiedliwienia. Nie okazał też najmniejszego zmieszania, gdy, wsunawszy rękę do szuflady, wydobył z niej dużą czerwoną kopertę i rzucił na biurko. Może zapomniał, że ostatnie jego słowa przeczyły jej istnieniu. Jimmy spojrzał nań z zaciekawionym, a adwokat odpowiedział mu, pytaniem:

– Zaskoczyłem pana?

– Nie – wesoło odparł Jimmy. – Znałem w Argentynie podobnego człowieka. Skończył na szubienicy.

– Dziwne – adwokat oddzielał każde wypowiedziane słowo – nieraz myślałem, że mogę skończyć na szubienicy, ale nigdy nie potrafiłem sobie wyobrazić, za co... – Omal nie dodał jeszcze czegoś, ale w ostatniej chwili się pohamował.

Jimmy trzymał w ręku czerwoną kopertę i uważnie ją oglądał. Zdobilo ją kilka pieczętek adwokata, a niezdarnym, prawie nieczytelnym pismem Reale napisał na niej własnoręcznie: „Pomysły do zagadek”. Jimmy ważył kopertę w ręce i obmacywał. Wewnątrz wyczuł mały twardy pakiecik.

– Otworzę ją – oświadczył stanowczym tonem. – Pan oczywiście już ją zbadał.

Adwokat nie odpowiedział.

Jimmy złamał pieczętki. Jego myśli po części były zajęte odgadywaniem zawartości, po części zaś próbowały przeniknąć plany adwokata. Jimmy był nazbyt doświadczony, by dać się zwieść gładkiej uprzejmości Speddinga. Obserwował każdy jego ruch. Pozornie zajęty dokładnym oglądaniem pakieciku, ani na sekundę nie spuszczał Speddinga z oczu. Że adwokat zachowywał się spokojnie i milczał, było dla Jimmyego jeszcze jednym dowodem, iż wielki zwrot akcji nastąpi rychło.

– Kopertę możemy równie dobrze obejrzeć na piętrze – zasugerował adwokat.

Jimmy przytaknął i wyszedł za nim z celi. Spedding zamknął stalowe drzwi, przekręcił klucz w zamku i wyraźnie zadowolony zwrócił się do swojego towarzysza:

– Zauważył pan, jak sprytnie skonstruowany jest ten pokój? – Wskazał ręką na sklepienie, żelazne półki wzdłuż ścian i błyszczące czarne skrzynki.

Jimmy miał się teraz na baczności. Pogodny nastrój adwokata był zbyt nieuzasadniony, jego uwagi zaś trochę wymuszone. Robiły wrażenie niezręcznego wstępu do historii, którą pragnie się za wszelką cenę opowiedzieć.

– To na przykład – Spedding dotknął jednej ze skrzynek – wygląda pozornie na zwyczajną skrzynię z dokumentami. A w rzeczywistości jest niesłychanie pomysłową pułapką na włamywaczy, gdyby któryś z nich przypadkiem miał ochotę wtargnąć do tych podziemi. Nie można tej skrzynki otworzyć zwykłym kluczem, jedynie przez naciśnięcie sprężyny w moim pokoju lub tu. – Powoli przeszedł w drugi róg izby, a Jimmy postępował tuż za nim.

Jak na człowieka o dość ciężkiej budowie ciała, Spedding był niezwykle zwinny. Jimmy nie docenił jego zręczności fizycznej. Poznał się na niej, dopiero gdy nagle zgasło światło. Rzucił się na adwokata, lecz dotknął tylko szorstkiego muru podziemia. Po omacku wyciągał ręce na prawo i lewo, trafiał jednak w próżnię.

– Stój pan – odezwał się rozkazująco Spedding z drugiego kąta pokoju – i zachowuj się spokojnie. Pokażę panu moją pułapkę na włamywaczy.

Jimmy przesuwiał palcami po murze, szukając kontaktu. Odgadując jego zamiar, Spedding rzekł:

– Światło jest wyłączone, panie Jimmy, a ja jestem

zbyt daleko, by mógł mnie pan dosięgnąć.

– Zobaczymy – chłodno odpowiedział Jimmy.

– Jeśli zechce pan strzelać, sprawi pan tylko, że powietrze stanie się jeszcze bardziej duszne, niż jest – dodał adwokat.

Jimmy uśmiechnął się w mroku, Spedding zaś usłyszał trzask, mówiący mu, że jego więzień nabija rewolwer.

– Czy zauważył pan mały wentylator? – znów się odezwał. – Otóż stoję za nim. Między moim ciałem a pańskimi nabojami znajduje się mur grubości dwóch stóp.

Jimmy nie odpowiedział, lecz opuścił rewolwer. Miał wprawdzie w kieszeni swoją lampkę elektryczną, ale nie chciał jej na razie używać.

– Zanim pójdziemy dalej – powiedział powoli – może zechce pan mnie poinformować co do swoich zamiarów?

Potrzebował trzech minut, i to koniecznie. Choć była szansa, że wystarczą dwie. Przez cały czas gdy adwokat mówił, Jimmy był bardzo zajęty. Po zgaśnięciu światła zdjął obuwie, a teraz przemieszczał się bezszelestnie wzdłuż ścian, nerwowymi palcami przesuwając po chropowatym murze.

– Co do moich zamiarów – mówił tymczasem adwokat – to chyba pan pojmuje, że nie leży w moich intencjach wydać pana w ręce policji. Natomiast, mój młody przyjacielu, używając wyrażenia popularnego w świecie zbrodniarzy, postanowiłem się pana „pozbyć”, co znaczy, że, proszę mi wybaczyć moją formalistyczną

terminologię, pomogę panu dostać się do innego świata. I choć nie jestem optymistą, spodziewam się, że będzie to lepszy świat. – Usłyszał zuchwały śmiech Jimmyego dochodzący z ciemności. – Jimmy, jest pan z tych ludzi, których lubię – ciągnął współczująco. – Wolałbym sobie zaoszczędzić tego przykrego obowiązku. Jest to jednak obowiązek, do którego się poczuwam zarówno wobec społeczeństwa, jak i wobec samego siebie.

– Zabawny z pana człowiek – odezwał się Jimmy.

– Bardzo się cieszę, że pan tak sądzi. Ale teraz, mój młody przyjacielu, obawiam się, że czas kończyć naszą rozmowę. Czy zna się pan trochę na chemii?

– Trochę.

– W takim razie będzie pan mógł docenić moją pułapkę na włamywaczy. – Spedding nie krył satysfakcji. – Czy pan może zauważył polakierowaną skrzynkę z wieczkiem o wywierconym otworze? Zauważył pan? Doskonale! Otóż są w niej dwie przegródki, a każda z nich mieści składnik chemiczny w określonej dawce. W tej chwili dotykam ręką sprężyny, z pomocą której pomieszam te dwa składniki. Czy pan wie, co się stanie, gdy cyjanek połączy się z kwasem siarkowym? Czy wie pan, jaki z tego połączenia wytworzy się gaz?

Jimmy nie odpowiedział. Znalazł wreszcie po omacku to, czego szukał. Jego rozmowa z hiszpańskim murarzem nie była daremna. W murze znajdował się mały kamienny występ. Nacisnął go i nagle owiał go chłód. Wyciągnął rękę i przekonał się, że tam, gdzie był przed

chwilą mur, teraz otacza go próżnia.

– Jimmy, słyszy pan, co mówię? – zapytał Spedding.

– Słyszę – odparł Jimmy, szukając teraz po ciemku krawędzi tajemnych drzwi. Przesuwał palcami po gładkiej powierzchni i oto natrafił na zapadki zamku.

– Z tego połączenia chemicznego powstaje kwas pruski – mówił łagodnie adwokat, a Jimmy usłyszał szmer opadającej sprężyny. – Żegnam – dodał jeszcze prawnik.

Jimmy zatoczył się i runął w tył przez otwarte drzwi, pociągając za sobą falę ciężkiego powietrza przesyconego silną wonią migdałów.

Co zawierała czerwona koperta

Kochany panie Angel. Polecam Panu niejakiego pana Speddinga, człowieka niezwykle uzdolnionego. Gdyby go Pan przypadkiem zechciał kiedyś odwiedzić, proszę to zrobić w jego godzinach urzędowania. Jeśli jednak miałby Pan ochotę obejrzeć jego najtajniejsze zbiory, niech Pan się postara dostać do ponurego domu na rogu Cley Road, w nieznacznej odległości od High Holly Lodge. Widnieje tam wielki napis: „Do wynajęcia”. W suterenie mieści się piwnica. Jeśli całkiem dokładnie przeszuka Pan tę piwnicę, to odkryje w niej kamienne schody wiodące do podziemi. Jeśli to panu przypomni jakiś ustęp z Dumasa czy kochanego Harrisona Ainswortha, nie moja w tym zasługa. Odwiedziłem wczoraj naszego doradcę prawnego i spędziłem tam cały straszny wieczór. Jeśli jestem przy życiu, zawdzięczam to jedynie mojej przezorności i przewidującej mądrości. Owocem mej wizyty jest klucz do hasła otwierającego schowek Realea. Trzymam go teraz w ręce. Proszę przyjść, a wręcę go Panu.

Wiadomość ta czekała na Angela, gdy rano przyszedł do Scotland Yardu. I on spędził bezsenne godziny, usiłując rozwiązać rymowaną zagadkę starego Realea. Wezwana telegraficznie Kathleen Kent przyjechała do miasta. Angel spotkał się z nią w zacisznej restauracji przy Rupert Street. Zaskoczyła go subtelna uroda smukłej

dziewczyny o spokojnych szarych oczach. Przywitała go przelotnym, smutnym uśmiechem.

– Obawiałam się, że nie zechce mnie pan widzieć po tym moim poprzednim wybuchu – przyznała. – Czy ten... ten... człowiek jest pana przyjacielem?

– Jimmy? – pogodnie spytał detektyw. – Tak, Jimmy jest dla mnie kimś w rodzaju przyjaciela. Zasłużył jednak na to, co usłyszał z pani ust, i na pewno zdaje sobie z tego sprawę, panno Kent.

Twarz dziewczyny momentalnie się zasepiła na wspomnienie Jimmyego.

– Nigdy tego nie zrozumiem – westchnęła. – Jakim sposobem tak zdolny człowiek mógł dojść do tego, by...

– Ale przecież powiedział pani, że nie brał udziału w zwabieniu pani ojca do tej szulerni – żywo zaprotestował detektyw.

Dziewczyna spojrzała na niego w najwyższym zdumieniu.

– Chyba pan nie przypuszcza, że uwierzę w te jego wykręty! – zawołała.

Angel przybrał poważny wyraz twarzy.

– Właśnie chcę panią prosić, by w nie uwierzyła – oznajmił spokojnie. – Jimmy nigdy nie ucieka się do wykrętów. Nie dopuściłby się kłamstwa dla usprawiedliwienia swoich win.

– Ale... ale... – wymamrotała zmieszana Kathleen – przecież jest złodziejem, z czym się zresztą nie kryje. To zły człowiek...

– Jest złodziejem – potwierdził rzeczowo Angel – ale nie jest złym człowiekiem. Dla większości ludzi Jimmy jest wielką zagadką. Ja doskonale go rozumiem... Może dlatego, że mam w sobie coś ze zbrodniarza.

– Chciałabym, och, jak bardzo bym chciała, móc dzielić pańską wiarę co do niego! Mogłabym wtedy w swoim sercu oczyścić go z podejrzenia, że przyczynił się do zrujnowania mojego biednego ojca.

– Sądzę, że może pani to zrobić – rzekł detektyw niemal gorąco. – Proszę mi wierzyć, do Jimmyego nie można przykładać zwykłej miary. Zamiast go opisywać, powiem tylko, że jest genialnym człowiekiem, który porusza się w obrębie osobliwego, sobie tylko znanego kręgu. Gdybym był najzacieklejszym wrogiem Jimmyego, a pani zwróciłaby się do mnie jako do urzędnika policji i spytała, co z nim zrobić, odpowiedziałbym: „nic”. Nic mi nie wiadomo o żadnej zbrodni, o którą można go posądzić. No może z wyjątkiem tego, że czasem zadaje się z osobnikami o wątpliwej reputacji. Ale ten sam zarzut można też postawić mnie. Panno Kent, proszę posłuchać. Pierwsza wielka międzynarodowa sprawa, w którą bytem zaangażowany, dotyczyła olbrzymiej kradzieży, do której doszło w egipskim banku. Chodziło o jakieś czterysta tysięcy funtów. Dla postronnego obserwatora Jimmy był poza wszelkimi podejrzeniami, my, wtajemniczeni, musieliśmy go jednak podejrzewać, i to bardzo. Bank był własnością bogatych Egipcjan, a na czele całej tej spółki stał jakiś pasza, największy łotr, jaki kiedykolwiek

chodził po świecie. Trudno wyliczać wszystkie jego przestępstwa, ale może się ich pani domyślić. Otóż ten pasza wiedział, że to wszystko jest sprawką Jimmyego. My wiedzieliśmy także, lecz nie śmieliśmy tego ujawnić. Uwięzienie Jimmyego automatycznie spowodowałoby ruinę banku. Wtedy sobie uświadomiłem, z jakim człowiekiem mam do czynienia. Ilekroć Jimmy wmieszany jest w jakąś wielką zbrodnię, jestem z góry przekonany, że ofiara aż nadto zasłużyła na los, który ją spotkał. Jeśli nie na coś gorszego.

Dziewczyną wstrząsnął lekki dreszcz.

– A jednak to brzmi okropnie. Czy taki człowiek nie mógłby spożytkować swoich zdolności w inny sposób?

Angel wzruszył ramionami.

– Przestałem się już zastanawiać nad źle skierowanymi zdolnościami. To problem, który dotyczy także mnie samego. Ale wracając do Jimmyego... Cieszę się, że pani zaczęła o nim mówić, gdyż właśnie chciałem prosić, by się pani z nim spotkała dziś wieczorem.

– Och, nie, to niemożliwe... – zaczęła.

– Dlaczego? Z powodu zajścia, które miało miejsce po odczytaniu testamentu? O tym musi pani zapomnieć. Jimmy ma klucz do wierszowanej zagadki, koniecznie więc musi się pani z nim spotkać.

Po chwili zastanowienia Kathleen Kent się zgodziła.

* * *

Siedzieli wszyscy troje w sympatycznej jadalni w mieszkaniu Jimmyego. Okrągły stół był zarzucony różnymi dokumentami i świstkami papieru. Dziewczyna obawiała się tego spotkania, lecz ukłon, który jej złożył Jimmy z daleka, bardziej ją uspokoił, niż gdyby chciał się w jej oczach zrehabilitować. Bez żadnego wstępu Jimmy pokazał im zawartość pakieciku. Nie wyjaśnił dziewczynie, w jaki sposób wszedł w jego posiadanie.

– Spośród wszystkich tych papierów – zaczął Jimmy, dotykając koperty – tylko jeden przedstawia pewną wartość, choć i on powiększa tylko chaos. Widać, że Reale długo pracował nad tym przeklętym kryptogramem. Istnieje kilka prób i wersji, które odrzucił. Oto jedna z nich. – Podsunął kartkę, na której charakterystycznym pismem Realea napisanych było kilka słów.

Angel odczytał:

Słowo o pięciu literach, które chcę użyć, mianowicie:

Białe każde 24 s. Stałe białe i czerwone.

*Białe grupowe dwa każde 30 s. Przer. białe czerwone
każde 30 s. Stałe białe i czerwone.*

I poniżej:

Niemożliwe, zbyt łatwe.

Detektyw bezradnie opuścił głowę.

– Niech mnie powiesz, jeśli to ma być łatwe – rzekł.
– Mnie wydaje się tak samo niedorzeczne i równie trudne, jak wcześniejsza zagadka.

Z cichym uśmiechem zadowolenia Jimmy obserwował zakłopotanie detektywa. Zdawał się nie patrzeć na dziewczynę, ale spod oka rzucał na nią krótkie spojrzenia. Widział jej młodą twarz, pochyloną gorączkowo nad kartką papieru. Widział, jak na pięknym czole pojawiają się – z każdym kolejnym bezowocnym wysiłkiem odcyfrowania dziwaczного dokumentu – coraz głębsze zmarszczki.

– A jednak to łatwe – oświadczył. – I gdyby Reale pozostał przy tym hasle, to już teraz moglibyśmy otworzyć schowek.

Angel wciąż jeszcze biedził się nad ukrytym hasłem.

– Jeżeli dobrze rozumiem – powiedział Jimmy – to będzie to słowo *smock*, możliwe jednak...

– W jaki sposób... – przerwał mu zdumiony Angel.

– Och, to całkiem łatwe – wesoło odparł Jimmy – i dziwi mnie, że taki obieżyświat jak pan od razu na to nie wpadł.

– „Przer. białe czerwone każde 30 s” – powtórzył Angel.

Jimmy się zaśmiał.

Dziewczyna po raz pierwszy widziała tego dziwnego człowieka bez krępującej go sztywnej powagi i z zadowoleniem stwierdziła, że z tym uśmiechem bardzo mu do twarzy.

– Pozwoli pan, że to wyjaśnię! – zawołał. – Po prostu rozszerzę tekst: „Białe przerywane czerwonym każde trzydzieści sekund”. Teraz pan rozumie?

Angel potrząsnął głową przecząco.

– Może mnie pan uważać za okropnie głupiego – przyznał szczerze – ale nawet po tym pańskim jasnym wytłumaczeniu, ciągle błędzę w ciemnościach.

Jimmy zaśmiał się cicho.

– Przypuśćmy, że przyjechał pan wieczorem do Dover i poszedł na koniec Admiralty Pier. Noc pogodna, gwiazdy migocą na niebie, a pan spogląda w kierunku Francji i widzi...

– Nic nie widzę – mruknął Angel. – Co najwyżej kilka świateł z okrętów i może jeszcze refleksy latarni morskiej w Calais.

– Światła przerywane? – podsunął Jimmy.

– Przer... Na Boga!

– Cieszę się, że pan pojmuje – potwierdził Jimmy z ożywieniem. – Stary Reale zamierzał po prostu wymienić pięć sławnych latarni morskich. Można je znaleźć w pierwszym lepszym spisie: Sanda, Milford Haven, Orkneys, Caldy Island, Kinnard Head. Nazwy tworzą akrostych, a początkowe litery składają się na słowo *smock*. To jednak było za łatwe. I za trudne, ponieważ istnieją przynajmniej dwie lub trzy latarnie o takim samym świetle stałym. Z tego powodu Reale porzucił ten pomysł.

Angel westchnął, a jego twarz wyrażała podziw.

– Jimmy, jest pan cudem – rzekł po prostu.

Jimmy, zajęty układaniem papierów, spojrział ukradkiem na dziewczynę. „Jestem tylko człowiekiem” – pomyślał, trochę zirytowany tym odkryciem.

– Teraz przejdziemy do ważniejszego klucza – oznajmił, wygładzając na stole kartkę papieru. – Zdaje mi się, że ten właśnie odnosi się bezpośrednio do naszej wierszowanej zagadki.

Trzy głowy zbliżyły się do siebie i pochyliły nad zabazgraną kartką.

– Rycina przedstawiająca kaczkę, która znaczy T... – sylabizował Angel. – Ale to wykreślone. Następnie wąż, oznaczający T...

Jimmy skinął potakująco.

– W wierszu Realea – wtrącił zamyślony – jest sześć ważnych rzeczowników. Poza tymi sześcioma słowami cały wiersz nie ma, moim zdaniem, żadnego sensu. Sześć rzeczowników następujących po sobie... i każdy zapisany wielkimi literami. Proszę posłuchać.

Wyjął z portfela znajomą kartkę, na której napisany był wiersz:

*Oto zagadka w starym języku,
Rozwiż – a złota znajdziesz bez liku.
Tedy na RYGIEL drzwi zamknij wraz,
A skoro tylko znajdziesz CZAS,
Rażno skocz nad rzeki BRÓD,
Czy na zachód, czy na WSCHÓD.*

*Zerwij liści świeżych PEK,
Niech cię nie opadnie LEK.
Zagadka ze starej księgi wzięta,
A jest to księga mądra, święta.*

– Mamy sześć słów. – Jimmy wypisał je i odczytał: – Rygiel, czas, bród, wschód, pęk, lęk. Każde oznacza jedną potrzebną literę. Ale którą?

– To beznadziejna sytuacja, jeśli stary wyszukiwał najdalsze rzeczy, mające oznaczać jakąś literę alfabetu – rzekł Angel.

Dziewczyna mruknęła coś półgłosem i spotkała się z pytającym spojrzeniem Jimmyego.

– Powiedziałam tylko... – zawahała się – że w tym wszystkim zdaje się tkwić jakaś metoda.

– A to? – Jimmy wskazał wykreśloną kaczkę. – To kazałoby wnosić, że Reale brał te swoje symbole na chybił trafił, kaczka mu się nie podobała, więc zastąpił ją wężem.

– Czy to jednak nie dziwne – Kathleen zwróciła się do Angela – by człowiek niewykształcony, jak ów Reale, wykonał nawet tak prymitywne rysunki bez żadnego wzoru?

– Ma pani rację – żywo zareagował Jimmy.

– Poza tym – ciągnęła śmieiej – czy rysunki te nie przypominają czegoś znanego?

– Ale czego? – spytał Angel.

– Tego nie wiem. – Potrząsnęła bezradnie głową. – A

jednak na pewno coś mi przypominają. Nie daje mi to spokoju, jak melodia, której nie potrafię zagrać. Jestem pewna, że gdzieś już widziałam takie rysunki, że są częścią jakiegoś systemu... – Urwała nagle. – Tak, wiem już – podjęła ciszej.

– Łączą się w moich myślach z... z... Biblią.

Obaj mężczyźni wpatrywali się w nią w najwyższym zdumieniu, aż nagle Jimmy zerwał się podniecony.

– Tak, tak! – wykrzyknął. – Angel, czy pan nie widzi? Ostatnie dwa wiersze tej zagadki Realea: „Zagadka ze starej księgi wzięta, a jest to księga mądra, święta”.

– Dalej, dalej panno Kent – nalegał Angel. – Jest pani na dobrym tropie. Niech się pani jeszcze zastanowi...

Kathleen zawahała się, po czym pierwszy raz tego dnia zwróciła się bezpośrednio do Jimmyego:

– Pan zapewne nie posiada...?

Uśmiech Jimmyego był trochę wymuszony, gdy na niedopowiedziane pytanie odpowiedział z odcieniem goryczy:

– Muszę panią rozczarować, ale posiadam jeden egzemplarz. – Podeszedł do szafy w rogu, zdjął z półki tom noszący ślady częstego czytania i położył przed dziewczyną.

Zasłużyła na ten cierpki ton, dobrze o tym wiedziała. Teraz szybko przerzucała kartki, ale intuicja, która wyostrzyła się przed chwilą, już ją opuściła. W świętej księdze nie było nic, co pomogłoby jej uporządkować myśli.

– Czy to jakiś cytat z Biblii? – spytał Angel.

Potrząsnęła głową.

– Coś... coś takiego... – zaczęła. – To brzmi całkiem niejasno, nieprawdaż? Myślałam, że jak tylko wezmę książkę do ręki, wszystko sobie przypomnę.

Angel w skupieniu zastanawiał się nad zagadką.

– Tu mamy przynajmniej jedną literę. Prawda, panie Jimmy?

– Drzwi? – spytał Jimmy. – Tak, to dość jasne. Jakikolwiek to będzie słowo, następną literą jest „P”. Niech pan tylko spojrzysz na te zabazgrane kartki z notatkami Realea. Te nie mają znaczenia, tamte chyba będą lepsze, jeśli się nie mylę. Czyli „T”, „O” i „K” możemy śmiało wyłączyć. – Jimmy ciągnął niezrozumiałe dla Kathleen rozważania. Najlepsze wyjaśnienie – mówił dalej – dają chyba notatki o profesorze. Proszę zobaczyć:

Not.: Sprowadzić nową książkę profesora.

Not.: Zrobić jak radzi profesor.

Not.: Napisać do profesora w sprawie...

– A teraz pytanie: kto jest tym profesorem, o jaką książkę chodzi i co profesor radził? Reale korespondował z nim, to pewne. Pragnął być dokładny, więc zwracał się do niego po pomoc. We wszystkich tych papierach nie ma śladu żadnego listu, a jeśli istnieje jakaś książka, to jest w posiadaniu Spe... To jest tam, gdzie była ta koperta.

Mężczyźni wymienili ze sobą szybkie spojrzenia.

– Tak – rzucił Angel, odpowiadając niejako na niewypowiedzianą myśl Jimmyego. – To dałoby się zrobić.

Dziewczyna popatrzyła nieufnie na jednego i na drugiego.

– Czy potrzebne jest narażanie się na nowe niebezpieczeństwo? – odezwała się spokojnie. – Nie pytałam, w jaki sposób wszedł pan w posiadanie koperty, ale mam wrażenie, że było to związane z czymś niebezpiecznym.

Angel nie zwrócił uwagi na ostrzegawczy gest Jimmyego. Postanowił zaprezentować dziewczynie pozytywną cechę swojego osobliwego przyjaciela.

– Aby zdobyć tę kopertę, Jimmy ryzykował życiem – zauważył.

– Wobec tego zakazuję dalszego narażania się – odparła stanowczo. – Sądziłam, że wyraziłam się wystarczająco jasno. Nie życzę sobie żadnych uprzejmości ze strony pańskiego przyjaciela, a tym bardziej, by narażał swoje życie.

Jimmy zachował spokój. Jeśli chciał, zawsze znajdował celną ripostę. A teraz właśnie chciał.

– Nie sądzę, by mógł pan wystarczająco dobitnie wytłumaczyć pannie Kent, że w tę sprawę jestem tak samo zaangażowany, jak ona – odezwał się lodowato. – Skoro odrzuciła propozycję mojego zrzeczenia się pretensji do majątku, a także nie była zainteresowana moją pomocą, powinna pamiętać, że losy spadku

obchodzą mnie w takim samym stopniu jak ją. Jeśli się narażam, to nie tyle z pięknych i romantycznych pobudek, jak uważa panna Kent, ile z naturalnego pragnienia polepszenia swojej sytuacji materialnej.

Lekko drgnęła pod ciężarem tych bezwzględnych słów. Uświadomiła sobie, że nie miała racji i poczuła irytację z powodu swojego nietaktu.

– Jeśli książka znajduje się tam, gdzie były papiery, można ją stamtąd wydostać – mówił dalej Jimmy, stopniowo odzyskując dobry humor. – Jeśli profesor jeszcze żyje, odszukam go, jutro zaś będę dysponował spisem wszystkich dzieł, które napisał. – Najwyraźniej jakaś myśl go rozweseliła i po raz drugi tego popołudnia głośno się zaśmiał.

– Czekają nas ciekawe lektury. Bóg raczy wiedzieć, w jakie tajemnicze dziedziny wprowadzi nas uczony profesor. Znam jednego profesora, którego rozprawa socjologiczna rozrosła się do dziesięciu tomów, i drugiego, który swoje poglądy na logikę indukcyjną zawarł na tysiącu dwustu zadrukowanych stronicach. Oczami wyobraźni już nas widzę, pośród chaosu opasłych dzieł, poszukujących w grubych tomach mistycznych aluzji do drzwi, rygli, brodu i tak dalej.

Wizja, którą roztoczył, była tak zabawna, że Kathleen nie potrafiła zachować powagi. Wybuch wesołego śmiechu, jakim odpowiedziała na ten opis, zapoczątkował jej przyjaźń z człowiekiem, który, jak sam przyznawał, był złodziejem, a prawdopodobnie i kimś gorszym.

Jimmy zebrał rozrzucone papiery, włożył je z powrotem do koperty i wręczył Angelowi.

– Proszę dołączyć to do archiwów – rzucił mimochodem.

– Dlaczego nie mogą zostać tutaj? – spytał Angel zdziwiony.

Jimmy podszedł do jednego z trzech okien balkonowych. Szybkim spojrzeniem objął ulicę, po czym skinął na Angela.

– Widzi pan tego człowieka? – Wskazał jego mościa wałęsającego się po przeciwległym chodniku.

– Tak.

Jimmy cofnął się w głąb pokoju.

– Dlatego – wyjaśnił. – Dziś albo jutro w nocy dokonają włamania. Nie pozwoli, aby majątek wymknął mu się z rąk. Musi podjąć przynajmniej próbę ratowania sytuacji.

– Kto nie pozwoli? – wtrąciła się dziewczyna. – Ma pan na myśli tych okropnych ludzi, którzy mnie uprowadzili?

– Bardzo możliwe – odparł Jimmy. – Choć, muszę przyznać, miałem na myśli kogoś innego.

Dziewczyna zdążyła już włożyć płaszcz i stała niezdecydowana przy drzwiach. Angel czekał na nią.

– Żegnam – powiedziała z ociąganiem. – Ja... ja... Obawiam się, że byłam niesprawiedliwa i... i pragnę panu podziękować za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Wiem... czuję, że byłam nieuprzejma i...

– Nie była pani w stosunku do mnie niesprawiedliwa
– zastrzegł cicho Jimmy. – Jestem tym, za kogo mnie pani
uważa. A nawet kimś jeszcze gorszym.

Podowała mu rękę, a on podniósł ją do ust, co nie było w
jego zwyczaju.

8

Stary George

Obcy podążający w kierunku dzielnicy North Kensington, ciągnącej się w pobliżu Ladbroke Grove, miał pecha: pomylił drogę. Mijał rozmaite kręte ulice i spokojne skwery zdające się wprost promieniować dobrobytem wyższego stanu średniego. Szedł dalej szerokimi alejami, gdzie przed wąskimi podjazdami czekały lśniące powozy, a raz zabłąkał się nawet do dużej obory, w której furmani, wśród zwykłych nawoływań, zaprzęgali konie do powozów plutokracji z Notting Hill. Bardzo możliwe, że temu obcemu – który zresztą nie pozostaje w żadnym związku z naszą historią – wcale nie było śpieszno do celu, w każdym razie nie zapytał przechodzącego policjanta o drogę, lecz dalej szedł przed siebie. Doszedł w końcu do Kensington Park Road, szerokiej alei okolonej dużymi ogrodami i mniejszymi ogródkami, po czym skręcił w boczną ulicę. Uszedł jakieś dwadzieścia kroków i zobaczył, że znalazł się w samym sercu brudnej dzielnicy proletariackiej.

Ta mała przestrzeń między Westbourne Grove a Kensington Road nie była jednak zwyczajną dzielnicą biedoty. Nie było tu wałących się domów ani głośnych uliczek; przeciwnie, ciągnęły się szeregi domów, którym powagi dodawały schody prowadzące do pretensjonalnych drzwi wejściowych i pomieszczeń, w których mieszkała kiedyś służba wypełniająca rozkazy

nizszej klasy stanu średniego minionej epoki. Teraz po ulicach uganiała się cała armia wrzeszczących dzieci, reprezentujących rozmaite stopnie zabrudzenia, w korytarzach domostw nie było ani strzępka dywanu czy chodnika, a na niektórych posesjach dusiło się po osiem lub dziewięć rodzin. Niechlujnie ubrane kobiety, z rękami ukrytymi pod wypłowiałymi fartuszkami, całe życie spędzały przed frontowymi drzwiami. W sobotę wieczór zaś przynajmniej jedna z tych ulic w pełni zasługiwała na ordynarną, lecz dobitną nazwę nadaną jej przez policję – Piekiełko. Na tej właśnie ulicy za największy z wszystkich możliwych występków uchodziło „szpiegowanie”.

Na Cawdor Street określenie „szpieg” ma różnorodne znaczenie. Może się odnosić do policjanta, detektywa, dyrektora szkoły, administratora domu, a także do każdego urzędnika. Pewnego dnia zjawił się tu jakiś człowiek i wynajął jeden z większych domów. Ku zdziwieniu pośrednika zapłacił miesięczny czynsz z góry, a ku równie wielkiemu zdziwieniu sąsiadów nie przyjął żadnego sublokatora. Ten jedyny odosobniony dom na Cawdor Street oznaczony był numerem 49. Meble przywieziono w nocy, co zresztą było regułą u ludzi, którzy dbali o swoje przyzwoite sprzęty. Cała ulica z zaciekawieniem wyczekiwała natomiast przybycia pani domu. Nadaremnie, wkrótce dowiedziano się z najwyższym zdumieniem, że lokator świeżo wynajętego domu jest kawalerem.

Przed laty pod numerem 49 mieszkał przedsiębiorca budowlany, stąd posesja miała boczną bramę. Mieszkańcy Cawdor Street odkryli z zadowoleniem, że nowy lokator zamierza przywrócić dawną świetność domu. Na murze umieszczono rzucającą się w oczy tablicę z napisem: „J. Jones, przedsiębiorca budowlany”. Ciekawski pan Lane spod numeru 76 zdołał zerknąć przez bramę na podwórze. Na drzwiach zobaczył duży napis: „Biuro”. O pewnych godzinach, zwłaszcza wieczorem, przychodzili do biura rozmaici, źle ubrani ludzie. Bawili tam chwilę, po czym odchodzili. Na podwórzu pojawiły się też dwie zniszczone drabiny, które wysłużonymi szczeblami górowały ponad bramą.

– Próbowałem dziś kupić używany ręczny wózek i taczki. – Pan Jones rozmawiał z jednym z robotników. – Prawdopodobnie uda mi się jutro te rzeczy kupić po odpowiedniej cenie. Dobrze by było przywieźć także kilka worków wapna i kilka taczek piasku i cegieł, aby skończyć już z tą robotą.

Robotnik wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– W samą porę to urządziłeś, Connor – odparł.

Pan Connor – bo to on właśnie był „J. Jonesem, przedsiębiorcą budowlanym” – skinął głową potakująco i w zamyśleniu pogrzebał sobie w zębach zapalką.

– Dawno już wiedziałem, że tamto miejsce jest beznadziejne – stwierdził i zaklął. – To okropny pech, że Angel nas tam wytropił w zeszłym tygodniu. Dobrze, że od miesiąca restauruję ten dom. Miłe sąsiedztwo, gdzie

nikt nie wtyka nosa w cudze sprawy. Chłopcy będą mogli się tu spotykać, nie zwracając niczyjej uwagi.

– A co ze starym Georgeem?

– Sprowadzimy go dziś wieczór – odrzekł Connor z chmurną twarzą. – Przywiezie go Bat, a ja już się dowiem, w jaki sposób dopuścił do nas Angela.

Stary George od zawsze był dla Szajki Miejskiej problemem. Miał ważne stanowisko, które powierzono mu w zaufaniu. Niestety, zdaniem wielu ludzi okazało się ono nieodpowiednie dla człowieka starego i niespełna rozumu. Czy było rzeczą bezpieczną i rozsądną powierzać mu srebra, które Roebury House zdobył z takim trudem, oraz klejnoty lady Ivy Task–Hender, za których kradzież niejaki Hog Stander słono zapłacił, został bowiem zamknięty na siedem lat? Czy było rozsądne uczynić z Georgea dozorcę pustego domu w Blackwall, przez który to budynek Angel dostał się na zebranie Szajki Miejskiej? Kiedy wstawili się za Georgeem, a stanowili mocną grupę, obejmującą Bata Sandsa, Curta Goylea i Connora, twierdzili, że przenigdy nikt nie będzie podejrzewał starego półidioty zajmującego się wypchanymi ptakami, złotymi rybkami oraz klatkami z królikami i myszami. Swoje przekonanie opierali na tym, że bezcenne brylanty lady Ivy miesiącami spoczywały spokojnie pod drugą podłogą chlewika, gdzie mieszkały świnki morskie, część osobliwej menażerii Georgea. Policja przetrząsnęła wówczas cały Londyn, poszukując zaginionych klejnotów.

W tej chwili jednak nad głową starego Georgea zawisły groźne chmury. Wprawdzie znaleziono go pośród jego żywego inwentarza skrępowanego, z zakneblowanymi ustami i przywiązanego do krzesła, ciążyło jednak na nim podejrzenie. Bo w jaki sposób Angel mógł się dostać do pokoju na piętrze bez jego wiedzy? Angel mógłby z łatwością to wszystko wyjaśnić. W znacznej mierze mógłby uspokoić ich co do starego Georgea, gdyż poszukując spelunki szajki, całkowicie się mylił co do roli starego, pełniącego obowiązki dozorczy w pustym domu.

Teraz jednak, jadąc dorożką i słuchając upomnień Bata Sandsa, stary George uśmiechał się głupkowato i od czasu do czasu przesunął ręką po drżących ustach.

– Connor chce się wszystkiego dowiedzieć – mówił groźnie Bat. – A jeśli zrobiłeś jakieś głupstwo, niech Bóg ma cię w swojej opiece.

– Niech mnie Bóg ma w swojej opiece – z uśmiechem zadowolenia powtórzył George. Przeczesał brudnymi palcami rzadkie siwe włosy, a potem uśmiech zniknął z jego twarzy, kąciki ust żałośnie zaś opadły. – Panie Sands... – urwał. Następnie kilka razy powtórzył to nazwisko i znów przesunął palcami po włosach.

Bat, który przechylił się w jego stronę, by nie uronić ani słówka z ewentualnego wyznania, znów oparł się wygodnie o poduszki siedzenia i zaklął cicho.

W domu „J. Jonesa, przedsiębiorcy budowlanego” członkowie Szajki Miejskiej zgromadzili się w komplecie.

– Przypuśćmy, że nas wsypał... Co wtedy z nim zrobimy? – spytał Goyle.

Trudno było mieć wątpliwości co do uczuć zgromadzonych, słysząc niski, zwierzęcy pomruk, który rozszedł się po pokoju.

– Jeśli nas wsypał – przemówił Vennis, patrząc na Connora tępyimi rybimi oczami – musimy się z nim policzyć.

– Mówisz jak skończony głupiec – rzucił pogardliwie Connor. – Jeśli nas wsypał, możesz być całkowicie pewny, że z chwilą, gdy tylko przekroczy próg, cały dom będzie otoczony przez policję. Jeśli Angel wie, że stary George należy do nas, każe go mieć na oku dniem i nocą, a za dorożką, która przywiezie Georgea, przyjedzie natychmiast druga, z Angelem. Nie, ja za starego ręczę swoją głową. Muszę się jednak dowiedzieć, w jaki sposób ten przeklęty Angel dostał się do sąsiedniego domu.

Ledwie Connor wypowiedział te słowa, odezwało się pukanie Bata do drzwi. Na pół prowadzony, na pół wleczony stary George wszedł do pokoju i mnąc w rękach kapelusz, mrużąc do siebie, z bezradnym uśmiechem patrzył na otaczające go ponure twarze.

– Co ty tam mrużysz? – spytał ostro Connor.

– Powiedziałem, że pan... – zaczął stary i raptownie zamilkł.

– Jaki pan? – szorstko drażył Connor.

– Mówię o sobie. – Twarz starego przybrała dziwny wyraz dumy. – Mówię i twierdzę, że pan zawsze zostanie

panem, bez względu na otoczenie. W moim starym kolegium udzieliłem raz surowej nagany jednemu ze słuchaczy. – Jego ton był stanowczy, niemal wyniosły. – Powiedziałem mu: istnieje zasada, której radziłbym się trzymać: *De gustibus non est disputandum.*[O gustach się nie dyskutuje] I... i... – Drżące palce starca znów się podniosły do gadatliwych ust, a błędny uśmiech ponownie osiadł na twarzy.

– Posłuchaj. – Connor potrząsnął nim silnie za ramię.

– Nas nie obchodzi twoje przeklęte kolegium. Chcemy wiedzieć, jakim sposobem Angel dostał się do naszej spelunki.

Stary miał mocno zdumioną minę.

– Tak, tak... – mruczał – rozumie się, panie Connor, pan był zawsze bardzo dobry. Ta spelunka... tak... tak... słusznie... ten młody człowiek, co chciał wynająć pokój na piętrze...

– Właśnie, właśnie – podchwycił Connor.

– Bardzo sympatyczny młodzieniec – paplał stary George – tylko bardzo ciekawy. Przypominam sobie, że pewnego razu, kiedy przemawiałem na wielkim zebraniu młodych ludzi w Cheltenham... Może były także młode damy, i... i...

– Do diabła z nim! – krzyknął Goyle. – Niech opowiada, jak trzeba, albo zamknę mu gębę.

Connor dał znak, by milczał.

– Niech opowiada na swój sposób – odciął się.

– Ten sympatyczny młodzieniec – mówił dalej stary,

szczęśliwy, że może wrócić do tematu – żądał ode mnie objaśnień, których mu nie chciałem udzielić, bo pamiętałem, panie Connor, jaki pan był dla mnie dobry... Głównie chodziło mu o jakiegoś pana Vennisa.

– Tak, i co dalej? – nalegał Connor, a twarz Vennisa wyrażała wściekłość.

– Boję się, że mój zwykle tak żywy umysł popada chwilami w jakieś odrętwienie, całkiem obce mojej naturze... mojej prawdziwej naturze... – Stary George znowu zdawał się przemawiać jak na wykładzie. – Mniej bystry obserwator mógłby uznać mnie za *quantite negligeable*. [osoba mało ważna] Ten sympatyczny młody człowiek też potraktował mnie w ten sposób, mówiąc do swojego towarzysza, że gotowy jest już stryczek dla tego pana Vennisa.

Twarz Vennisa okryła się śmiertelną bladością.

– A co było potem? – spytał Connor. – Dwóch ich tam było, nieprawdaż?

Stary poważnie skinął głową. Skinął nawet kilkakrotnie, raz po raz, jakby ruch ten sprawiał mu przyjemność.

– Gdy ten drugi młodzieniec, nie ten sympatyczny, tylko ten drugi, dowiedział się, że nie mogę mu wynająć pokoju, a nie mogłem przecież tego zrobić bez pańskiego pozwolenia, panie Connor, zaczął ze mną rozmawiać. Mówił bardzo głośno o wartości odżywczej kapusty i marchwi przy karmieniu ssaków roślinożernych. Gdzie przez ten czas był ten sympatyczny młodzieniec, tego nie

mogę powiedzieć.

„Odgaduję” – pomyślał Connor.

– Dokładnie sobie to przypominam – ciągnął dalej stary George – ponieważ tej samej nocy zaniepokoiły mnie i przestraszyły dziwne hałasy dochodzące z pustych pokoi na piętrze, a które całkiem naturalnie i logicznie przypisywałem obecności... – urwał, rozejrzał się trwożnie po pokoju i dokończył przyciszonym tajemniczym szeptem – ...pewnych duchów. – Spojrzał z ukosa na każdego z obecnych.

Było coś niesamowitego w zachowaniu tego dziwnego starego człowieka o twarzy pełnej wyrazu, tak że niektórzy z obecnych, zatwardziałyh przecież zbrodniarzy, poczuli dreszcz. Connor przerwał zalegające w pokoju milczenie.

– Więc w taki sposób to się stało, he? Jeden rozmawiał z tobą, drugi tymczasem wszedł na piętro i się ukrył? A zatem, chłopcy, słyszeliście, co powiedział stary. I co wy na to?

Vennis poruszył się niespokojnie na krześle i zwrócił wielką tępą twarz w stronę starego, który wciąż miętosił w rękach kapelusz, mamrocząc coś do siebie. Przebywał w jakichś dalekich regionach, dokąd zawiódł go jego biedny chory umysł, i właśnie się zabawiał rozmową z urojonym towarzyszem. Connor widział, jak czoło starca marszczy się od naporu myśli, czasem dochodził go urywek zdania, to w jakimś obcym języku, to w książkowej angielszczyźnie wykładającego profesora.

– Ten stary wie bardzo dużo, za dużo – oznajmił Vennis obojętnym głosem. – Ja jestem za... – Nie dokończył.

Connor rzucił szybkie spojrzenie na zebranych.

– Jeśli któryś z was ma ochotę – zaczął powoli – zbudzić się o siódmej rano i ujrzeć przy sobie jegomościa, który mu krępuje ręce na plecach, oraz drugiego osobnika, który odmawia nad nim pacierze... Jeśli któryś z was ma ochotę zaraz po śniadaniu przespacerować się między dwoma szeregami dozorców do małej szopy, gdzie z dachu zwisa całkiem nowy sznur... Jeśli jest tu ktoś taki, wolno mu ze starym Georgeem zrobić to, co mu się podoba, ale nie w tym domu. – Zatrzymał wzrok na Vennisie. – A jeśli jest tu ktoś – ciągnął – którego szubienica i bez tego nie ominie i u którego jedno morderstwo mniej czy więcej nie stanowi już żadnej różnicy, to może zrobić, co mu się podoba, ale nie w tym domu.

Vennis się cofnął.

– Nic przeciw mnie nie mają – mruknął.

– Stryczek – mamrotał stary. – Vennisa czeka gotowy strychezek. – Zachichotał cicho. – Myślę, że zanadto polegali na tym, że czasem bywam nie całkiem w porządku, Vennis.

Ten zerwał się na nogi, sapiąc jak dziki zwierz schwyty w sidła.

– Siadaj... – Bat Sands, ze swoimi charakterystycznymi krótko ostrzyżonymi rudymi

włosami, gwałtownym ruchem podsunął rozwścieczonemu Vennisowi krzesło.

– Connor ma słuszość: nie możemy zgubić starego i nie możemy też zgubić siebie samych. Jeśli już mamy wisieć, to przynajmniej za coś, co się opłaci. Co do starego, jest po prostu zbzikowany i tyle. Trzeba go będzie zamknąć...

Dalszą jego przemowę przerwało pukanie.

– Kto to może być? – szepnął.

Connor podszedł na palcach do zamkniętych drzwi.

– Kto tam? – spytał.

Uspokoił go znajomy głos, otworzył więc drzwi i zaczął cicho rozmawiać z kimś stojącym w sieni.

– Ktoś chce się ze mną zobaczyć – wyjaśnił. – Bat, zamknij za mną drzwi – powiedział i wyszedł pośpiesznie.

Nikt nie rzekł ani słowa, ale każdy zaczął snuć domysły dotyczące tego nagłego wyjścia Connora.

– Zebranie w komplecie – zaskrzeczał jakiś głos z głębi pokoju – wszystkich nas zaprosił Connor. Czyżby coś ukartowanego?

O tym samym pomyślał Bat.

– Nie – odrzekł jednak po chwili. – Nic nam nie mogą zrobić. Przecież dopiero co w zeszłym tygodniu Angel musiał nas uwolnić z braku dowodów, a Connorowi można ufać.

– A ja mu nie ufam, przysięgam! – zawołał Vennis.

– Ja nie ufam nikomu – zaciekle odparował Bat – ale na Connorze można polegać.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Kto tam?

– Wszystko dobrze! – Usłyszeli stłumiony głos.

Bat odemknął drzwi i wszedł Connor. To, co zobaczył, lub to, co usłyszał, po wyjściu z pokoju, spowodowało cudowną zmianę w jego wyglądzie: policzki okrywał ciemny rumieniec, a w oczach płonął triumf.

– Chłopcy – rzekł, a wszyscy pochwycili w jego głosie udzielające się także im radosne podniecenie – zdobyłem dla was coś nadzwyczajnego: milion funtów do równego podziału. – Raczej poczuł, niż usłyszał radość wywołaną swoimi słowami. Stał wsparty plecami o przymknięte w połowie drzwi. – Muszę was poznać z naszym nowym kompanem – mówił dalej szybko, prawie bez tchu. – Ręczę za niego.

– Kto to jest? – spytał Bat. – Czy go znamy?

– Nie – zaprzeczył Connor. – I nie ma powodu, byście go znali. Ale dzięki niemu zdobędziemy pieniądze, a to ci chyba wystarczy, Bat. Sto funtów na każdego wypłaci jeszcze dziś wieczorem.

Bat Sands splunął w garść.

– Wprowadź go. Dobry jest. – Jego oświadczenie przyjęto pomrukiem przyzwolenia.

Connor zniknął na chwilę i wrócił z dobrze ubranym człowiekiem, który skierowane nań badawcze spojrzenia zebranych przyjął ze spokojnym uśmiechem. Szybko przebiegł oczami wszystkie twarze. Przez chwilę jego

wzrok spoczął na Vennisie i nieufnie zatrzymał się na starym Georgeu, który siedział na krześle z pochyloną głową, założywszy nogę na nogę, i niezmiernie szybko coś do siebie mamrotał.

– Panowie – odezwał się przybyły – przyszedłem w celu pozyskania waszej pomocy. Pan Connor powiedział mi, że jesteście poinformowani co do tych milionów Realea. Krótko mówiąc, postanowiłem uprzedzić innych i pieniądze te zdobyć dla siebie. Zaofiarowuję wam połowę pieniędzy, do równego podziału między wszystkich. A na dowód, że moja propozycja jest poważna, każdemu, kto zechce mi pomóc, wypłacę sto funtów.

Wyciągnął z kieszeni gruby plik banknotów, a z dwóch innych dalsze paczki. Wręczył je Connorowi. Chciwe oczy członków Szajki Miejskiej wpatrywały się jak urzeczony w szeleszczący papier.

– Czego zażądam w zamian – dodał nieznajomy – wyjaśnię później...

– Słoweczko... – przerwał Bat. – Kto jeszcze w tym siedzi?

– Nikt oprócz nas – brzmiała odpowiedź.

– Jimmy nie należy do spółki?

– Nie.

– A jest w niej Angel?

– Nie. – Nieznajomy nie krył zniecierpliwienia.

– Niech pan mówi dalej – przyzwolił zadowolony

Bat.

– Pieniądze znajdują się w schowku, który można

otworzyć jedynie za pomocą pewnego słowa. Tego słowa nikt nie zna. Klucz pozwalający odgadnąć to słowo został prowadzącemu sprawę adwokatowi skradziony przedwczoraj w nocy przez Jimmyego. –Urwał, czekając, aż jego słowa wywrą na zebranych odpowiednie wrażenie. – Jimmy oddał ten klucz Scotland Yardowi i nie ma możliwości, aby go odzyskać.

– A zatem? – spytał Bat.

– Nie pozostaje nam nic innego – ciągnął dalej mężczyzna – jak otworzyć schowek czymś mocniejszym od słowa.

– Ale co ze strażą? – Bat drażył temat. – Adwokat utrzymuje tam zbrojną straż.

– Ze strażą dałoby się coś zrobić – odparł nieznajomy.

– A czemu nie z adwokatem? – podsunął Curt Goyle. Nieznajomy ściągnął brwi.

– Z adwokatem nie można – poinformował krótko. – A zatem, przystajecie do mnie?

Pytanie było zbyteczne. Connor układał na stole banknoty i dzielił je na osobne pakieciki, a każdy z obecnych podchodził, brał pieniądze i zamieniwszy parę słów z Connorem, wychodził, niezgrabnym ukłonem żegnając nieznajomego. Bat wyszedł ostatni.

– Jutro wieczór tu – mruknął Connor.

Został sam z nieznajomym. W pokoju nie było już nikogo poza starym Georgeem, który w tej samej pozycji wciąż jeszcze prowadził jakąś wyimaginowaną rozmowę.

– Co to za jeden? – spytał nieznajomy.

Connor się uśmiechnął.

– Stary wariat, całkiem niepoczytalny. Przy tym pan i uczone; mówi najrozmaitszymi zwariowanymi językami... po łacinie i po grecku, i Bóg wie po jakiemu jeszcze. Był zapewne profesorem, ale co go doprowadziło do tego stanu: pijaństwo czy kokaina, czy zwyczajne wariactwo, tego już nie wiem.

Mężczyzna przyglądał się niepoczytalnemu z zainteresowaniem, a stary George, jakby pod wpływem nagłej świadomości, że go obserwują, szybko się wyprostował i mrużąc oczy, zaczął przyglądać się nieznajomemu. Następnie dźwignął się powoli i bystro wpatrując się w jego twarz, ani na chwilę nie przestawał mrużyć do siebie.

– Ach – rzekł w końcu, od niezrozumiałego pomruku przechodząc do mowy wyraźnej. – Ach, to pan! Bardzo mi miło widzieć pana, bardzo mi miło. *Omnia mutantur nos et mutamur in illis*, [wszystko się zmienia i my razem ze wszystkim] ale pan się nie zmienił. – Znów zaczął mrużyć do siebie.

– Nie widziałem go nigdy w życiu. – Nieznajomy zwrócił się do Connora.

– Och, staremu Georgeowi zawsze się zdaje, że spotyka dawnych znajomych – powiedział Connor z kwaśnym uśmiechem.

– Dżentelmen – mruczał stary George – dżentelmen w każdym calu i w dodatku hojny mecenas. Kupił egzemplarz mojej książki. Czy pan ją czytał?

Zatytułowana jest... Ach, Boże, teraz zapomniałem, jaki ma tytuł... I prosił mnie też o radę co do tego swojego... ach, tego anagramu...

– Czego? – Twarz nieznanego stała się szara jak popiół. Chwycił Connora za ramię. – Słuchaj pan, słuchaj! – szepnął wzburzony.

Stary George odrzucił głowę w tył i życzliwie przyglądał się nieznanemu.

– Skończony dżentelmen – powtórzył ze wzruszającą naiwnością. – Stale mnie tytułował profesorem, co dowodziło delikatności i uprzejmości prawdziwego pana. – Triumfująco wskazał palcem na nieznanego. – Znam pana! – krzyknął piskliwie, a jego skrzeczący śmiech rozbrzmiał w całym pokoju. – Spedding, tak się pan nazywa! I jest pan adwokatem. Widziałem pana w powozie, jechał pan z moim protektorem.

– Książka, książka! – wykrztusił Spedding. – Jaki jest tytuł pańskiej książki?

Głos starego Georgea przyciszył się i brzmiał już zwyczajnie, gdy z największą uprzejmością odrzekł:

– Proszę pana, tego jednego właśnie nie mogę sobie nigdy przypomnieć.

Wielka próba

Niektórzy ludzie drwią ze Scotland Yardu. To niepowołani krytycy, autorzy romansów, w których detektywi amatorzy o nadzwyczajnej bystrości umysłu z niebywałą łatwością rozplątują tajemnice, nad którymi policja biedzi się długie lata. W rzeczywistości Scotland Yard jest najsprawniejszą organizacją policyjną na świecie. Ludzie mówiący lekceważąco o „błędach policji” powinni pamiętać o zdumiewającym fakcie: w ciągu ostatniego ćwierćwiecza jeden tylko człowiek, który stał przed kratami w Old Bailey pod zarzutem ciężkiej zbrodni, zdołał się wymknąć sprawiedliwości i uniknąć strasznego wyroku, który go czekał. Scotland Yard działa powoli i cierpliwie, lecz zawsze z pozytywnym wynikiem.

W swoim małym pokoju Angel odczytywał list napisany niewyrobionym, niechlujnym pismem, list bez związku, noszący ślady łez, w którym od początku do końca każde słowo było podkreślone. Czytał go cierpliwie, potem spojrzał na datę stempla pocztowego i zadzwonił. Podwładny, który wbiegł na odgłos dzwonka, zastał go pochylonego nad mapą Londynu.

– Proszę pójść do archiwum i przynieść mi EB dziewięćdziesiąt trzy – poprosił.

Po pięciu minutach wysłaniec wrócił, niosąc grubą tekę pełną rozmaitych papierów. Były w niej wycinki z

gazet, plany i okropne fotografie, których zwykli ludzie nie oglądają. Był także kluczyk z inskrypcją. Angel dokładnie przeszukał dossier, następnie ponownie odczytał list napisany kobiecą ręką...

* * *

Vennis, ów osobnik ze śmiertelnie bladą twarzą, skończył swoje spóźnione śniadanie i z rozkosznie szeleszczącymi banknotami w kieszeni spodni szedł właśnie powoli przez Commercial Road. Jakiś znajomy wsparty o drzwi szynkowni powitał go krótkim skinieniem głowy; brudna kobieta spiesząca do domu, która niosła w podkasanym fartuszkowi śniadanie dla męża i która też znała Vennisa, wolała natomiast prześlizgnąć się koło węgła domu, niż go spotkać. Wałęsający się po ulicy pies, który nieopatrznie zbliżył się do mężczyzny, gdy ten przystanął na chwilę u wylotu ulicy, dostał kopniaka. Vennis był zgoła pozbawiony sentymentu. Poza tym, jakkolwiek pieniądze w kieszeni wiele wynagradzały, stary George i jego niedorzeczna paplanina mocno go zaniepokoiły.

Po drugiej stronie chodnika ktoś zwrócił jego uwagę. Kobieta. Znał ją bardzo dobrze i dlatego zignorował jej skinienie ręki. Przed dwoma dniami dobitnie wyraził jej swoje niezadowolenie i skorzystał z okazji, by na poczekaniu zakończyć nieformalny związek, w którym trwali od pięciu lat. Nie zważając więc na wołanie kobiety

z posiniałą, opuchniętą twarzą, odwrócił się i odszedł w kierunku Aldgate. Nie spojrzał nawet w jej stronę, ale po chwili usłyszał tupot nóg tuż za sobą. Zachrypniętym głosem zawołała go po imieniu. Skręcił w boczną ulicę, pieniać się z wściekłości, a gdy znaleźli się w opustoszałym miejscu, odwrócił się w jej stronę.

Kobieta zobaczyła szatańską złość w jego spojrzeniu i spróbowała przemówić. W owej chwili była skruszoną grzesznicą, w histerycznym podnieceniu gotową przyznać się do wszystkiego, ale dzika groźba w spojrzeniu mężczyzny zacisnęła jej krtań.

– No tak – syknął, a jego wargi były cienkie i ściągnięte.

– Po tym wszystkim, co ci powiedziałem, jeszcze za mną gonisz po ulicy. I ośmieszasz mnie, tak?

Podszedł do niej z podniesioną pięścią, a biedaczka, urzeczona wężowym spojrzeniem jego posępnych oczu, stała w miejscu jak przygwożdżona. Z głuchym warknięciem uderzył ją raz i drugi, aż skulona, jęcząca, upadła na bruk.

Wprawdzie na Commercial Road po zapaleniu latarni popełnia się różne czyny, w świetle dnia jest to jednak niedopuszczalne, chyba że mamy akurat sobotę. Gromadka ludzi zwabiona nadzieją bijatyki, zwyczajem londyńskiego proletariatu z oburzeniem, lecz biernie, przyglądała się scenie. Zareagował natomiast spokojny mężczyzna w średnim wieku, który oddalającemu się Vennisowi zastąpił drogę.

– Cóż za brutalność – oznajmił spokojnie.

Vennis zmierzył go od stóp do głów. Zrozumiał, że z tym człowiekiem nie ma co żartować.

– Nie będę z panem rozmawiał – odparł szorstko, próbując go wyminąć.

Tamten jednak żelaznym chwytem ujął go za ramię.

– Chwileczkę, przyjacielu. Bez pośpiechu. Nie może być tak, że brutalna napaść na ulicy uchodzi bezkarnie. Przespacerujesz się ze mną na policję.

– A jeśli tego nie zrobię?

– To cię odprowadzę. Jestem detektywem, sierżant Jarvis ze Scotland Yardu.

Vennis szybko przeanalizował sytuację. O ucieczce nie było mowy, szli ślepią uliczką, a u jej wylotu pokazali się właśnie dwaj policjanci. Ostatecznie pobicie „żony” to znów nic takiego, w dodatku kobieta przysięgnie, że stało się to przypadkiem. Postanowił spokojnie pójść z sierżantem; w najgorszym razie dostanie się na miesiąc do „ula”. Wzruszywszy ramionami, ruszył więc za detektywem. Kilku gapiów odprowadziło ich do najbliższego posterunku.

Kiedy stał w stalowej komórce w samych tylko skarpetach, a wprawny dozorca więzienny poddawał go rewizji, z tłumionym przekleństwem pomyślał o pieniądzach, które miał przy sobie. Było tego tylko dziesięć funtów, drugie dziesięć ukrył, ale w końcu nawet dziesięć funtów to pokaźna kwota u osobnika jego pokroju. I prowokuje zwykle niewygodne pytania. Jednak

ku jego wielkiemu zdziwieniu dozorca, który zabrał pieniądze, ani trochę nie zdawał się nimi zaskoczony. Tak samo inspektor, najwyraźniej zajęty czymś innym przy swoim biurku, przyjął znalezisko bez emocji. Vennis zauważył natomiast ze zdziwieniem, że w biurze śledczym znajduje się niezwykle liczny oddział policjantów.

– O co oskarżony? – spytał inspektor, maczając pióro w atramencie.

– O umyślne morderstwo! – odezwał się jakiś głos. To Angel przeszedł z biura inspektora do izby śledczej.

– Oskarżam tego człowieka, że w nocy z siedemnastego lutego...

Nie mogąc ze strachu i wściekłości wydobyć głosu, Vennis wsłuchiwał się w dźwięczny głos detektywa, skrupulatnie wyliczającego szczegóły niemal już zapomnianej zbrodni. Była to historia włamania do podmiejskiej willi: służący przyłapał złodzieja, wywiązała się walka w ciemności, padł strzał, a potem trup zwałił się na posadzkę dużego salonu. Jedna z tych częstych tragedii – zapomniana przez wszystkich z wyjątkiem Scotland Yardu. Rok po roku różni ludzie gromadzili materiał dowodowy, strzępek po strzępku, nitka po nitce, aż w końcu skręcano sznur, na którym miał zawisnąć morderca skazany za zbrodnię popełnioną z zimną krwią. Na koniec zwykle nadchodził jeszcze list od zazdrosnej kobiety – Scotland Yard zawsze czekał na listy od zazdrosnych kobiet – i oto materiał dowodowy był kompletny.

– Wsadzić go do celi czternastej – rozkazał inspektor.

Wtedy dopiero Vennis się ocknął, a sześciu policjantów pełniących służbę w biurze śledczym musiało się mocno napracować, aby doprowadzić go na miejsce.

Uwięzienie Vennisa nastąpiło w „normalnym trybie postępowania”, jak to określił Angel. Setki drobnych spraw codziennie załatwia się w Scotland Yardzie właśnie w „normalnym trybie postępowania” i choć pozornie nie pozostają one w żadnym związku, w dziwny sposób jakoś się ze sobą łączą. Przy włamaniu w Clapham uwagę policji zwróciło na przykład to, że razem z łupem zabrano skomplikowaną mechaniczną zabawkę. W jakiś czas potem pijany woźnica spowodował nieszczęśliwy wypadek. W chwilowym zamieszaniu wałęsający się złodziej porwał jeden z pakunków z wozu, urządzono za nim pościg i schwytano go. Przybyła na policję lamentująca kobieta wystawiła mężczyźnie korzystne świadectwo, dowodząc, że jest dobrym ojcem i mężem. Dopiero co w zeszłym tygodniu przyniósł przecież synkowi zmyślnego osiołka, bardzo śmieszną rzecz. Zaalarmowany tymi słowami detektyw poszedł z nią do mieszkania i od razu rozpoznał skradzioną mechaniczną zabawkę. W ten sposób ujęto osławioną szajkę z Kingsland Road.

Uwięzienie Vennisa nie pozostawało w żadnej łączności ze śledztwem Angela dotyczącym tajemnicy milionów Realea. Angel wiedział wprawdzie, że Vennis należy do Szajki Miejskiej, nie przypuszczał jednak, że

coś go łączy z poszukiwaczami hasła. Niemniej przy uwięzieniu niebezpiecznych zbrodniarzy obowiązują pewne formalności. Angel zaangażował podwładnych w kilka mniej ważnych spraw, a po upływie dwóch dni jeden z nich przyszedł do jego biura.

– Te banknoty, proszę pana, zostały wypłacone panu Speddingowi w ubiegły poniedziałek. Pieniądze podjął ze swojego prywatnego konta. Spedding jest adwokatem z firmy Spedding, Mortimer i Larach.

– Czy rozmawiał pan ze Speddingiem?

– Tak, proszę pana. Spedding przypomniał sobie, że podjął pieniądze i wypłacił je jakiemuś panu, który właśnie wyjeżdżał do Ameryki.

– Klientowi?

– Jeśli dobrze zrozumiałem, pieniądze zostały wypłacone w imieniu klienta za jakieś usługi. Bliższych szczegółów Spedding nie chciał mi ujawnić.

Angel się skrzywił.

– Adwokaci nieraz postępują w sposób bardzo dziwny – stwierdził sucho. – Czy pan Spedding napomknął może, w jaki sposób pieniądze te dostały się w posiadanie tego człowieka?

– Nie, proszę pana. Przypuszcza, że być może mężczyzna ten zarobił je w sposób nieuczciwy. Z jego słów wywnioskowałem, że ten klient był jakąś dość podejrzaną figurą.

– Mogę sobie wyobrazić – odparł Angel.

Kiedy pozostał sam, w głębokiej zadumie zaczął

kreślić rozmaite twarze na bibule swojej teki. Po chwili sięgnął po telefon.

– Proszę mi przysłać Cartera – rozkazał.

Kilka minut później zjawił się młody człowiek o wesołej twarzy, skubiący pierwszy meszek wąsika. Czekał na rozkazy.

– Carter – ostrożnie zaczął Angel – myślę, że musi się pan nudzić w oddziale daktyloskopii.

– Sam nie wiem, sir. – Młodzian wyglądał na niezbyt zapalonego do tego, czym się zajmował. – Właśnie dostaliśmy. ..

– Carter – ponownie zaczął Angel, tym razem jeszcze ostrożniej – czy nie miałbyś ochoty na pewną robotę, bardzo zabawną?

– Jeszcze jak, sir – zapewnił Carter.

– Potrzeba mi kilku ludzi, którzy by się nie zadawali z reporterami i zachowywali się całkowicie „nieoficjalnie”, dopóki będę tego potrzebował – powiedział Angel, po czym przedstawił mu swój plan.

Po odejściu młodego Cartera na bibule teki Angel nakreślił trójkąt.

– Spedding sprzymierzył się z Szajką Miejską. – Zrobił krzyżyk w jednym kącie. – Spedding wie, że się tego domyśliłem. – Zrobił krzyżyk na drugim wierzchołku. – Ja wiem, że Spedding wie, że o tym wiem. – Zaznaczył trzeci kąt. – Spedding rzuci kartę, a będzie grał diabelnie szybko.

W tej chwili do pokoju wszedł podkomisarz.

– Angel! – powitał detektywa i rzucił okiem na figurę geometryczną. – Co to takiego? Jakaś nowa gra?

– Stara gra – odrzekł Angel, zgodnie z prawdą – tylko zagrana w nowy sposób.

* * *

Angel niezbyt się pomylił, przypuszczając, że Spedding szybko wyłoży nową kartę na stół, i chociaż detektyw nie liczył się z nowym czynnikiem w osobie starego Georgea, niemniej rozmaite okoliczności wpłynęły na przyśpieszenie przewidzianych przez niego wydarzeń. Jedną z tych okoliczności, i wcale nie błądą, było uwięzienie Vennisa.

Po rozmowie ze starym Georgeem Spedding zdecydował się na taktykę wyczekiwania. Zabrano starego do domu w Clapham. Adwokat postanowił czekać cierpliwie, aż jakiś przebłysk świadomości przypomni staremu sens kryptogramu, który ten odsunął do najdalszych zakamarków umysłu. Kilka razy dziennie zadawał pytanie:

– Jak się pan nazywa?

– Stary George, tylko stary George – brzmiała niezmienna odpowiedź, wśród chichotów i kiwania głową.

– Proszę o prawdziwe nazwisko, z tych czasów, kiedy był pan... profesorem.

Niestety, za każdym razem pytanie to pobudzało starego tylko do rozwlekłych opowiadań o jego hojnym

mecenasie.

Tego samego dnia, kiedy uwięziono Vennisa, Connor przybył potajemnie do Clapham, by otrzymać zlecenia. Był wieczór.

– Musimy zaraz zabrać się do roboty – zakomenderował adwokat.

Connor siedział naprzeciw niego, na tym samym krześle, które przed paroma dniami zajmował Jimmy.

– Nie ma sensu czekać, aż stary sobie przypomni. Pierwszy plan był najlepszy.

– Czy wydarzyło się coś nowego? – spytał Connor. Jego lęk przed adwokatem ustąpił miejsca poufałości sprzymierzeńca.

– Był u mnie dziś w biurze detektyw i wypytywał o banknoty, które znaleźli u Vennisa. Angel na pewno wysnuje z tego wnioski, nie ma więc czasu do stracenia.

– Jesteśmy gotowi – zapewnił Connor.

– Więc niech będzie jutro w nocy. Odwołam straż policyjną, która czuwa nad skarbem. Znajdę jakieś usprawiedliwienie.

Connorowi przyszło coś na myśl.

– Czy nie może ich zluzować inny oddział wartowników? Zobowiązuję się przebrać kilku moich. Będą wyglądali jak najprawdziwsi policjanci.

Spedding zmrużył oczy.

– Tak – mruknął powoli – to by się dało zorganizować. Doskonały pomysł. – Dużymi, sprężystymi krokami przemierzał pokój. Jego brwi były ściągnięte. –

Straż zmienia się dwa razy dziennie: raz rano, raz wieczorem. Mógłbym napisać kilka słów do wachmistrza rannej warty, że zarządziłem, by przysłano nowy oddział ludzi. Już dwa razy zmieniałem skład straży, ostrożności nigdy za wiele. Panu mógłbym dać upoważnienie zluźnienia starej warty.

– Byłoby lepiej – odparł Connor – gdyby pan ich po prostu odwołał, a budynek pozostawił niestrzeżony. Wtedy nasze przyście wcale nie zwróciłyby uwagi. Lombard Street musi być już przyzwyczajona do przychodzenia i odchodzenia straży.

– Dobra myśl – pochwalił Spedding i usiadł do pisania listu.

* * *

Noc wielkiego planu była wyjątkowo słotna.

– Tym lepiej – mruknął Connor, oglądając świat ze swej siedziby w Kensington.

Pokój, przeznaczony do użytku pana domu, urządzone bardzo skromnie. Na gołym drewnianym stole Connor postawił flaszkę whisky. Teraz patrzył przez zalane deszczem szyby na ulice, którymi płynęły strumienie wody.

– Anglia dla roboty, a Egipt dla przyjemności... – mruczał. – A jeśli dostanę mój przydział z tych pieniędzy, i to większy, niż sobie wyobraża mój przyjaciel Spedding, ten przeklęty kraj już nigdy nie zobaczy pana Patryka

Connora. – Duszkiem wypił całą zawartość kieliszka, wytarł zaparowaną szybę i wpatrywał się w opustoszałą ulicę.

Do domu zbliżali się właśnie dwaj mężczyźni. Jeden z nich, osłonięty szczelnie gumowym płaszczem, stawiał duże kroki; drugi, w nowym płaszczu, dreptał obok, starając się nadążyć za towarzyszem.

– Spedding – westchnął Connor – i stary George. Po co on go tu przyprowadził?

Zbiegł po schodach, by ich wpuścić.

– I co? – spytał Spedding, zrzucając płaszcz, z którego buchały kłęby pary.

– Wszystko gotowe – zapewnił Connor. – Po co pan przyprowadził starego?

– Ot, tak sobie, dla towarzystwa – swobodnie odparł adwokat.

Spedding wciąż się łudził, że stary przypomni sobie sens kryptogramu. Tego dnia George był niezwykle gadatliwy i nawet miewał chwile niemal przytomne. Spedding żywił cichą nadzieję, że informacja uzyskana od starego sprawi, iż pomoc Szajki Miejskiej okaże się zbyteczna, a tym samym, i co ważniejsze, nie będzie musiał dzielić się zawartością sejfu. Co do tego ostatniego punktu, Spedding powziął plan, który pewnie bardzo zdziwiłby Connora, gdyby ten miał szansę go poznać.

Niestety, gadatliwość Georgea urywała się na jedynym ważnym punkcie – wyjaśnienia adwokatowi znaczenia kryptogramu. Spedding przyprowadził starego

ze sobą, spodziewając się, że George w ostatniej chwili wyjawi, kim właściwie jest. Zgoła nie zdając sobie sprawy z odpowiedzialności ciążyącej na jego przytępionej głowie, stary siedział w pokoju na piętrze i gadał sam do siebie.

– Zostawimy go tu – oznajmił adwokat. – Tak będzie bezpieczniej.

– Całkiem bezpiecznie. Znam go od dawna. Będzie tak siedział godzinami i ze sobą rozmawiał.

– A co z ludźmi? – spytał adwokat. – Gdzie się z nimi spotkamy?

– Będą czekać na rogu Lombard Street i stamtąd pójdą ze mną do schowka.

– Ach!

Odwrócili się szybko do starego Georgea, który, z podniesioną głową i ożywieniem na twarzy, bacznie się im przyglądał.

– Schowek w depozycie przy Lombard Street – mamrotał. – Doskonały plan, istotnie, doskonały plan.

Mężczyźni przysłuchiwali się z zapartym tchem.

– Po prostu genialna myśl, sir. Czy nie mówił pan o schowku przy Lombard Street? – mruzczał. – Sejf z hasłem? Ale jak ukryć to hasło... To najważniejsza kwestia. Ja jestem człowiekiem honorowym, może pan na mnie polegać... – Skłonił się głęboko jakiejś wyimaginowanej osobie. – Czy mógłby pan je ukryć w ten sposób? – Stary George brudnym wskazującym palcem puknął w swoją dłoń. – Czemu nie? Czy czytał pan moją książkę? To mała książeczka, ale niezmiernie

pouczająca, niezwykle pouczająca, sir. Ryciny i znaki najdokładniejsze. Wybitny pracownik Muzeum Brytyjskiego pomagał mi w pracach przygotowawczych. Nosi tytuł... tytuł... – Znużonym gestem przeciągnął ręką po czole i opadł na krzesło, biedny i godny politowania, bezładnie mrużąc do siebie.

Spedding otarł czoło, na które wystąpiły krople potu.

– Mało brakowało, mało brakowało! – wychrypiał. – Na Boga, mało brakowało, a powiedziałyby nam.

Connor spojrzał na niego podejrzliwie.

– Co to wszystko znaczy z tą książką? – zapytał. – Już drugi raz stary George coś o niej plecie. To pozostaje w związku z Realeem, prawda?

Spedding potakująco skinął głową.

– Chodźmy. – Connor spojrzał na zegarek. – Już czas. Zostawimy starego, by pilnował domu. George, chodź no tu!

Stary George podniósł głowę.

– Zostaniesz tu i nie oddalisz się, dopóki nie wrócimy. Słyszysz?

– Słyszę, panie Connor – odrzekł stary z wyrazem niezwyklej godności. – I zrobię, jak polecono.

Deszcz lał strumieniami, a ostry północno–zachodni wiatr zacinał prosto w twarz, gdy wyszli w ciemną noc.

– George – mówił Connor, odpowiadając na pytanie Speddinga – och, jest u nas od wielu lat. Jeden z naszych spotkał go, jak pólnagi wałęsał się w okolicy Limehouse, i przyprowadził. Było to w czasie, kiedy jeszcze się nie

znałem z Szajką Miejską. Robił za straszycło, odpędzając ciekawskich. W każdym razie opłaca się go żywić.

Spedding powiedział Connorowi, by chwilę zaczekał, a sam wszedł do urzędu pocztowego w Westbourne Grove i nadał depeszę. Skierowana była do kapitana statku Polecat, zakotwiczonego w Cardiff, a urzędnicy zgoła nie zrozumieli jej tekstu. U wylotu Queen Road natknęli się na dorożkę i kazali się zawieźć do banku. Tu wysiedli i w poprzek ulicy przeszli do Royal Exchange. Kilku wałęsających się w pobliżu ludzi w uniformach wymieniło spojrzenia z Connorem, a gdy dwaj mężczyźni okrężną drogą ruszyli na Lombard Street, tamci poszli za nimi, trzymając się w pewnej odległości.

– Straż odeszła o czwartej – poinformował Spedding i wsunął klucz do ciężkich zewnętrznych drzwi. Czekał w nieprzeniknionym mroku westybulu, dopóki Connor nie wpuści sześciu ludzi w mundurach, którzy szli za nimi.

– Wszyscy? – spytał Connor. – Bat?

– Jest!

– Goyle?

– Jest!

– Lamby?

– Jest!

Wywoływał jednego po drugim po imieniu.

– Możemy zapalić światło – powiedział Spedding i wyciągnął rękę w poszukiwaniu włącznika. W świetle lamp elektrycznych zobaczył najwspanialszą zbieraninę łotrów, jacy kiedykolwiek zhańbili mundury dzielnego

oddziału policyjnego. – A teraz – zapytał spokojnie – czy mamy wszystkie potrzebne narzędzia?

Bat odpowiedział mu wzgardliwym uśmiechem.

– Jeśli się uda wykorzystać przewód elektryczny, przepalimy zamek schowka w ciągu pół...

Spedding, który podszedł do wewnętrznych drzwi wiodących do wielkiego hallu i szukał klucza, nagle odskoczył.

– Słuchajcie... – szepnął. – Jakies kroki w hallu!

Connor zaczął nasłuchiwać.

– Nic nie słyszę... – zaczął, gdy nagle drzwi wewnętrzne gwałtownie się otworzyły i stanął w nich policjant z podniesionym rewolwerem.

– Stać! – krzyknął. Poznawszy jednak Speddinga, opuścił rękę z bronią.

Blady z wściekłości Spedding stał w otoczeniu swej starannie dobranej straży. Jasne światło lamp elektrycznych nie pozwalało się mylić co do charakteru tych osobników. Widział, że policjant przygląda się im w zdumieniu.

– Sądziłem – odezwał się adwokat – że straż została cofnięta.

– Nie, proszę pana – odparł policjant, a grupka ludzi w uniformach stojąca przy wewnętrznych drzwiach hallu, potwierdziła jego słowa.

– Wydałem rozkaz po południu – wycedził Spedding przez zaciśnięte zęby.

– Nie otrzymaliśmy żadnego rozkazu.

Adwokat zauważył, że dowódca straży przygląda się badawczo jego sprzymierzeńcom.

– Czy ci mają nas zluzować? – zapytał, wcale nie usiłując ukryć pogardliwego tonu.

– Tak – potwierdził adwokat.

Gdy wachmistrz po złożeniu ukłonu zniknął w hallu, Spedding odciągnął Connora na stronę.

– Skończone – rzucił szybko. – Dziś w nocy schowek musi zostać opróżniony. Jutro nie będzie mnie już w Londynie.

Straż znów ukazała się w drzwiach. Skinięto na nich, by weszli. Wpakowali się do wielkiego hallu, gdzie w mroku na wyniosłym postumencie stał sejf. Górował nad nimi tajemniczo i niesamowicie. Spedding zauważył, że Bat Sands rozgląda się nieswojo po ponurej obszernej sali i ogarnęło go uczucie osamotnienia. Podeszedł do niego mężczyzna z odznaką sierżanta na mundurze.

– Czy mamy odejść? – spytał.

– Tak – krótko odparł Spedding.

– Czy da nam pan rozkaz na piśmie?

Spedding zawahał się, następnie wyjął z kieszeni notatnik, wyrwał kartkę, szybko nakreślił na niej kilka słów i wręczył ją czekającemu.

Sierżant przeczytał uważnie.

– Nie ma podpisu i daty – rzekł z szacunkiem i zwrócił kartkę.

Spedding zaklął przez zęby, ale uzupełnił braki.

– Teraz możecie odejść.

W półmroku, gdyż olbrzymią salę oświetlał tylko jeden elektryczny żyrandol, wydało mu się, że widzi uśmiech na twarzy policjanta. Ale mogła to być również gra cieni, gdyż niezbyt dokładnie widział twarz mundurowego.

– I mam tu pana zostawić samego? Czy to bezpieczne? – dopytywał się sierżant.

– Co to ma znaczyć, do diabła! – krzyknął adwokat.

– Widzę przecież, że jest tu Connor, osławiony złodziej i łotr – brzmiała swobodna odpowiedź.

Adwokat zamilkł, nie będąc w stanie wydobyć głosu.

– I widzę też Bata Sandsa. Jak się miewasz, Sands? Jak się z tobą obchodzili w Borstal? Czy może w Parkhurst? – dopytywał się sierżant. – A... jest także łagodny Lamby, tak bardzo usiłujący nadać sobie wojskowy wygląd... a ma za duży płaszcz. Lamby, jesteś przyzwyczajony do innego uniformu, nieprawdaż?

Z grupy policjantów zgromadzonych u drzwi dobiegły śmiechy rozbawienia.

– Jeden z was niech stanie przy wewnętrznych drzwiach – rozkazał sierżant, po czym znów zwrócił się do ludzi Speddinga. – A oto także nasz stary przyjaciel Curt Goyle. – Schylił się i podniósł worek, który Bat postawił na podłodze. – Co za śliczne zabaweczki – gruchał policjant. – Odpryski diamentów, naboje dynamitowe i... cóż to znowu za cacko, Bat? Jakaś arka? Tylko pogratulować takiego zbioru.

Tymczasem Spedding opanował się i postąpił krok do

przodu. Chodziło przecież o najwyższą stawkę.

– Będiesz pan ukarany za to zuchwalstwo –
wybuchnął.

– Wcale nie – rzekł niewzruszony sierżant.

Ktoś zawołał od progu:

– Panie sierżancie, mamy tu jeszcze jednego – i
wsunął do sali dziwnie wyglądającego starego człowieka.

Mrugając oczami, starzec przyglądał się kolejno
obecny. Kiedy dojrzał Speddinga, podbiegł do niego
niemal z uniżeniem.

– Depozyt schowka przy Lombard Street – gdał
radośnie. – Widzi pan, że sobie przypomniałem, drogi
przyjacielu, i przyszedłem panu powiedzieć o mojej
książce. Mój hojny mecenas szukał takiego człowieka do
zagadki...

Sierżant poskoczył naprzód.

– Wielki Boże! – krzyknął. – Profesor.

– Tak, tak – chichotał stary. – Tak mnie tytułował.
Kupił u mnie egzemplarz książki... Kosztowała dwa
suwereny, a on dał mi cztery. Ta książka... jakież to ona
miała tytuł? – Stary urwał i chwycił się za głowę. –
Rozprawa... rozprawa – mówił z wysiłkiem – o
pochodzeniu... alfabetu. Ach!

Jeden z policjantów zbliżył się, gdy stary zaczął
mówić, i to właśnie do niego zwrócił się sierżant.

– Jimmy, zanotuj to – rozkazał.

Spedding się zachwiał, jakby otrzymał cios.

– Angel! – wykrztusił.

– We własnej osobie.

Zmiażdżony, upokorzony, pobity i bezsilny Spedding oczekiwał dopełnienia swojego losu. Nie wiedział, w jaki sposób to nastąpi, nie miał jednak wątpliwości, że będzie to ostateczna i nieodwołalna jego ruina. Znany i poważany, stał teraz wobec niechybnej zguby. Niepodobna było się bronić wobec jawnego dowodu, jaki stanowiła obecność jego szemranych sprzymierzeńców, a cel ich obecności wydawał się aż nazbyt jasny.

– Niech pan oddali swych ludzi – polecił Angel.

W adwokacie odżyła nadzieja. Nie zostaną uwięzieni. Może więc jeszcze istnieje jakaś możliwość ratunku. Szajka Miejska nie czekała na powtórzenie rozkazu, wszyscy zgodnie ruszyli ku drzwiom, pragnąc jak najszybciej znaleźć się na wolności, zanim Angel zmieni swe postanowienie.

– Możesz odejść. – Angel ponaglił Connora, który zwlekał jeszcze z odejściem.

– Jeśli otworzycie sejf, chcę przy tym być – ponuro odpowiedział Connor.

– Możesz odejść – powtórzył Angel. – Tej nocy sejf nie zostanie otworzony.

– Ja...

– Odejść! – krzyknął detektyw, a Connor powoli się oddalił.

Angel skinął na policjanta, który jako pierwszy zadawał Speddingowi pytania.

– Carter, niech pan zabierze ten worek. Są tu rozmaite

rzeczy, które weźmiemy ze sobą. – Następnie zwrócił się do adwokata: – Panie Spedding, miałbym panu wiele do powiedzenia, ale lepiej odłożyć na razie naszą rozmowę, za chwilę przyjdzie tu prawdziwa straż. Powiedziałem im, by wrócili o dziesiątej.

– Na mocy jakiej władzy? – wybuchnął Spedding.

– Pst! – zmęczonym głosem poprosił Angel. – Sądzę, że wyszliśmy już poza to stadium. Byłem przygotowany, że pan wyda rozkaz cofnięcia straży. Miałem przeto w pogotowiu inny rozkaz dla dowódcy straży.

– Rozkaz sfalszowany, jak się domyślam. – Spedding odzyskał równowagę. – Teraz rozumiem, dlaczego pan puścił wolno moich ludzi. Przeceniałem pańską wspaniałomyślność.

– Rozkaz – zaznaczył poważnie Angel – został podpisany przez Sekretarza Stanu Jego Królewskiej Mości. – Poklepał po ramieniu zaskoczonego adwokata. – A jeśli to pana interesuje, mam też w kieszeni rozkaz uwięzienia tej całej pańskiej bandy. Że z niego w tej chwili nie korzystam, jest tylko kwestią mojej taktyki.

Adwokat w osłupieniu wpatrywał się w spokojną twarz detektywa.

– Czego pan ode mnie chce? – spytał wreszcie.

– Aby pan jutro o dziesiątej rano stawił się w mieszkaniu Jimmyego – odparł Angel.

– Przyjdę – odrzekł Spedding i skierował się ku wyjściu.

– Jeszcze słówko, panie Spedding! – krzyknął Jimmy,

gdy adwokat był już przy drzwiach. – W sprawie tego statku, który pan wynajął w Cardiff. Proszę nie zawracać sobie nim głowy. Jeden z moich ludzi w tej chwili porozumiewa się z kapitanem i wyjaśnia mu, jak ciężkiego dopuściłby się wykroczenia, wywożąc do portów Ameryki Południowej zbrodniarzy ściganych przez władzę.

– Niech pana wszyscy diabli – zaklął Spedding i zatrzaskał za sobą drzwi.

Jimmy zdjął z głowy czapkę policjanta i zachichotał.

– Angel, powiadam panu, któregoś dnia wylecisz z urzędu za nadużywanie godności Sekretarza Stanu. Uf!

– To było konieczne – rzekł ze smutkiem Angel. – Bardzo mi przykro, że musiałem skłamać, ale nie mogłem chyba powiedzieć Speddingowi, że dowódca straży był także jednym z moich ludzi, prawda?

Rozmaite ciemne figury

Zdarzyło się, że tej samej nocy, kiedy miał być wykonany wielki skok, pan Lane z Cawdor Street 70, odznaczający się niezwykłą ciekawością, popadł w wielkie wzburzenie, stwierdziwszy smutny stan swego skromnego skarbcza. Dla pana Lane'a różnica między bogactwem a ubóstwem była kwestią kilku szylingów. Obroty jego interesu okazały się bardzo ograniczone. Ołowiane rury i druty telefoniczne, czasem wycieraczka pozostawiona za drzwiami, gdy pokojówka sprzątała przedpokój – oto zakres i rozmiary łupów Lane'a. Najwyższy szczyt kariery osiągnął prawdopodobnie tego dnia, kiedy z wieszaka świsnął płaszcz, a nastąpiło to, gdy litościwa stara pani kroїła dla niego w kuchni pokaźną kromkę chleba z masłem.

Lane dopiero co wrócił z krótkiego pobytu w więzieniu w Wormwood Scrubs. Taki drobny epizod, jak zniknięcie odrobiny wypełnienia z poduszki w przedziale kolejowym, zmusił go do wycofania się z życia publicznego na dwa miesiące. I ta sama historia sprowadziła na niego nowe nieszczęście, właśnie w noc wielkiego skoku.

Sława kolejowej kradzieży pobudziła go do prób bardziej odpowiadających jego ambicjom. Presja pustej kasy i rozgłos, który zdobył dzięki niedawnym czynom, sprawiły, że zdecydował się na włamanie. Było to śmiało i

lekkomyślne zboczenie z wcześniej obranej ścieżki, ale nie tracił czasu na długie rozważania nad tym, czy posiada dostateczne zdolności. Takie refleksje powinny jednak towarzyszyć zmianie zawodu. Nie brał też pod uwagę niekorzystnej sytuacji na przepelnionym już rynku pracy. Prawdopodobnie pan Lane nie posiadał po prostu zdolności logicznego myślenia oraz rozumowania i nie potrafił z jakiejś kwestii wysnuć odpowiednich wniosków. Pod względem intelektualnym był właściwie przeciwieństwem bystrego umysłu, nie mógł więc introspektywnie przeanalizować pobudek, które wpłynęły na jego decyzję. W swych monologach pan Lane ujął tę sprawę krótko i zwięźle: „Z ołowianymi rurami nic się nie da zrobić, jeśli się nie ma towarzysza do pomocy; druty telefoniczne to najgorsza robota, a w dodatku za psie pieniądze. Ano, spróbuję szczęścia u Jonesa”.

Wtedy w ulewnym deszczu z przeciwległej bramy obserwował mieszkanie Jonesa. Wkrótce zauważył z satysfakcją, że „robotnicy” zaczęli się rozchodzić. Z radością zaobserwował, że Jones również się oddalił. Kilka minut później dziwaczny starzec, którego uważał za dozorcę, też wyszedł człapiącym krokiem. Stary zatrasnął bramę, rozejrzał się na prawo i lewo, wciąż mamrocząc, po czym ruszył przed siebie, nie zważając na ulewę. Obserwator dopatrzył się w usunięciu tej ostatniej przeszkody zrzędzenia opatrności.

Począł jeszcze pół godziny, gdyż z niewiadomego powodu ulica, która zwykle o tej porze była opustoszała,

teraz wydawała się wyjątkowo ożywiona. Naprzód nadjechał spóźniony wóz z węglem, a mocno przemoknięty węglarz żalosnym głosem ogłaszał się ze swoim towarem. Następnie pojawił się chłopczyk, który, wymknąwszy się szczęśliwie z więzienia rodzicielskiego domu, rozkoszował się ulewą, z zapalem i wytrwałością brnąc w kałużach, które potworzyły się na nierównej nawierzchni ulicy. Nemezis w postaci matki o krzykliwym głosie szybko dosięgła malca i, lamentującego w oczekiwaniu chłosty, oddała w ciężkie ręce macierzyńskiego autorytetu. Z chwilą, gdy ulica się opróżniła, pan Lane postanowił nie tracić czasu. Sposób, w jaki utorował sobie dostęp do głównej kwatery Szajki Miejskiej, pozbawiony był wszelkiej pomysłowości. Na chybił trafił, w nadziei, że nikt go nie obserwuje, wspiął się po bramie i przedostał na podwórze. Gdyby był rutynowym włamywaczem, mającym jako takie doświadczenie, przede wszystkim rozejrzałby się za odpowiednim oknem. I przenigdy nie próbował dostać się przez drzwi biura. Ale jako całkiem początkujący adept, w dodatku świadomy, że największe jego złodziejskie czyny dochodziły do skutku tylko dzięki temu, że ktoś zapomniał zamknąć drzwi, i tym razem próbował naciskać klamkę. Ku największej radości stwierdził, że drzwi ustępują.

I znów zawodowy włamywacz podejrzewałby jakąś pułapkę i pewnie by się cofnął. Lane jednak, dopatrując się w otwartych drzwiach nowego tylko dowodu

opatrności, sprzyjającej przede wszystkim „szczęśliwcom”, śmiało wszedł do środka. Zapalił kawałek świeczki i rozejrzał się.

Nic tu nie świadczyło o zamożności cechującej zwykle siedziby „przedsiębiorców”. Ani skrawka chodnika w przedpokoju, a na ścianach ani obrazu, ani żadnej ozdoby. Tak samo biuro, mały pokój, do którego wchodziło się z przedpokoju, nie okazał się bardziej zasobny. Większe sprzęty, o ile ich trochę było, pozostawił zapewne poprzedni lokator, a wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu.

– Phi! – wykrzyknął pan Lane w przystępie oburzenia, a okrzyk ten odbił się głuchym echem w pustym domostwie.

Stwierdziwszy, że łup będzie marny, pan Lane od razu stracił cały zapał i energię. Należał do wspomnianej klasy rzezimieszków, którzy odnoszą się do Szajki Miejskiej z trwogą i czcią, mniej więcej taką, z jaką młody wikary odnosi się do biskupów. Przy kieliszku – cynowym kieliszku z pieniącym się trunkiem – chełpił się, że z Szajką Miejską łączą go bliskie i przyjazne stosunki. Krążyła też pogłoska, że „rzecznik”, który go bronił na końcu owej niemiłej historii dotyczącej kradzieży w pociągu, został opłacony przez szajkę, a pan Lane wcale pogłosce tej nie zaprzeczał. Gdyby bodaj z widzenia znał któregoś z jej członków, na pewno w tej chwili i tak dokonałby aktu włamania do ich siedziby.

Przeszukiwał pokój po pokoju. Wszedł do marnie

urządzonej sypialni Connora i do pokoju, gdzie na brudnym materacu sypiał stary George. Dotarł też do wielkiej izby, gdzie szajka urządzała swoje zebrania. Nigdzie nie odkrył niczego, co dałoby się zabrać. Nic takiego, co człowiek mógłby ukryć pod płaszczem i śmiało wyjść z domu. Nigdzie drobnego klejnotu, który żona mogłaby zanieść do lombardu i z twarzą wydłużoną od cierpienia oraz jeszcze dłuższą historią o nędzy zmuszającej ją do rozstania się z ostatnią pamiątką po matce, przedłożyć go do oceny.

– Nici z tego wszystkiego – z goryczą mówił do siebie pan Lane, a z każdym nowym rozczarowaniem oddech jego stawał się coraz cięższy.

Bo, pomijając stronę finansową tej wyprawy, w grę wchodziło też przykre upokorzenie, płynące z poczucia doznanej klęski. Dzięki darowi fantazjowania pan Lane już sobie wymyślił historię, którą opowie najbliższemu zaufanym w gronie złodziejasków. W wyobraźni przeżywał już scenę, kiedy z niedbałym gestem wyjmie z kieszeni garść złotych monet i wszystkim kompanom zafunduje kolejkę. A kiedy będą saczyć trunek, uśmiechając się z szacunkiem, powie im w tajemnicy, że został przyjęty z wszystkimi honorami „wyzwolonego” jako członek Szajki Miejskiej. Nie uświadamiał sobie ironii sytuacji. Zawodowy włamywacz uporałby się w ciągu dziesięciu minut z dokładnym przeczesaniem domu, ale Lane nie posiadał odpowiednich kwalifikacji. Dlatego też wałęsał się po pokojach, przechodząc z jednego do

drugiego, by się upewnić, i znowu wracał, by się przekonać, że absolutnie niczego nie przeoczył. Nie myśląc o tym, że czas upływa, stał niezdecydowany w pokoju na piętrze, gdy nastąpiło najgorsze. Usłyszał zgrzyt klucza. Na szczęście zamknął drzwi, gdy wszedł. Oddech i serce momentalnie w nim zamarły. Doszedł go głos zachrypnięty od złości, a potem drugi i kolejny.

Tupot nóg na schodach poinformował Lanea, że do domu weszło kilka osób, a z tonu ich rozmowy wywnioskował, że są wzburzeni. Następnie usłyszał coś, od czego serce mu zamarło, a krew zakrzepła w żyłach. Rozpoczęło się zachrypniętym, zdławionym szeptem, a skończyło zdaniem, które dobiegło do jego uszu.

– Powiadam wam, że nas sprzedał! Sprowadził na nas szpiegów! Zwabił nas do zasadzki, pies przeklęty...

Usłyszał drugi głos, trochę cichszy.

– Jaką my mamy wartość? Jesteś głupcem! Jak wysoko nas cenisz? Czyż nie jesteśmy Szajką Miejską? Czy on nie wie dość, by dwóch czy trzech z nas wysłać na szubienicę? To Connor i ten jego towarzysz, adwokat...

Szajka Miejska. Ta paralizująca wiadomość spadła nagle na Lanea. Uchwycił się gzymsu komina, by nie upaść. Szpiegdy! A jeśli go pochwyca i wezmą za szpiega? Na samą myśl włos mu się zjeżył na głowie. Znał ich dostatecznie z opowiadań. Swój przesadny kult dla bohaterów przypisywał szatańskim zdolnościom, które być może posiadali, a być może i nie. Czy uda mu się jeszcze umknąć? Gwar głosów na dole nie ustawał.

Dochodziły do niego urywki ożywionej rozmowy.

Lane wyjrzał przez okno, skok na ulicę był mocno ryzykowny, a nigdzie ani śladu sznura. Ostrożnie otworzył drzwi pokoju. Tamci byli na parterze, tuż pod nim. Schody, którymi musiałby przejść, wiodły obok ich drzwi.

Lane bardzo pragnął wydostać się z tego domu. Nie przeczuwając niczego złego, wdepnął w gniazdo os, a teraz chętnie by się wymknął, bez zwracania uwagi mieszkańców. Oto odpowiednia chwila – teraz albo nigdy. Dopóki trwa ta głośna dysputa, nie usłyszą chyba skrzypnięcia schodów czy innego szmeru. Nie docenił jednak niezwyklej bystrości tych ludzi – ich wzroku i słuchu. Bat Sands pośrodku swojej tyrady zauważył, że Goyle podniósł palec wskazujący i wykonał nagły ruch głową. Nie przerywając potoku wyzwisk, podsunął się ku drzwiom, odczekał chwilę, po czym otworzył je na oścież, chwycił za kark przerażonego Lanea, wciągnął do izby, obalił na podłogę i kolaniem przygniótł mu pierś.

– Skąd się tu wzięłeś? – syknął z wściekłością przez zęby.

Wybałuszonymi ze strachu oczami Lane spojrział na okrutne twarze otaczających go ludzi. Zobaczył, że Goyle wziął ze stołu kańczug i wykonał półobrót, by się lepiej zamierzyć. Na ten widok zemdłał.

– Daj spokój! – warknął Bat, wykonując ręką gest obrony. – Ten chłystek zemdłał. Kto to? Czy któryś go poznaje?

Ten z pomarszczoną twarzą, którego Angel nazywał Lambym, znał tożsamość intruza.

– To taki złodziejaszek. Zwie się Lane.

– Gdzie mieszka?

– Och, gdzieś w tych stronach. Za moich czasów przebywał w Scrubs – objaśnił.

W zdumieniu przyglądali się zemdlonemu włamywaczowi.

– Zrewidować mu kieszenie? – podsunął Goyle.

Zdarzyło się – a według Lanea było to kolejne zdarzenie opatrnościowe – że, postanowiwszy rozpocząć karierę zbrodniarza pierwszej klasy, przezornie zaopatrzył się on w narzędzia, które sam sfabrykował. Toteż znaleziony przy nim mały spłaszczony na końcu pogrzebacz, który miał mu służyć do wyważania drzwi, oraz świderk prawdopodobnie ocaliły mu życie.

Lombroso i inni wielcy kryminolodzy twierdzą, że prawdziwi degeneraci nie mają poczucia humoru, a jednak przynajmniej na dwóch twarzach obecnych w pokoju mężczyzn pojawił się uśmiech, gdy zrozumieli, w jakim celu ten nieborak ich odwiedził.

– Chciał wtargnąć do Connora – z podziwem zauważył Bat. – Chłopcy, dajcie no trochę whisky!

Wlał kilka kropel do gardła leżącego, a Lane mrugnął oczami, otworzył je i z przerażeniem powiódł wzrokiem dookoła.

– Wstawaj – rozkazał Bat – i gadaj, co masz do powiedzenia. Skąd ci strzeliło do łba włamać się tutaj?

– Daj spokój – z wściekłością przerwał Goyle. – Chodzi o to, co usłyszał, kiedy tu myszkował. O to chodzi!

– Nic nie słyszałem, proszę panów! – z trudem wykrztusił nieszczęśnik. – Słowo daję! Miałem przykrości, tak samo jak panowie... – Uświadomił sobie, że się wygadał.

– Och – rzekł Goyle ze złowrogim spokojem – miałeś przykrości jak my?

– To znaczy...

– Wiem, co to znaczy – syknął tamten. – To znaczy, że podsłuchałeś, o czym mówiliśmy, łajdaku, a teraz jesteś gotów nas sprzedać pierwszemu lepszemu policjantowi.

Źle by skończył pan Lane, gdyby w tej krytycznej chwili nie zjawił się posłaniec. Usłyszawszy pukanie do drzwi wejściowych, Bat zszedł ze schodów, a tamci nasłuchiwali w milczeniu. Czekali na Connora, a gdy nie usłyszeli jego głosu na schodach, spojrzeli na siebie pytająco. Bat wszedł do pokoju, trzymając w ręce żółtą kopertę. Wręczył ją Goyleowi. Ten odczytał z trudem, gdyż czytanie nie należało do jego mocnych stron: „Ratujcie się, jak możecie. Ja zmykam”.

– Co to ma znaczyć? – mruknął Goyle, trzymając w ręce kartkę i patrząc na Bata. – Ukrył się, a my mamy sobie radzić, jak możemy?

Bat sięgnął po swoje palto. Milczał, naciągając z trudem ubranie i zapinając jeden guzik po drugim.

– To znaczy: kłapa – podsumował w końcu. – Znaczy: zmykać albo wpaść, albo jeszcze gorzej niż wpaść. – Skierował się ku drzwiom. – Connor się ukrywa – powiedział, przystając. – A jeśli Connor się ukrywa, to znaczy, że nie ma co siedzieć tu dłużej. O ile mi wiadomo, nic na mnie nie mają, poza... – Spojrzenie jego padło na Lanea, który dźwignął się i przycupnął na podłodze. Ze zmierzwionym włosiem i wyciągniętymi nogami przedstawiał rozpaczliwy widok.

Goyle pochwycił to spojrzenie.

– Co z tym? – spytał.

– Zostawić go – odparł Bat. – Nie mamy czasu się bawić.

Na Cawdor Street zadudnił samochód – zdarzenie niebywałe. Usłyszeli, że przed domem zgrzytnął hamulec, co było już dostatecznie zatrważające. Bat zgasił światło i ostrożnie otworzył okiennicę, po czym cofnął się z przekleństwem.

– Co jest? – szepnął Goyle.

Bat nie odpowiedział, słyszeli tylko, że otworzył pudełko z zapalkami.

– Co robisz? – z wściekłością szepnął Goyle.

– Chcę zapalić lampę – odparł tamten.

Dało się słyszeć brzęk szkła, gdy zdejmowali abażur, a w żółtym świetle Bat stanął naprzeciw Szajki Miejskiej.

– B–A–S–T–A znaczy basta i koniec – oznajmił spokojnie, przeszukując swoje kieszenie. – Potrzeba mi ognia, bo muszę spalić jedną rzecz, którą mam w kieszeni.

Szybko!

Po krótkim szukaniu znalazł świstek. Szybko go obejrzał, następnie zapalił zapalniczkę i ostrożnie przyłożył ją do papieru.

– Znakomity połów – mówił dalej. – Cała ulica pełna policjantów, a tym razem Angel nie będzie się bawił, jak wtedy, gdy nas zgarnął w szulerni.

Rozległo się mocne pukanie do drzwi, ale żaden z nich się nie ruszył. Twarz Goylea okryła się śmiertelną bladością. Wiedział lepiej od innych, że ucieczka jest niemożliwa. To była właśnie zła strona tego domu, że tak łatwo można go było otoczyć. Przedtem już zwracał Connorowi na to uwagę.

Ponowne pukanie.

– Niech otworzą – z zaciętością rzekł Bat i, jakby tamci usłyszeli tę zachętę, rozległ się trzask drzwi, a od schodów dobiegły szybkie kroki kilku ludzi.

Pierwszy do pokoju wszedł Angel. Obojętnie skinął głową w kierunku Bata i cofnął się, by wpuścić policjantów.

– Szukałem was – zakomunikował.

– Z jakiego powodu? – spytał Sands.

– Z powodu włamania. I dlatego, że udawaliście policjantów – odparł detektyw. – Ręce do góry!

Bat posłuchał. Gdy stalowe kajdanki zamykały się na przegubach jego rąk, spytał:

– Ujęliście Connora?

Angel się uśmiechnął.

– Connora zachowamy sobie na inny dzień – powiedział spokojnie.

Towarzyszący mu policjanci zabrali się do innych.

– Ciężki miał pan dziś dzień – zażartował Lamby. Jego twarz była zapadnięta. – Myślałem, że pan nas puścił.

– Wysznuwanie przedwczesnych wniosków jest złym przyzwyczajeniem – oświadczył Angel sentencjonalnie. Spojrzenie jego przeniosło się na śmiertelnie przerażonego Lanea.

– A co to za jeden? – spytał.

W tej chwili na Lane'a spłynęło największe natchnienie jego życia. Ponieważ wskutek rozmaitych okoliczności wplątał się w tę całą historię i ponieważ niewielką mogło stanowić różnicę, czy powie to, czy co innego, sięgnął po sławę, która sama mu się nawinęła.

– Należę do Szajki Miejskiej – skłamał i z kajdankami na rękach dumnie pozwolił się wyprowadzić, świadom, że ponad wszelką wątpliwość ustalił swoją reputację niebezpiecznego zbrodniarza.

* * *

Spedding był inteligentnym człowiekiem. Myśli i plany migwały mu przed oczami jak diamenty i bezwartościowe kamienie sortującemu je znawcy. Miał umiejętność podejmowania szybkich decyzji. Angielską policję znał jak własną kieszeń i teraz krytycznie rozważał

postępek Angela. Nie było wykluczone, że Angel działał na podstawie jakiegoś danego mu z góry upoważnienia, ale całkiem możliwe, że był to z jego strony tylko śmiały blef. Spedding miał dwa wyjścia i obydwie były rozpaczliwe. Przede wszystkim musiał się upewnić, czy jego chwilowa wolność zależna jest od kaprysu zastępcy asystenta komisarza policji. Angel powołał się na najwyższy autorytet. W zwyczaju Speddinga było, że zawsze udawał się do kopalni, by stwierdzić, ile lontu już się spaliło. Innymi słowy, tym razem skinął na dorożkę i pojechał do Izby Deputowanych.

Jaśnie wielmożny George Chandler Middleborough, Sekretarz Stanu do Spraw Wewnętrznych, miał ustaloną opinię człowieka nieprzystępnego, czasem robił jednak wyjątki. I taki wyjątek uczynił teraz na korzyść Speddinga, bowiem wybitni adwokaci nie przychodzą do Izby o dziesiątej wieczorem dla zaspokojenia pustej ciekawości ani też dla oglądania wnętrza parlamentu, ani dla zebrania o protekcję w jakiejś sprawie. Jeśli więc na wizytówce widnieje dopisek: „sprawa niecierpiąca zwłoki”, a wizytówka pochodzi od wybitnego przedstawiciela ważnego zawodu, niełatwo odmówić mu rozmowy.

Wprowadzono więc Speddinga do pokoju, a Sekretarz Stanu wstał i uśmiechnął się na powitanie. Znał Speddinga z widzenia i spotkał go kiedyś na jakimś obiedzie.

– Hm... – zaczął, patrząc na wizytówkę, którą trzymał

w ręce. – Czym mogę służyć o tej porze? – Znow się uśmiechnął.

– Przychodzę w sprawie zmarłego Realea. – Spedding bacznie obserwował twarz Sekretarza, ale poza lekkim zdumieniem nic z niej nie wyczytał. „Dobrze” – pomyślał i odetchnął swobodniej.

– Obawiam się... – rzekł Sekretarz.

Nic więcej nie powiedział, gdyż Spedding w okamgnieniu stał się uosobieniem czci, unizoności i zakłopotania. Jak to! Sekretarz Stanu nie otrzymał jego listu? Listu w sprawie majątku Realea? Można sobie wyobrazić przykrość i rozczarowanie na twarzy Speddinga, gdy mówił o karygodnej nieuwadze swego pisarza, jego bezradną minę, z jaką stwierdził absolutną niemożność postępowania w tej sprawie, zanim Sekretarz nie przeczyta tego listu, wreszcie wycofanie się z pokoju łaskawego dlań ministra, który zapewne chętnie by, „z całą radością, proszę szanownego pana”, spełnił jego życzenie, gdyby tylko otrzymał ów list i mógł się zapoznać z jego treścią. Spedding był geniuszem pomysłowości. W odniesieniu do niego twierdzenie, że potrzeba jest matką wynalazku, było jak najbardziej trafne.

Znalazłszy się poza obrębem gmachu, Spedding złapał dorożkę, która zawiozła go do klubu. „Angel dopuścił się blefu – rozmyślał, uśmiechając się w duchu. „Przyjacielu, zaryzykowałeś swoją posadkę”. Znow się uśmiechnął, gdyż przyszło mu na myśl, że on ryzykuje

znacznie więcej.

– Dwa miliony! – mruknął do siebie. – Przynajmniej warto. Z dwoma milionami potrafiłbym zrobić niejedno.

Przed klubem wysiadł z dorożki i co do feniga wypłacił dorożkarzowi należność według ustalonej taksy.

W poszukiwaniu książki

O późnej godzinie wieczornej, kiedy Piccadilly Circus tonie w powodzi świateł, pewien samochód ostrożnie torował sobie drogę przez zatłoczoną Regent Street, następnie przemknął przez Pall Mall i przez Westminster Bridge skierował się na południe. Deszcz ustał, ale ulice były zabłocone. Samochód obryzgiwał jadących czarną mazią. Szofer odwrócił się, gdy auto, trzymając się linii tramwajowej, spokojnie zdążyło przez Old Kent Road, i zadał jakieś pytanie. Po chwili jeden z pasażerów zwrócił się do swego towarzysza z prośbą o radę.

– Przede wszystkim pojedziemy do Cramera – oświadczył zagadnięty.

Old Kent Road była teraz ulicą pełną pozamykanych sklepów i grupek ludzi, którzy na nieznoszący sprzeciwu rozkaz szynkarza opuszczali właśnie lokal. Lewisham High Road, jak przystało na niezwykle przyzwoitą ulicę, pogrążona była w harmonijnym śnie. Lea, gdzie zaczynały się żywopłoty, była już całkiem cicha, a na Chislehurst panował spokój jak na cmentarzu.

Samochód zatrzymał się w pobliżu głównego placu przed dużym domem mającym w ponurej ciszy. Dwaj pasażerowie wysiedli i przeszedłszy przez ciężko odmykającą się bramę, poszli wygracowaną ścieżką w stronę obszernego ganku.

– Nie wiem, co powie stary Mauder – odezwał się Angel, szukając po omacku dzwonka. – To bardzo pedantyczny gość.

W ciszy wyraźnie usłyszeli dźwięk dzwonka elektrycznego. Odczekali kilka minut i znów zadzwonili. W końcu usłyszeli, że otwiera się okno, a zaspany głos spytał:

– Kto tam?

Angel cofnął się spod dachu ganku i podniósł głowę.

– Witam, Mauder! Muszę z panem pomówić. Tu Angel.

– Do kaduka! – zawołał zdumiony głos. – Proszę chwilkę poczekać. Za moment schodzę.

Osobą, która w szlafroku otworzyła im drzwi i wprowadziła do zacisznej biblioteki, był Ernest Mauder, światowej sławy wydawca, mogący się poszczycić wypuszczeniem na rynek sensacyjnych *Pamiętników* hrabiego Lehorra, które wywołały gwałtowne spory wokół tej imponującej postaci. Wskazał obu przybyłym krzesła, a Jimmyego przywitał skinieniem głowy, jak dawnego znajomego.

– Szalenie mi przykro, że zmuszony jestem zawracać panu głowę o tak niehumanitarnej godzinie – zaczął Angel, lecz tamten gestem przerwał mu dalsze usprawiedliwienia.

– Detektywi tak chętni robią niespodzianki zwykłym ludziom – powiedział, lekko mrugając okiem – że miałbym ochotę czymś pana zaskoczyć.

– Och, mnie nie tak łatwo zaskoczyć – spokojnie odparł Angel.

– Skoro mnie pan prowokuje, poniesie pan konsekwencje – tonem ostrzeżenia rzucił wydawca, grożąc uśmiechniętemu Angelowi palcem. – Otóż, powiem panu, z jakiego powodu przyjechał pan z Londynu w tę obrzydliwą noc, i to w dodatku na próżno.

– Hm? – Uśmiech na twarzy Angela zamarł.

– Ach, wszak mówiłem, że pana wprawię w zdumienie. Czy są tu panowie z powodu pewnej książki?

– Tak – przytaknął Jimmy istotnie zdumiony.

– W sprawie książki, która wyszła u nas przed dziewięć laty?

– Tak. – Zdumienie na twarzach przybyłych jeszcze się spotęgowało.

– Tytuł – dobitnie mówił wydawca – brzmi: *Krótką rozprawa o pochodzeniu alfabetu*, a autorem jest na pół zwariowany stary profesor wyrzucony z Oksfordu z powodu nadmiernego pijaństwa.

– Panie Mauder – Jimmy w osłupieniu patrzył na gospodarza – odgadł pan... jednak...

– Ach, wiedziałem przecież, że o to chodzi – triumfował wydawca – ale to daremne poszukiwania. Wydrukowaliśmy tylko pięćset egzemplarzy. Książka okazała się całkowitą klapą. W innych dziełach ten sam temat jest znacznie lepiej opracowany. Przed paru laty znalazłem stary zakurzony egzemplarz i darowałem go mojej sekretarce. Jak mi wiadomo, to jedyny egzemplarz.

– A ta sekretarka? – szybko spytał Angel. – Jak się nazywa? Gdzie mieszka?

– Jak się nazywa? – powtórzył wydawca. – Gdyby mnie pan zapytał o to wczesnym wieczorem, nie byłbym w stanie odpowiedzieć. – Mauder był widocznie rozbawiony tajemniczym nastrojem, który wywołał. – Ale w ciągu ostatnich godzin odświeżyły mi się pewne wspomnienia. Panienska ta, nawiasem mówiąc, czarująca młoda dziewczyna, była przez dwa lata moją sekretarką. Nie wiem, co ją skłoniło do pracy zarobkowej, ale zdaje się, że pomagała choremu ojcu.

– Jak się nazywa? – niecierpliwie spytał Angel.

– Kathleen Kent! – rzucił wydawca. – A jej adres...

– Kathleen Kent! – zawołał Jimmy w bezgranicznym zdumieniu. – Wszyscy święci, ratujcie!

– Kathleen Kent! – powtórzył Angel bez tchu. – Nie, to istotnie coś zgoła nieoczekiwanego! Ale – dodał śpiesznie – skąd pan wiedział, że przyjechaliśmy w tej sprawie?

– Prawdę mówiąc – starszy pan szczerzej otulił się szlafrokiem – był to raczej domysł. Widzi pan, panie Angel, jeśli człowieka zbudzono już raz ze zdrowego snu, by mu zadawać tajemnicze pytania dotyczące starej, dawno już wycofanej książki...

– Co? – wykrzyknął Jimmy, zrywając się z krzesła. – Już tu u pana ktoś był?

– Jest rzeczą zrozumiałą – ciągnął dalej wydawca – że sprawa ta łączy się z interesem drugiego nocnego

intruza.

– Kto tu był? Na Boga, proszę nie żartować, chodzi o poważną sprawę!

– Nikogo nie było – odpowiedział Mauder – ale przed godziną ktoś do mnie dzwonił...

Jimmy spojrzał na Angela, a Angel na Jimmyego.

– Jimmy – rzekł Angel tonem skruchy – może mnie pan nazwać skończonym idiotą. Telefonicznie! Że też nie przyszło mi do głowy, że ma pan telefon!

– Nie miałem go do zeszłego tygodnia – westchnął wydawca. – I znów go nie będę mieć. Od jutra. Sen jest rzeczą zbyt cenną, by go marnować.

– Kto do pana dzwonił? – spytał Angel.

– Nie mogłem dosłyszeć nazwiska. Bardzo przepraszał, że przeszkadza. Jeśli dobrze zrozumiałem, musiał to być jakiś dziennikarz, któremu chodziło o bliższe szczegóły, ze względu na przygotowywany nekrolog właśnie zmarłego autora książki.

Angel się uśmiechnął.

– Autor wcale nie umarł – zapewnił. – A jak brzmiał głos mówiącego? Trochę pompatycznie? Przed każdym zdaniem lekkie chrząknięcie, czyż nie?

Wydawca skinął potakująco.

– Spedding! – Angel wstał. – Jimmy, nie mamy chwili do stracenia.

Mauder odprowadził ich do drzwi hallu.

– Jeszcze jedno – rzekł Jimmy, zapinając kołnierz płaszcza. – Czy nie mógłby nam pan dać jakiejś

wskazówki co do treści tej książki?

– Niestety. Przypominam sobie bardzo niejasno, że całość nie wносиła nic nowego i że były tam prymitywne ryciny i reprodukcje dawnych liter alfabetu, podobne do tych, jakie się widuje w encyklopediach i na ostatnich stronicach objaśnień do Biblii.

Gdy znów zajęli miejsca w samochodzie, szofer zawrócił i jasne reflektory auta skierowały się w stronę Londynu.

– „Zagadka ze starej księgi wzięta, a jest to księga mądra, święta...” – szepnął Angel do swego towarzysza, a Jimmy skinął głową potakująco.

W tej chwili całkowicie zapomniał o majątku czekającym na nich w wielkim schowku na Lombard Street i wcale się o niego nie troszczył. Cały był przepełniony lękiem o Kathleen, nieświadomą posiadaczkę hasła, które już jutro może z niej uczynić bogatą spadkobierczynię. Spedding działał szybko, a i Connor oraz jego łotry z Szajki Miejskiej przyjdą mu z pomocą. Jeśli książka jest jeszcze w posiadaniu dziewczyny, to ją zdobędą, i zrobią to natychmiast. Gnębiły go złe przeczucia. I choć samochód mknął w ciemności z ogromną prędkością, a deszcz, który znów zaczął padać, smagał go w twarz, wstrząsy zaś spowodowane szybką jazdą zapierały dech, tempo wydawało mu się zbyt powolne.

Monotonna jazda została przerwana przez małą przygodę. Gdy samochód właśnie skręcał w niezwykle

ciasną ulicę, omal nie najechał na inne auto pędzące z szaloną prędkością z przeciwnej strony. Nastąpiła śpieszna wymiana przekleństw między szoferami i obydwie samochody pomknęły dalej.

Ustalili, że najważniejszą sprawą było teraz dotarcie do mieszkania Kathleen Kent. Streatham było całkiem opustoszałe. Gdy skręcili w cichą ulicę, przy której mieszkała dziewczyna, Angel kazał zatrzymać samochód i wyskoczył. Wziął jedną z dużych lamp auta i w jej świetle uważnie zbadał powierzchnię drogi.

– Mniej więcej pół godziny temu przejeżdżał tędy samochód. – Wskazał ślady kół. – Wiodą pod sam dom.

Za chwilę dzwonili już do drzwi. Niemal natychmiast ukazała się w nich starsza pani w luźno narzuconym szlafroku. Poprosiła, by weszli. „Nikogo jakoś nie dziwi ta nasza wizyta” – pomyślał Angel z gorzkim humorem.

– Detektyw Angel ze Scotland Yardu – przedstawił się, lecz na starszej pani nie zrobiło to wrażenia.

– Kathleen wyjechała – powiedziała wesoło.

Serce Jimmyego ścisnęło się boleśnie.

– Tak, pan Spedding, ten sławny adwokat, przyjechał po nią przed godziną, a ponieważ wiem – dodała starsza pani poufnie – że panowie też interesują się tą sprawą, mogę powiedzieć, że moja siostrzenica prawdopodobnie już jutro będzie posiadaczką ogromnego majątku.

Jimmy jęknął.

– Proszę opowiadać – poprosił Angel.

Okazało się, że chodzi o książkę, którą Kathleen

dostała przed paru laty i po której pewnie nie byłoby już śladu, gdyby nie dbałość starszej pani. Jimmy przeklął w duszy tę „dbałość”.

– Kiedy się tu przeprowadziłyśmy po śmierci nieszczęsnego ojca Kathleen, musiałam wyrzucić mnóstwo rozmaitych rzeczy. Pośród nich była też masa książek, które Kathleen chciała sprzedać, ale ja pomyślałam...

– Gdzie pani przechowuje te książki? – szybko spytał Angel.

– Złożyłam je w naszej starej posiadłości. Jedynej, jaka pozostała memu biednemu bratu. – Westchnęła smutno. – A ostała się, ponieważ była w tak okropnym stanie, że nie znalazłam na nią nabywcy.

– Gdzie? Gdzie? – Angel zdał sobie sprawę ze swojej nieuprzejmości. – Pani łaskawa wybaczy – usprawiedliwił się – ale natychmiast muszę pojechać za pani siostrzenicą.

– Znajduje się przy Tonbridge Road – odparła oziębło. – Jeśli sobie dobrze przypominam, gdzieś między Crawley a Tonbridge, ale nie jestem pewna. Kathleen orientuje się tam doskonale, dlatego pojechała.

– Gdzieś przy Tonbridge Road – beznadziejnym głosem powtórzył Angel.

– Moglibyśmy się trzymać śladów auta – odezwał się Jimmy, ale Angel potrząsnął głową.

– Jeśli tam tak leje jak tu, ślady się zatarły.

Stali przez chwilę w bezruchu. Jimmy gryzł mokry palec rękawicy, a Angel zastygł zapatrzony przed siebie.

Nagle Jimmy zapytał:

– Czy ma pani może Biblię?

Na twarzy kobiety odbiło się zdumienie wywołane tym pytaniem.

– Mam rozmaite Biblie.

– A objaśnienia zaopatrzone uwagami? – spytał.

Zastanowiła się.

– Tak, mam także takie objaśnienia. Czy panowie zaczekają chwilę?

Wyszła z pokoju.

– Powinniśmy byli powiedzieć dziewczynie o tej historii ze Speddingiem... Powinniśmy jej byli powiedzieć! – W głosie Angela czuć było rozpacz.

– Nie ma sensu wylewać łez nad rozlanym mlekiem – spokojnie odparł Jimmy. – Teraz chodzi o zniweczenie planu Speddinga i ratowanie Kathleen.

– Czyżby się odważył?

– Odważy się. I owszem, odważy. Jest gorszy, niż pan sobie wyobraża.

– Jest już straconym człowiekiem.

– Jeszcze jeden powód, by posunął się do ostateczności. Od miesięcy znajduje się na skraju ruiny, jak mi się udało wykryć. Pewnego dnia zasięgnąłem informacji i odkryłem, że stoi nad przepaścią, której nie zapełniłaby katedra Świętego Pawła. Jest pełnomocnikiem, czy czymś podobnym, jakiejś spółki handlowej, która od dawna domaga się od niego pieniędzy. Jest gotów na wszystko... – Urwał, a po pauzie

dodał: – Ale jeśli się odważy zrobić tej dziewczynie coś złego, może pożegnać się z życiem.

W tej chwili weszła starsza pani z książką, a Jimmy szybko zaczął przerzucać stronicę po stronicy. Niemal na końcu natknął się na coś, co sprawiło, że w jego oczach pokazał się błysk radości. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej notes. Nie tracił czasu na przysunięcie krzesła, lecz przyklęknął koło stołu i szybko coś pisał, porównując tekst z rycinami w książce. Angel pochylony nad nim z zapartym tchem śledził tę robotę.

– Tu i tu. I tu! – triumfująco wykrzyknął detektyw. – Jakimi głupcami byliśmy, Jimmy, jakimi głupcami.

Jimmy zwrócił się do starszej pani:

– Czy mogłaby pani użyczyć nam tej książki? Oddam niedługo... Dziękuję. A teraz, Angel – spojrzał na zegarek i skierował się ku drzwiom – mamy dwie godziny. O świcie musimy być w Tonbridge Road.

Jeszcze tylko jednemu człowiekowi przeszkodzili tej nocy, a był nim stary, nerwowy oficer marynarki mieszkający w Blackheath. O świcie, w jego obecności, Angel omówił swoje działania, po czym z gorączkowym pośpiechem podpisał zaprzysiężone zeznanie. Sędzia pokoju wystawił zaś upoważnienie, które dawało mu pozwolenie na aresztowanie adwokata Josepha Jamesa Speddinga pod zarzutem ciężkiego przestępstwa.

Co się stało w młynie we Flairby

Kathleen uważała adwokata za bezinteresownego przyjaciela. Nie było powodu, dla którego miałyby go za takiego nie uważać. Ostatni czyn tego niezwykle taktownego doradcy prawnego nawet umocnił ją w tym przekonaniu. Gdy tylko, jak twierdził adwokat, przez przypadek odkrył klucz do wiadomego hasła, wskoczył do samochodu, by wtajemniczyć ją w swoje odkrycie. Radził naturalnie niezwłocznie przystąpić do działania, a gdy wyraziła wątpliwość w kwestii poszukiwań książki o tak późnej porze, napomknął o trudnościach, które wynikną z tego jej wahania. Chciała zawiadomić Angela i Jimmyego, ale o tym adwokat nie chciał słyszeć. Przypisała tę jego uporczywą odmowę zwykłej prawniczej podejrzliwości. Kusiła ją ponadto niezwykłość tej nocnej wyprawy – szalona jazda samochodem w głuchą noc i niesamowita przygoda, jaka na nią czekała u celu podróży.

Zgodziła się z nim pojechać, a jej żądza przygód omal nie została zaspokojona – niewiele brakowało, a najechaliby na inny samochód pędzący z ogromną prędkością w przeciwnym kierunku. Nie widziała wprawdzie jadących, ale przypuszczała, że przerazili się tak samo jak ona. W rzeczywistości żaden z panów ani przez sekundę nie zastanawiał się nad katastrofą, której cudem uniknęli.

Kathleen nie miała czasu znużyć się nocną jazdą. Samochód mknął po grząskim gruncie między pastwiskami i mijał ciche wioski. Światła reflektorów wyłaniały z mroku niewielkie domki, które błyskawicznie znów się w nią zapadały. Wkrótce zauważyła, że jadą dobrze jej już znaną drogą. Samochód zwolnił, by nie przeoczyli wąskiej polnej drogi wiodącej do młyna we Flairby. Ostrożnie pokonywali głębokie koleiny, podskakiwali na kamieniach i torowali sobie drogę przez wysoką mokrą trawę, aż wreszcie w mrokach nocy zamajaczyły niewyraźne kontury młyna.

Był czas, przed wprowadzeniem tanich maszyn, kiedy młyn we Flairby cieszył się sławą w całym okręgu. Dniem i nocą rozlegał się w nim huk ciężkich kamieni. Teraz jednak wielkie strzaskane koło spoczywało w łożysku strumienia, który tak wiernie niegdyś mu służył. Z maszynerii zostało pordzewiałe żelastwo i tylko pobliski domek posiadał jeszcze jakąś wartość. Wystarczyło kilka niewielkich napraw, by zabezpieczyć wnętrze przed deszczem i wiatrem. To tu właśnie Kathleen przeniosła najrozmaitsze rzeczy z mieszkania ojca. Siodła, tarcze, oszczepy i inne osobliwości, które nagromadził w ciągu swych podróży, a także skromną bibliotekę, która była dla niego pociechą w gorzkich latach przewlekłej agonii. Były to rzeczy bezwartościowe dla obcych, ale w oczach dziewczyny bezcenne jako pamiątki po ojcu. Do oczu nabiegły jej łzy, gdy Spedding, wyjąwszy z jej ręki klucz, wsunął go do zamka siedemnastowiecznych drzwi. Na

szczęście zdołała otrzeć twarz, zanim cokolwiek zauważył.

Spedding posługiwał się acetylenową lampą zabraną z samochodu, przy której świetle doszli też do domu.

– Panno Kent, teraz proszę wskazywać drogę – odezwał się i Kathleen poszła przodem.

Wchodzili zakurzonymi dębowymi schodami, a ich kroki głucho rozbrzmiewały w pustym domostwie. Na końcu klatki schodowej znajdowały się ciężkie drzwi, które, na prośbę dziewczyny, Spedding otworzył. Weszli do dużej izby sprawiającej wrażenie stodoły, o skośnej powale podtrzymywanej belkami. Okna miały zamknięte okiennice, a kolejne drzwi wiodły do mniejszego pomieszczenia.

– Tu mieszkał młynarz – wyjaśniła ze smutkiem.

Pamiętała jeszcze czasy, kiedy młynarz zajmował to domostwo. Ilekroć przyjechała z ojcem do młyna, cały biały od mąki, z uśmiechniętą twarzą, pomagał jej zsiąść z konia i przez tajemną izbę prowadził tam, gdzie pracownicy obracały się ogromne kamienie, głośno przy tym hucząc. Powietrze wypełniał delikatny biały pył.

Spedding postawił lampę na stole i badawczym spojrzeniem rozglądał się za książkami. Nietrudno było je zauważyć: zostały rozpakowane i w trzech niesymetrycznych szeregach ustawione na prowizorycznych półkach. Skierował lampę tak, by pełne światło padało dokładnie na nie. Następnie zaczął je metodycznie przeglądać, szereg po szeregu, książkę po

książce, półgłosem odczytując tytuł każdego tomu. Były tu książki szkolne, podręcznicze i grube tomszcza dzieł naukowych, gdyż ojciec Kathleen zajmował się przyrodoznawstwem. Wsparta jedną ręką o stół, dziewczyna przyglądała się Speddingowi, podziwiając cierpliwość, z jaką ten uprzejmy, ociążały człowiek wykonywał swoje czynności. W duchu zadawała sobie pytanie, jaka to konieczność skłoniła go do tych nocnych poszukiwań. Nie opowiedziała adwokatowi o czerwonej kopercie, instynktownie jednak wyczuwała, że o niej wie.

– *Wyprawa Cyrusa Ksenofonta...* – mrucał – Josephus *Życie i dzieła*, eseje Eliasa, eseje Emersona, eseje de Quinceya... A to, co takiego?

Między dwa grube tomy ktoś wcisnął cienką książeczkę w zniszczonej okładce. Spedding oczyścił ją z kurzu, spojrzął na tytuł, otworzył i odczytał kartę tytułową. Następnie podszedł do stołu i zabrał się do czytania.

Dziewczyna nie wiedziała, jak to się stało, ale nagle w jego zachowaniu pojawiło się coś, co przejęło ją niepokojem i rozbudziło lęk. Może dlatego, że do tej pory okazywał jej tak wielką uprzejmość, prawie uniżoność. Teraz, gdy znalazł książkę, w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Nie pokazał jej zdobyczy, nie poprosił, by ją obejrzała, toteż czuła, że przestała być mu potrzebna, że jego zainteresowanie jej sprawami zniknęło z chwilą zdobycia książki. Ostrożnie przewracał kartki, uważnie przeczytał przedmowę, a oczy dziewczyny przenosiły się

z książki na jego twarz i z powrotem. Nigdy przedtem krytycznie mu się nie przyjrzała. W ostrym świetle lampy dostrzegła szeroką szczękę, cienkie wargi, świadczące o bezwzględności, i ocięzałe powieki.

Wzdrygnęła się lekko, ponieważ w twarzy tej nie było nic, co mogłoby dodać jej otuchy.

Nieświadomy jej krytycznych spojrzeń, całkowicie pochłonięty przez książkę, adwokat czytał kartkę po kartce.

– Czy nie sądzi pan, że należałoby wracać? – spytała nieśmiało.

Podniósł na nią oczy, a jego nieruchome spojrzenie pasowało do szorstkich słów, które wypowiedział:

– Pójdziemy, kiedy skończę.

Znow zabrał się do czytania. Kathleen, zaskoczona tą odpowiedzią, musiała zaczerpnąć powietrza. Mimo podejrzeń, które tkwiły jej teraz w głowie, nie była przygotowana, że adwokat tak szybko i stanowczo odrzuci maskę uprzejmości. W nieokreślony sposób zaczęła sobie uświadamiać grożące jej niebezpieczeństwo, ale ostatecznie, co mogło jej się stać złego? Przed domem czekał szofer, stanowiący dla niej w tej chwili symbol prawa i porządku. Ponowiła próbę.

– Panie Spedding, bardzo proszę. Skończy pan czytać tę książkę kiedy indziej. Nie wiem też, czy zdaje pan sobie sprawę, że zajmuje jedyne krzesło w pokoju – dodała tonem oburzenia.

– Zdaję – spokojnie odparł adwokat, nie podnosząc

OCZU.

– Panie Spedding!

Spojrzał na nią z wyrazem znużenia.

– Czy mogę prosić, by zachowywała się pani spokojnie, dopóki nie skończę? – rzucił tonem nieznoszącym sprzeciwu. – A jeśli wciąż się pani jeszcze łudzi, że to w pani interesie, a nie w swoim własnym, szukam tego tajemniczego słowa, to dodam, że jeśli nie będzie pani teraz cicho, użyję czegoś, co panią ostatecznie uspokoi. – Po tym oświadczeniu znów zabrał się do czytania.

Kathleen stała teraz całkowicie zaskoczona, blada i milcząca, czując gwałtowne bicie serca. Zastanawiała się nad możliwościami ucieczki. Po chwili adwokat spojrzał na nią i wskazującym palcem stuknął w książkę.

– Więc cenna tajemnica przestała być tajemnicą. – Nieprzyjemnie się zaśmiał.

Kathleen nie odpowiedziała.

– Gdybym nie był takim głupcem, dawno bym się domyślił – dodał, po czym w zadumie spojrzał na dziewczynę. – Mam dwie propozycje – rzekł. – I potrzebuję pani pomocy.

– Ode mnie proszę niczego nie oczekiwać – odrzekła lodowato. – Jutro zostanie pan pociągnięty do odpowiedzialności za swoje postępowanie.

Zaśmiał się.

– Jutro? A przez kogo? Przez Angela czy przez tego zakochanego w pani arystokratycznego złodzieja? –

Zaśmiał się ponownie na widok rumieńca oblewającego jej twarz. – Ach! Więc trafiłem, co?

Przyjęła jego uwagę z pogardliwym milczeniem.

– Jutro będę już daleko... mam nadzieję, że bardzo daleko. W każdym razie poza zasięgiem wspomnianych panów. Dzień jutrzejszy interesuje mnie znacznie mniej niż dzisiejszy.

Przyszło jej na myśl, że od świtu dzieli ich jeszcze godzina.

– Dzień dzisiejszy jest dla mnie rozstrzygający. Dla pani również – zaakcentował ostatnie słowa.

Zachowała lodowate milczenie.

– Jeśli mam w paru słowach wyjaśnić, o co mi chodzi – ciągnął dalej z dawną uprzejmością – to muszę powiedzieć, że mam zamiar wy dostać pieniądze z tego śmiesznego schowka.

Kathleen powstrzymała okrzyk.

– Ach, teraz pani rozumie? Pozwoli pani, że wypowiem się jeszcze dobitniej. Jeśli mówię o wy dostaniu pieniędzy, znaczy to, że muszę je wy dostać dla siebie, i to do ostatniego pensa, i do mojego osobistego użytku. Nie może sobie pani wyobrazić – mówił dalej – jaka to ulga, móc wreszcie wypowiedzieć myśli skrywane przez cały rok... Wypowiedzieć swobodnie przed drugim człowiekiem największe tajemnice, tak długo tu skrywane. – Uderzył się w pierś. – Gdy stary Reale powierzył mi tę sprawę, wyobrażałem sobie, że spadkobiercy będą przeciętnymi, zwyczajnymi

głupcami, którzy dzień po dniu, ku mojej korzyści, będą mi opowiadać o wynikach swych poszukiwań. Na panią nie liczyłem, kobiety są z natury zamknięte w sobie i podejrzliwe, ale polegałem na tych dwóch zbrodniarzach. Moje doświadczenie ze światem przestępczym, doświadczenie całkiem bogate, kazało mi wierzyć, że z tymi panami nie będę miał trudności. – Ściągnął usta. – Planowałem wszystko, nie uwzględniając kochanego Jimmyego – stwierdził. Zauważył promienny błysk w oczach dziewczyny. – Tak – podjął znowu. – Jimmy nie jest przeciętnym człowiekiem, a ten Angel to po prostu najjaskrawszy przykład tego, jak nieodpowiednie można mieć nazwisko. Jimmyego raz omal nie dostałem w swoje ręce. Opowiedział pani, w jaki sposób wszedł w posiadanie czerwonej koperty? Widzę, że tego nie zrobił. Otóż omal go wtedy nie dostałem w swoje ręce. Nazajutrz rano poszedłem, by zobaczyć jego zwłoki, a zobaczyłem pustkę. Kilka godzin później otrzymałem od niego widokówkę z bezczelnym i ordynarnym tekstem. – Urwał, jakby wyczekując odpowiedzi.

– Pańskie zwierzenia mało mnie interesują – rzekła spokojnie dziewczyna. – Jedyнным moim pragnieniem jest pozbyć się pańskiego towarzystwa.

– Właśnie o tym chcę porozmawiać – powiedział adwokat. – Przed chwilą zachowałem się nieuprzejmie, ale byłem bardzo zajęty. Potem chciałem panią wtajemniczyć w obecny stan rzeczy. Teraz, będąc dalekim od nieuprzejmości, chciałbym zachować się grzecznie.

Mimo pozornego spokoju, drżała, słuchając tej nowej, kurtuazyjnej przemowy.

– Otóż moja sytuacja jest taka – mówił dalej – że stoję wobec olbrzymiej fortuny prawnie należącej do pani. Ustawa i zgoda pani rywala przyznaje ten majątek pani. Connora wykluczam, jako że nie jest czynnikiem wchodzącym w rachubę. Niestety ja, choć bez jakiegokolwiek uprawnienia, również pragnę tych pieniędzy. W tej sytuacji pojawia się ostateczne pytanie: Spedding czy Kathleen Kent? Ja powiadam: Spedding, a okoliczności sprzyjają mojej pretensji, gdyż – proszę wybaczyć ten melodramatyczny zwrot – mam panią w garści. Czy te dwa należące do pani miliony mam zabrać bez przeszkody, to już zależy tylko od pani...

– Zrobił pauzę, by sprawdzić, jakie wrażenie wywarły na niej jego słowa.

Dziewczyna milczała, ale w jej oczach wyczytał przerażenie.

– Gdybym się mógł obejść bez pani pomocy albo gdybym sam był dość sprytny i wpadł na proste rozwiązanie tej przeklętej zagadki, zrobiłbym to wszystko, nie sprawiwszy pani żadnej przykrości. Jednak w obecnej sytuacji muszę sobie zapewnić pani milczenie.

Wypowiedział to wszystko z całkowitym spokojem, a Kathleen, uświadomiwszy sobie znaczenie tych słów, poczuła w głowie zamęt.

– Milczenie mogę sobie zapewnić, uśmiercając panią – rzekł po prostu – lub biorąc panią za żonę. Gdyby istniał

jakiś sposób całkowitego pozbycia się pani na dwa dni, chętnie bym to uczynił. Ale jest pani kobietą, więc znaczyłoby to oczekiwać zbyt wiele. Zatem, którą z tych dwóch opcji pani wybiera?

Cofnęła się ku zamkniętemu oknu, utkwivszy w nim spojrzenie.

– Myśli pani zapewne o szoferze – zauważył uprzejmie – ale na niego proszę nie liczyć. Gdyby miała pani bystry słuch, usłyszałaby pani już pół godziny temu, że samochód odjechał. Teraz czeka na nas pół mili stąd. Gdy wrócę sam, szofer będzie niewątpliwie zdziwiony, ale niczego się nie domyśli. Proszę sobie wyobrazić, że wsiadłszy do auta, odwracam głowę i z uśmiechem kłaniam się nieistniejącej kobiecie, której szofer nie może dojrzeć. Może sobie pani wyobrazić, że jego wątpliwości momentalnie się rozwieją. Dwa dni później będzie ze mną na okręcie, absolutnie nie domyślając się morderstwa, a na otwartym morzu zdarzają się najrozmaitsze rzeczy. Kathleen, proszę powiedzieć, czy wybiera pani małżeństwo?

– Śmierć! – zawołała zachrypniętym głosem. A gdy szybko pochwycił ją za gardło, krzyknęła.

Pochylił nad nią swą twarz, w której nie drgnął ani jeden mięsień. Widziała, jak źrenice jego bezlitosnych oczu zaczęły się powoli zwięzać. Teraz stały się nieruchome i surowe. Doskonale wyrażały jego straszny zamiar.

Nagle puścił ją, a ona zatoczyła się na ścianę.

Słyszała jego szybki oddech i zamknawszy oczy, czekała. Po chwili je otworzyła i spojrzała. W jego ręce zobaczyła rewolwer i półprzytomna uświadomiła sobie, że właśnie w nią mierzy.

– Ręce do góry! – usłyszała chrapliwy głos Speddinga. – Ręce do góry, obaj!

W odpowiedzi rozległ się bezczelny śmiech.

Tylko dwóch ludzi na świecie mogło się śmiać w ten sposób w obliczu śmierci, a właśnie ci dwaj stali w drzwiach: Angel, z zawieszonymi na szyi ogromnymi okularami, i Jimmy, powoli ściągający rękawiczki.

Kathleen spojrzała na Speddinga. Ręka trzymająca rewolwer nawet nie drżała; adwokat był tak samo spokojny, jak przed kilkoma minutami.

– Jeśli któryś z was się poruszy, zastrzelę dziewczynę, przysięgam – syknął przez zęby.

Wciąż stali w drzwiach. Przemówił Jimmy. Nie podniósł głosu, lecz w jego spokojnych słowach wyczuła tłumione wzburzenie.

– Spedding, Spedding, przyjacielu, straszy pan dziecko... Niech pan odłoży broń, a spokojnie porozmawiamy. Słyszysz pan? Teraz panuję nad sobą, ale jeśli tej dziewczynie zrobi pan coś złego, rzucę się na pana jak diabeł. Czy pan słyszy? Jeśli pan jej zrobi coś złego, dorwę pana gołymi rękami i rozprawię się z panem, jak Indianie rozprawiają się z intruzami. Zwiążę cię, przyjacielu, wbiję na pal i będę cię piekł na wolnym ogniu. I klnę się na Boga, że jeśli ktoś zechce mi

przeszkodzić, choćby sam Angel, uśmiercę go na miejscu. Czy pan słyszy? – Oddychał ciężko, starając się opanować.

Spedding, przerażony bijącą od niego wściekłością, opuścił rękę z pistoletem.

– Więc pomówmy – odezwał się zachrypniętym głosem.

– Tak będzie lepiej – potwierdził Angel – a jeśli pan pozwoli, ja zacznę. Szukam pana.

– To podejdź i znajdź mnie – odciął się adwokat.

– Zbyt wielkie ryzyko. Poza tym mogę sobie pozwolić na zwłokę.

– Zatem? – spytał wyzywająco adwokat po chwili ogólnego milczenia. Trzymał w ręce broń skierowaną w stronę dziewczyny.

Angel szeptem zamienił jedno słowo ze swoim towarzyszem.

– Może pan wyjść – rzekł i usunął się, robiąc mu przejście.

Spedding skinął, by się odsunął jeszcze dalej, po czym wolnym krokiem podszedł do drzwi. Przystanął przy nich na chwilę, jakby chciał coś powiedzieć, po czym błyskawicznie podniósł rewolwer i dwukrotnie strzelił.

Angel poczuł na twarzy chłodny powiew, gdy kule przeszywały powietrze. Skoczył w stronę Speddinga. W tej samej chwili Jimmy podniósł rękę z pistoletem.

Paf! Paf! Paf!

Trzy prędkie strzały, które padły z automatycznego rewolweru Jimmyego, nie były jednak dostatecznie szybkie. Ciężkie drzwi zatrzasnęły się z łoskotem przed nosem Angela, a zgrzyt zamka przekonał ich, że zostali uwięzieni. Detektyw jednym susem dopadł okna, lecz okazało się, że okiennice są zamknięte i zabite gwoździami. Nawet nie drgnęły.

Angel spojrzał na Jimmyego i wybuchnął śmiechem.

– Jesteśmy w pułapce! – wykrzyknął.

Jimmy klęczał obok dziewczyny. Nie zemdląła wprawdzie, ale niebezpieczeństwo i wszystkie emocje, które targały nią jeszcze przed chwilą, sprawiły, że raptownie ugięły się pod nią kolana. Jimmy delikatnie podtrzymał ją ramieniem. Poczła bijącą od niego siłę, a gdy dotknął jej, przebiegł ją dreszcz. Położyła znużoną głowę na ramieniu Jimmyego i poczuła się całkowicie bezpieczna.

Angel uważnie oglądał okna, gdy nagły odgłos strzału zwrócił jego uwagę.

– Co się stało? – spytała dziewczyna słabym głosem.

– Albo Spedding popełnił samobójstwo, co byłoby nam bardzo na rękę, choć nie śmiem się tego spodziewać – rzucił detektyw – albo niszczy motor naszego samochodu. Obawiam się, że właśnie to drugie. – Biegał po pokoju tam i z powrotem. Niespokojnie obejrzał mniejszy pokój. – Panno Kent – odezwał się poważnie – czy jest pani w stanie wszystko mi objaśnić?

Drgnęła, wysunęła się zarumieniona z ramion

Jimmyego i wstała trochę niepewnie.

– Tak – odparła z bladym uśmiechem. – Zdaje mi się, że czuję się dobrze.

– Co znajduje się na dole? – spytał, wskazując na podłogę.

– Stary warsztat – odrzekła zdziwiona.

– Co tam złożono? – Ton pytania był bardzo poważny.

– Stare sprzęty.

– Materace?

– Sądzę, że także materace. Ale i farby, i najrozmaitsze rzeczy. Czemu pan pyta?

– Jimmy – zignorował jej pytanie Angel – czy czuje pan tę woń?

Jimmy głęboko wciągnął powietrze.

– Tak! – zawołał. – Trzeba otworzyć okna!

Rozejrzeli się po pokoju. W jednym kącie Jimmy dostrzegł zardzewiałą szablę.

– Oto, czego nam potrzeba! – zakrzyknął Angel i zabrał się do odrywania mocnej okiennicy.

Jednak drzewo nie ustępowało, a kiedy szablą usiłowali je podważyć, klinga się złamała.

– W szafie jest stary topór! – krzyknęła dziewczyna, domyślając się niebezpieczeństwa.

Z okrzykiem radości Angel pochwycił topór i ponownie zabrał się do okiennicy. Z każdym uderzeniem odlatywały grube drzazgi, ale choć pracował szybko, coś innego było jeszcze szybsze. Angel nie pomylił się co do

woni benzyny, a teraz smuga dymu wdarła się przez szczelinę drzwi i zaczęła się wzbijać od podłogi ku sufitowi. Wyczerpany Angel zaprzestał wysiłków, lecz wówczas topór pochwycił Jimmy i uderzył nim z całej siły. Po jednym potężnym ciosie przez okiennicę przedostał się promień światła. W pokoju było już nieznośnie gorąco, a Angel, chwyciwszy ponownie topór, walił nim w dębową barierę oddzielającą ich od świata.

– Czy się wydostaniemy? – spytała spokojnie dziewczyna.

– Sądzę, że tak – odezwał się Jimmy.

– Nie będę żałować dzisiejszej nocy – wyszeptała.

– Ani ja – cicho rzekł Jimmy – bez względu na ostateczny wynik. Cudownie jest kochać raz w życiu, nawet tuż nad grobem.

Drżały jej usta, gdy usiłowała cokolwiek powiedzieć.

Angel z wytężeniem pracował przy oknie, zwrócony do nich plecami. Jimmy pochylił się i pocałował ją.

– Okiennica wypadła! – Detektyw zwrócił ku nim twarzą błyszczącą potem, ale i pełną triumfu. – Skaczemy! – rozkazał.

Przeszukując wcześniej mniejszy pokój, Angel znalazł powróż, którym teraz opasał dziewczynę.

– Gdy będzie pani na dole, proszę jak najszybciej uciec od tego dymu – pouczył ją, a minutę później zawisła w powietrzu otoczona siwą chmurą, która oślepiła ją i dusiła. Kiedy poczuła grunt pod stopami, przystanęła tylko, by odwiązać linę, po czym zaczęła biec przed

siebie, aż wyczerpana padła na zboczu porośniętym trawą.

Po kilku minutach znaleźli się przy niej obaj mężczyźni. Stali wszyscy troje w milczeniu, przyglądając się pożarowi, aż nagle Kathleen coś sobie przypomniała.

– Książka! – wykrzyknęła.

– Mam ją w kieszeni – powiedział spokojnie Angel.

Przychodzi czas na Connora

Scotland Yardzie wszyscy trzymają się zasady: „unikać widzów”. Przeciwnicy tego systemu policyjnego podają rozmaite i osobliwe powody tej wstydlivosti. Przede wszystkim niejasna jest dla nich skłonność policji do działania bez zwracania na siebie uwagi osób postronnych i wywoływania scen. Zarzuca się też istnienie przykrego systemu dokonywania aresztowań koło północy. Jeśli się wprost nie rozgłosi jakiegoś przypadku lub jeśli nie jest on dość ważny dla wieczornych gazet, to nagłe zniknięcie osoby nie wywołuje żadnych komentarzy. Wyjaśnienie, że ktoś oderwał się od zwykłych zajęć i wyjechał za granicę, bywa zazwyczaj przyjmowane bez zastrzeżeń.

Podczas rozmowy ze swym mądrym szefem Angel otrzymał kilka doskonałych wskazówek.

– Jeśli pan musi go uwięzić, proszę to zrobić po cichu. Jeśli, jak pan przypuszcza, zabarykaduje się w swoim domu lub schroni się w tych swoich suterrenach, proszę go pozostawić w spokoju. Nie chcemy wywoływać rozgłosu i nie chcemy dostarczać dziennikom sensacji. Jeśli pan potrafi doprowadzić do ładu sprawę Realea bez uwięzienia Speddinga, to wszelkimi siłami niech się pan stara to zrobić. Już my go dostaniemy w... hm... jak pan to zwykle mówi? Ach, tak... „w zwykłym trybie postępowania”.

– Zastosuję się do instrukcji – zapewnił Angel, nie mając nic przeciwko wykonaniu takiego planu.

– Jeśli znam ten typ ludzi – podjął znów komisarz, gładząc szpakowate wąsy – to on nie podejmie już żadnego działania. Będzie prowadził dawny tryb życia, jakby nic się nie stało. Zastanie go pan dziś w biurze, a gdyby zechciał go pan uwięzić, pewnie spróbuje pana zastrzelić. Jeśli pan chce posłuchać mojej rady, na razie proszę go bezwzględnie zostawić w spokoju. Już on nam nie ucieknie.

Angel podziękował szefowi i wyszedł. W ciągu całego przedpołudnia walczył z nieposkromioną chęcią odwiedzenia adwokata. Koło południa pragnienie to opętało go z taką siłą, że włożył na głowę kapelusz i ruszył w kierunku Lincoln Inn Fields.

– Tak, pan Spedding jest w biurze – potwierdził poważnie wyglądający sekretarz adwokata, a po krótkiej wymianie zdań ze swoim szefem dodał: – Pan Spedding prosi do siebie.

Adwokat siedział przy dużym biurku zarzuconym stosami akt. Przywitał Angela uśmiechem i wskazał mu miejsce po drugiej stronie biurka.

– Niemal całe przedpołudnie byłem w sądzie – odezwał się uprzejmie – ale teraz mam pół godzinki wolnego. Czym mogę służyć?

Angel spojrzał nań z niekłamanym podziwem.

– Wspaniały okaz z pana – oświadczył, potrząsając głową.

– Podziwia mnie pan – adwokat bawił się scyzorykiem – mniej więcej tak, jak zapalony przyrodnik podziwia rycinę przedstawiającą jadowitą zmiję.

– Bardzo zręcznie pan to określił – zgodnie z prawdą przyznał Angel.

Adwokat spuścił oczy na biurko, lecz po chwili podniósł je na gościa.

– I cóż mi pan proponuje? – spytał.

– Zawieszenie broni.

– Byłem przygotowany, że pan to powie – spokojnie zauważył Spedding – ponieważ pan wie prawdopodobnie...

– Tak – niedbałym tonem przyznał Angel. – Wiem, że pańska prawica, tak swobodnie spoczywająca na kolanie, trzyma teraz broń o niezwykłej celności.

– Doskonale się pan orientuje. – Adwokat zrobił lekki ukłon w jego stronę.

– Rozumie się, że mam pozwolenie uwięzienia pana – zaznaczył Angel.

– Rozumie się – uprzejmie przytaknął Spedding.

– Wystarałem się o nie na wszelki wypadek – ciągnął dalej detektyw najbardziej ugrzecznionym tonem.

– To oczywiste – stwierdził adwokat. – A teraz...

– Ach, teraz – rzekł Angel – chciałem pana tylko poinformować, że w imieniu panny Kent zamierzamy otworzyć sejf jutro.

– Będę tam – zapewnił adwokat i zadzwonił.

– I proszę nie wchodzić w drogę Jimmyemu – dodał

Angel ciszej.

Usta Speddinga drgnęły i była to jedyna oznaka zdenerwowania, którą wykazał podczas rozmowy. Nie odpowiedział jednak, a gdy jego sekretarz stanął w drzwiach, czekając na polecenia, z najprzyjemniejszym uśmiechem spytał jeszcze:

– Hm... jakże się panu dziś wracało do domu?

– Dziękuję, całkiem dobrze. – Zuchwałość adwokata nie wytrąciła Angela z równowagi.

– A to mieszkanie wiejskie okazało się... hm... wygodne?

– Najzupełniej. – Angel nie pozwolił się zaskoczyć. – Tylko ta instalacja zawiodła.

– Jaka instalacja? – adwokat chwycił rzuconą przynętę.

– No, to centralne ogrzewanie – odparł detektyw z ręką na klamce. – Przecież pan wie.

Zdążając ku wybrzeżu, Angel przez całą drogę śmiał się cicho do siebie. Złośliwy figiel, jaki spłatał Speddingowi, tak bardzo mu się podobał, że wstąpił do biura, by go opowiedzieć szefowi, którego uśmiech okazał się pochlebny.

– Zręczny z pana człowiek – pochwalił Angela – ale gdy nadejdzie chwila uwięzienia tego pana, myślę, że dla ostrożności nie zawadzi, aby wyzbył się pan wszelkiej lekkomyślności i przygotował się na niebezpieczeństwa.

– Jeśli w perspektywie, że zostanę zabity, nie dopatrzę się strony humorystycznej, będę uważał to za

kres mego życia – zakpił Angel.

– Niech pan już sobie idzie – z uśmiechem poradził komisarz.

Angel wyszedł. W ciągu popołudnia uświadomił sobie, że jest mocno zmęczony. Postanowił wrócić do domu i się przespać, zanim wyruszy na umówione spotkanie z Jimmym. Właśnie się na nie przebierał, gdy do jego pokoju wszedł Jimmy. Był bardzo blady i miał bandaż na głowie. Wniósł ze sobą przenikliwą woń jodoformu.

– Witam! – Angel nie krył zdumienia. – Co się, u licha, stało?

Nim odpowiedział, Jimmy rozejrzał się za najwygodniejszym krzesłem w pokoju.

– Ach – rzekł z westchnieniem ulgi, siadając – tak lepiej.

Angel wskazał opatrunek.

– Kiedy to się stało?

– Mniej więcej przed godziną. Spedding jest energiczny.

Angel gwizdnął.

– W jaki sposób...? – spytał.

– W artystyczny. – Jimmy pokiwał obwiązaną głową.
– Samochód z pełnym impetem wpadł na moją dorożkę. Znakomicie zrobione. Koń zabity, woźnica doznał wstrząsu mózgu, ale ja zrozumiałem, co się święci, i wyskoczyłem.

– Szofera ujęto? – zainteresował się Angel.

– Tak, w końcu działo się to w centrum miasta. Nie zna pan policji? Ujęli go w ciągu trzech sekund. Próbował uciekać, ale w śródmieściu to przecież szaleństwo.

– Szofer Speddinga?

Jimmy uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Rozumie się, że nie. W tym właśnie cały artyzm.

Angel przez minutę stał zamyślony.

– Sądzę, że czas się zabrać za naszego przyjaciela – rzekł.

– Za Speddinga?

– Tak.

– Nie zgadzam się z panem – odparł Jimmy. – Byłoby to oczywiście znacznie wygodniejsze dla pana i dla mnie, ale lepiej najpierw zakończyć sprawę Realea.

– Wielkie nieba! – mruknął Angel, przypominając sobie radę szefa. – Przypuszczam, że pan Spedding będzie dziś w nocy na mnie czatować.

– Za to dam głowę – zapewnił Jimmy.

Zaledwie to powiedział, gdy w progu zjawił się służący z listem. Po jego wyjściu Angel otworzył kopertę i zaczął czytać. W miarę czytania jego uśmiech stawał się coraz szerszy.

– Posłuchaj pan! – zawołał – To od panny Kent.

Jimmy cały zamienił się w słuch.

Szanowny Panie!

Spedding znów mnie zwabił w pułapkę. Gdy dziś

popołudniu wyszłam po zakupy, podeszli do mnie dwaj ludzie, prosząc, bym poszła z nimi. Powiedzieli, że są z policji i że zostałam wezwana do złożenia zeznania w związku z tą nocną aferą. Byłam tak przestraszona, że poszłam z nimi. Zawieźli mnie do dziwnego domu w Kensington...

Na Boga, proszę przyjść po mnie...

Twarz Jimmyego była tak blada, że Angel przestraszył się, iż ten zemdleje.

– Te psy! – krzyknął. – Angel, musimy...

– Na razie to pan musi usiąść. Inaczej pan zemdleje. – Jeszcze raz przebiegł wzrokiem list. – Bardzo zgrabnie zrobione – mruknął. – Nabazgrane ołówkiem na rozdartym rachunku z bławatnego sklepu. Mógłby być od niej.

– Złożył starannie list i zamknął w szufladzie swego biurka. – Na nieszczęście dla pana Speddinga czterech moich ludzi dniem i nocą strzeże domu, w którym mieszka panna Kent, a ponieważ kontaktuję się z nimi telefonicznie, przypadkiem wiem, że ta młoda dama przez cały dzień nie wychodziła z mieszkania. – Spojrzał na śmiertelnie bladego i drżącego Jimmyego. – Jimmy, głowa do góry! – odezwał się serdecznie. – To uderzenie w głowę bardziej pana wytrąciło z równowagi, niż pan przypuszcza.

– A ten list? – spytał Jimmy.

– Drobne oszustwo – skwitował lekko Angel. –

Prowokacja Speddinga, i to tak idiotyczna, że świadczy o całkowitym rozchwianiu nerwów tego pana. Mógłbym się założyć, że teraz mój dom jest pod obserwacją. – Angel wygrałby zakład. – Na pewno chce wiedzieć, jakie wrażenie wywarł ten list. Teraz pozostaje pytanie, jaki plan przygotowują dla mnie na dzisiejszy wieczór.

– Tego nie wiem – powiedział Jimmy i zamyślił się. – Zdaje mi się jednak, że rozsądniej byłoby, gdybym został dziś u pana w domu. Mógłby pan kazać wstawić jakieś łóżko do jadalni, a gdyby pojawiło się zagrożenie, działalibyśmy razem.

– I wzajemnie podtrzymywali swoją odwagę? – zakpił Angel. – Z całą przyjemnością każę panu przygotować łóżko, ale ja wychodzę, a pana zabieram ze sobą, jeśli się pan zgodzi. I spróbuję znaleźć kogoś, kto by tę rzucającą się w oczy opaskę na pana głowie zastąpił czymś mniej przerażającym.

Znaleźli taką osobę przy Devonshire Place, a był nią ich wspólny przyjaciel. Przedstawiał się jako specjalista od chorób, których nazw nie dało się wymówić, posiadał orderzy św. Michała i św. Jerzego, wykładał jako profesor na dwóch uniwersytetach i był autorem przeszło sześciu dzieł medycznych. Angel mówił do niego „Bill”.

Wielki chirurg zręcznie opatrzył obolałą głowę Jimmyego i, jako człowiek mądry, nie zadawał żadnych pytań. Znał ich obydwu, z jednym kolegował się nawet w Oksfordzie, toteż pozwolił sobie na cyniczne uwagi o ich trybie życia i przypuszczalnym rodzaju grożącej im

śmierci.

– Gdybyś nie paplał tak dużo – zauważył Angel – dawałbym ci stałe zajęcie. Ale przez ten twój język wątpię, czy jeszcze kiedykolwiek przyprowadzę do ciebie pacjenta.

– Będę ci bardzo zobowiązany – kpiarsko odparł sir William Farrat, odcinając zwisające końce opatrunku. – Takich pacjentów jak ty, Angel, najchętniej widuję raz do roku. Powiedzmy, koło Bożego Narodzenia, kiedy jestem przesycony miłością do bliźniego i potrzeba mi silnego antidotum moralnego, by kolorowe wizje świata sprowadzić do zwykłej szarzyzny. O tej porze chętnie cię zobaczę, przyjacielu.

– Co za sentencja! – wykrzyknął Angel zachwycony. – Chętnie bym ją zobaczył wydrukowaną w książce, obok ilustracji.

Chirurg uśmiechnął się rozbawiony. Kończył zakładać opatrunek.

– Gotowe – oznajmił.

– Dzięki, Bill – rzekł Jimmy. – Chyba ostatnio przytyłeś.

– Och, to nic wielkiego – lekceważąco odparł chirurg. Angel przybrał poważniejszy ton, gdy żegnając się z lekarzem, zapytał półgłosem:

– Gdzie spędzasz dzisiejszy wieczór?

Lekarz przebiegł wzrokiem notatnik.

– O ósmej jestem w Ritzu na obiedzie z kilkorgiem znajomych. Później idziemy do Gaisty, a koło północy

wracam do domu. A co?

– Widzisz, chodzi o takiego pana – zwierzył mu się Angel – który dziś wieczorem podejmie dzielną próbę uśmiercenia jednego z nas, a może nawet obu. To oczywiście może mu się nie udać, dlatego dobrze by było wiedzieć, gdzie będziesz, na wypadek, gdybyś był potrzebny. Pamiętaj – dodał, chichocząc cicho – że możesz też być potrzebny temu panu.

– Zbikowałeś – westchnął lekarz – a Jimmy jeszcze bardziej. No, a teraz wynoście się stąd, i to już.

Po wyjściu dwaj niewdzięczni mężczyźni dyskutowali na temat otyłości, zjawiska towarzyszącego życiowemu powodzeniu. Szli powoli w kierunku Piccadilly Circus. Bez widocznego powodu skręcali w boczne ulice, niespodzianie okrążali przyległe place, niepotrzebnie skracali drogę, przecinając główne przejścia, a ostatecznie stanąwszy u wylotu Oxford Street i Charing Cross Road, skinęli na dorożkę. Angel rzucił polecenie przez lufcik w budzie i szybko ruszyli w kierunku wschodnim.

– Miałbym ochotę tym dwóm panom, którzy za nami jadą, urządzić wyścigi – rzekł.

Podniósł firaneczkę w tylnej ścianie powozu, rzucił okiem przez szybkę i jęknął. Następnie krzyknął do woźnicy, zmieniając plany:

– Jedziemy do Troc! – A zwracając się do Jimmyego, dodał: – Jeśli już musimy umrzeć, przynajmniej smacznie sobie podjedzmy przed śmiercią.

W przepelnionej sali rześście oświetlonej restauracji znaleźli stół z widokiem na cały lokal. Zajęli miejsca, a gdy Jimmy zamawiał obiad, Angel bacznie obserwował falę napływających gości. Zobaczył zgrabnego mężczyznę niskiego wzrostu, o oliwkowej cerze i czarnych jak węgiel oczach, brwiach i rzęsach. Wchodził właśnie przez szklane drzwi. Przystanął i roziskrzonym wzrokiem ślizgał się kolejno po twarzach obecnych. Angel skinął na niego. Nieznajomy wahał się przez sekundę, po czym zbliżył się powoli.

Jimmy podsunął mu krzesło, a on znów się zawahał, niezdecydowany, następnie usiadł powoli, podejrzliwie patrząc to na jednego, to na drugiego.

– Monsieur Callvet, *nest ce pas?* – spytał Angel.

– Tak mam na nazwisko – odparł zapytany po francusku.

– Pozwoli pan, że się przedstawię.

– Znam pana – obruszył się mężczyzna – jest pan tajnym agentem.

– Na szczęście – zakpił Angel, nie zważając na akcent goryczy w tonie Francuza.

– Ma mi pan coś do powiedzenia?

– Właśnie. Przede wszystkim chcę pana zapytać, z jakiego powodu od godziny nas pan goni?

Tamten wzruszył ramionami.

– Pan się myli.

Jimmy, który przez cały czas zachowywał się niezwykle spokojnie, teraz niespodziewanie zapytał:

– Callvet, czy pan wie, kim ja jestem?

– Tak, pan także jest detektywem.

Jimmy spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie jestem detektywem, jak panu dobrze wiadomo. Jestem – poczuł dziwny wstręt przed wypowiedzeniem dalszych słów – jestem Jimmy z Kairu. Zna mnie pan?

– Słyszałem o panu – z zaciekłością odparł Francuz.

– Kim pan jest... teraz... tego nie wiem – pogardliwie kontynuował Jimmy. – Znałem pana w najrozmaitszych rolach: jako ozdobę Partii Młodoegipskiej, jako naganiacza Realea, jako pośrednika we wszelkich podłościach.

Rozmawiali w potocznej francuszczyźnie, a Jimmy użył zwrotu, który najgorszy łotr uważałby za policzek. Callvet jednak wzruszył tylko ramionami i wstał, zabierając się do odejścia. Jimmy chwycił go za rękę i zatrzymał.

– Callvet – syknął – niech pan wraca do Speddinga, swego mocodawcy, i niech pan mu powie, że to zbyt niebezpieczna sprawa. Niech pan mu też powie, że przynajmniej jeden z nas wie o panu dość dużo, by pana wyprawić do Nowej Kaledonii albo...

– Albo...? – wyzywająco podjął tamten.

– Albo – dokończył Jimmy, cedząc słowa – zawiadomię francuskiego ambasadora, że monsieur Plessey właśnie bawi w Londynie.

Twarz Francuza okryła się chorobliwą bladością.

– *Monsieur, je nen vois pa la necessite* –

wymamrotał.

– A kto to jest Plessey? – spytał Angel po odejściu Francuza.

– Morderca poszukiwany przez francuską policję – wyjaśnił Jimmy. – Spedding wybrał sobie dobre narzędzie. Powiadam panu, że niejedno się jeszcze stanie w ciągu dzisiejszego wieczoru.

W milczeniu zjedli obiad i długo siedzieli przy kawie. Francuz usiadł przy stole po drugiej stronie sali. Kiedy Angel na chwilę opuścił salę i on zaczął się zbierać do wyjścia, widząc jednak, że Jimmy nie ruszył się z miejsca, zmienił zamiar. Angel marudził przy deserze. Jimmy, który pragnął wyjść jak najszybciej, westchnął głęboko, gdy jego kapryśny towarzysz zamówił jeszcze jeden likier.

– Wstrętnie zdrażliwy trunek – mruknął.

– Określenie niezbyt wytworne, ale trafne – przyznał Angel.

Widocznie bawiły go wysiłki szpiega, również pragnącego jakoś zabić czas. Nagle wstał, zostawił napój nietknięty i sięgnął po kapelusz.

– Chodźmy! – zawołał ochoczo.

– Co tak nagle? – zapytał zniecierpliwiony Jimmy.

Podeszli do kasy i wyrównali rachunek. Angel spojrział z ukosa, czy Francuz idzie za nimi. Szli przyśpieszonym krokiem przez Shaftesbury Avenue. W pewnej chwili Jimmy przystanął, szukając czegoś w kieszeni. Podczas tego szukaniu rzucił okiem za siebie.

Zręczny Francuz zmierzał ku nim, a tuż za nim wynurzyli się dwaj ludzie w płaszczach. Jimmy zauważył, że tamci dwaj przyśpieszyli kroku. Gdy doszli do Callveta, jeden ujął go serdecznie pod jedno ramię, drugi pod drugie, i tak we trzech skręcili w Rupert Street, a Angel i Jimmy – za nimi. Jimmy ujrzał, jak tamci trzej zbili się w jedną grupkę, i usłyszał brzęk kajdanków. Angel gwizdnął na przejeżdżającą dorożkę. Więzień zaczął krzyczeć.

– Wepchnąć mu chustkę do gęby – polecił Angel, a jeden z mężczyzn spełnił rozkaz. Wraz z Jimmym odprowadzał wzrokiem dorożkę, dopóki nie zniknęła za rogiem ulicy. Nie ma sensu narażać się na niebezpieczeństwo bez potrzeby – rzekł wesoło. – Co innego być głupcem, a co innego być skończonym głupcem. A teraz chodźmy zobaczyć, co się jeszcze wydarzy.

Szli więc dalej, a detektyw wyjaśniał:

– Poszukuję Callveta od dawna. Figuruje on, że tak powiem, na mojej liście. Przed rokiem straciłem go z oczu. Skąd Spedding go wziął, to dla mnie zagadka. Prawdę mówiąc, utrzymuje on bliskie stosunki z połową londyńskich zbrodniarzy... Miał wielką praktykę kryminalną, zanim przerzucił się na bardziej zyskowne zajęcia.

Na rogu Haymarket zebrał się wielki tłum, oni jednak okrążyli go w pewnej odległości.

– Ciekawość – paplał Angel – zgubiła już niejedną biedną duszę. Jimmy, niech pan unika tłumu...

W końcu doszli do mieszkania detektywa przy Jermyn Street.

– Spedding podwoi i potroi swe wysiłki, by nas ująć dzisiejszej nocy – odezwał się Jimmy.

– Z pewnością – przyznał Angel, otwierając bramę domu, w którym mieszkał.

Wąski korytarz, gdzie zwykle dniem i nocą paliła się lampa, pogrążony był w mroku.

– Och, nie! – wycedził Angel i cofnął się z powrotem na ulicę. – Nie, absolutnie!

Już wcześniej Jimmy podejrzewał, że ktoś za nimi idzie. Podejrzewanie to potwierdziło się, gdy na gwizdnięcie Angela dwóch ludzi przebiegło przez ulicę i przyskoczyło do nich.

– Johnson, niech mi pan pożyczy swoją lampkę – poprosił Angel i niosąc w ręce jasno świecącą latarkę, wszedł do korytarza, a za nim pozostali.

Doszli do klatki schodowej. Angel bez słowa wyciągnął rękę za siebie i jeden z mężczyzn wsunął do niej laskę. Grupka ostrożnie wchodziła na schody wiodące do mieszkania Angela.

– Ktoś tu był. – Detektyw wskazał plamę błota na dywanie.

Drzwi były uchylone. Jimmy kopnięciem otworzył je na oścież. Wtedy Angel ostrożnie wsunął ramię i znalazłszy włącznik, zapalił światło. Reszta w tym czasie czekała, co się wydarzy. Nic. Weszli do pokoju. Nie trzeba było wielkiej bystrości, aby poznać, że ktoś w nim

myszkował. Na wpół otwarte szuflady, których zawartość leżała rozrzucona na podłodze, oraz inne oznaki świadczyły wymownie o tym, że ktoś w wyjątkowym pośpiechu przeszukał mieszkanie. Z małej jadalni przeszli do sypialni, gdzie nieproszeni goście również pozostawili ślady swojej obecności.

– Hej! – Jimmy schylił się i podniósł miękki filcowy kapelusz. Zajrzał do środka. Na zniszczonej podszewce widniała nazwa egipskiego kapelusznika. – Kapelusz Connora!

– Ach! – cicho wykrzyknął Angel. – Więc Connor się wmieszał. Czyżby?

Jeden z detektywów, który z nimi wszedł, chwycił Angela za ramię.

– Niech pan spojrzy! – szepnął.

W cieniu przycupnął jakiś mężczyzna, na pół zasłonięty ciężkimi kotarami.

– Wyjść! – krzyknął Angel. Coś w postawie tego człowieka kazało mu jednak zamilknąć. Szybko postąpił naprzód i rozsunał portiery. – Connor!

Istotnie był to Connor, martwy, z dziurą od kuli pośrodku czoła.

Otwarcie schowka

W milczeniu stali wszyscy czterej obok zwłok. Jimmy pochylił się i dotknął ręki Connora.

– Martwy! – orzekł.

Angel nie odpowiedział, zapalił natomiast w pokoju wszystkie światła. Następnie szybko przeszukał kieszenie nieżyjącego. Ich zawartość wręczył jednemu z detektywów, który położył przedmioty na stole.

– Dłutko, klin, świder, kieszonkowa lampka, rewolwer – wyliczał Angel. – Nietrudno odgadnąć, z jakim zamiarem Connor tu przyszedł... Ale kto go zastrzelił?

Bardzo dokładnie zbadał cały pokój. Okna były zamknięte i nienaruszone, nigdzie śladu walki. W jadalni widniały odciski zabłoconego obuwia, które mógł zostawić Connor albo jego morderca. Na środku pokoju stał nieduży stół. Podczas swej nieobecności Angel zwykł zamykać obydwa pokoje przed służbą, która mogła je sprzątać tylko pod jego nadzorem. Wskutek tego politurowana powierzchnia stolika pokryta była cieniutką warstwą kurzu. Z wyjątkiem jednego miejsca, gdzie wyglądało na to, że ktoś coś postawił. Owalny kształt o przekroju równym mniej więcej ośmiu calom. Angel przyglądał się tej błyszczącej plamie z uwagą, po czym wysunął stolik tak, że padało na niego pełne światło. Mały krąg, z którego zniknął pył, interesował go bardziej niż

wszystko inne w pokoju.

– Proszę uważać, by tego nie dotknięto – nakazał jednemu z detektywów, a do drugiego rzekł: – Niech pan szybko biegnie na Vine Street i zamelduje... Nie, proszę zaczekać, pójdę sam.

Gdy obaj z Jimmym szybko zdążali na posterunek policji, Angel zwięźle wyraził swoje wnioski:

– Connor wtargnął na własną rękę, został zaskoczony przez kogoś trzeciego, kto wziął go za mnie i zastrzelił.

– I ja tak sądzę – potwierdził Jimmy. – Ale w jakim celu przyszedł Connor?

– Na odwiedzinie Connora byłem przygotowany. Nie należał do tych, którzy pozwolą się zastraszyć groźbami uwięzienia. Wbił sobie do głowy, że przejrzałem tajemnicę schowka i postanowił ją ze mnie wyciągnąć...

W biurze przywitał ich dyżurujący inspektor.

– Mamy tu jednego z pańskich ptaszków – powiedział żartobliwie do Angela, mając na myśli Francuza, zauważył jednak poważne miny obydwu i spytał: – Czy stało się coś złego?

Angel w skrócie opowiedział, co zaszło przy Jermyn Street. Przekazał też szczegóły dotyczące śladów pozostawionych na stole. Wyszli z biura w chwili, gdy inspektor wzywał policyjnego lekarza.

– Chciałbym wiedzieć, gdzie przyłapiemy Speddinga – westchnął Angel.

– Chciałbym wiedzieć, gdzie Spedding nas przyłapie – złowrogo sprostował Jimmy.

Angel spojrział na niego zaskoczony.

– Tracimy zimną krew? – spytał szorstko.

– Nie – odrzekł powoli jego doskonale panujący nad sobą towarzysz. – Teraz życie wydaje mi się cenniejsze niż na przykład przed tygodniem.

– Austriackie gadanie! – zawołał Angel. – Jest pan zakochany.

– Może i jestem – przyznał Jimmy tonem takiego zdumienia, jak gdyby ta myśl nasunęła mu się dopiero teraz.

Angel spojrział na zegarek.

– Dziesiąta – zakomunikował – o tej porze dobrzy ludzie kładą się spać. Ale ponieważ ja mam naturę skłoną do występku, a poza tym chętnie przepłukałbym sobie usta po ostatnim odkryciu, proponuję byśmy spokojnie ruszyli gdzieś, gdzie można się trochę rozerwać.

– Angel! – cicho wykrzyknął Jimmy. – Nie mogę się wyzbyć wrażenia, że rozkoszuje się pan własnymi słowami.

– To prawda – szczerze przyznał Angel.

* * *

Siedzieli przy stole w małym podziemnym barze przy Leicester Square, słuchając kameralnej orkiestry smyczkowej znęcającej się nad uwerturą do *Lohengrina*. Przepelniona sala odpowiadała ich nastrojowi. Pograżony

w zadumie Jimmy odczuwał zgiełk, wielojęzyczną wrzawę głosów i jęki marnej orkiestry jako coś uspokajającego po wstrząsających przeżyciach ostatnich godzin. Dla Angela żywioł ludzki i ruchliwy tłum oznaczał odprężenie. Głośno rozmawiający mężczyźni z efektownymi sygnetami, umalowane kobiety z przyklejonymi do twarzy uśmiechami, tu i ówdzie znajoma twarz o ostrych rysach, wszystko to było częścią jego życia – życia, jak je widział Angel. Powoli sączyli swoje wino, aż do chwili, gdy wszedł pewien mężczyzna. Obojętnie rozejrzał się po lokalu, niepostrzeżenie dał znak Angelowi, po czym, jakby się upewnił, że nie ma tego, kogo szukał, wyszedł. Angel i jego towarzysz ruszyli za nim.

– I co? – spytał Angel.

– Dziś w nocy Spedding pójdzie do sejfu – powiedział nieznajomy.

– Dobrze – mruknął Angel.

– Na rozkaz Speddinga straż została usunięta.

– Wiem o tym – odparł Angel. – Została usunięta tamtej nocy, kiedy przyszła Szajka Miejska. W którym imieniu działa Spedding?

– W imieniu Connora, który, jeśli dobrze zrozumiałem, jest jednym ze spadkobierców.

Angel gwizdnął z cicha.

– Ha, Jimmy! Więc taki będzie wielki finał!

Przez chwilę wydawał się pogrążony w głębokim zamyśleniu.

– Konieczna będzie obecność panny Kent – odezwał się w końcu.

Z pobliskiej siedziby posłańców zatelefonował do garażu, a pół godziny później dzwonił już obaj do skromnego mieszkania Kathleen Kent. Dziewczyna nie kryła radości, że ich widzi. Wszelki ślad nocnego zmęczenia zniknął z jej twarzy.

– Tak – potwierdziła – spałam niemal cały dzień.

Angel zauważył, że świadomie unikała spojrzenia Jimmyego. Młodzieniec zaś z wyjątkowym zainteresowaniem przyglądał się dużemu krajobrazowi morskemu umieszczonemu nad kominkiem.

– Ostatni raz trudzimy panią o tak późnej porze – oświadczył Angel. – Ale obawiam się, że dziś musi nam pani towarzyszyć.

– Uczynię wszystko, czego pan żąda – odparła prosto. – Obaj panowie okazali mi niezmiernie dużo dobroci. – Rzuciła szybkie spojrzenie na Jimmyego i teraz dopiero zauważyła na jego głowie bandaż. – Pan... pan jest ranny? – wykrzyknęła przerażona i zamilkła.

– Wcale nie – zapewnił głośno. – Nic mi nie jest, naprawdę. – Był niezwykle wzburzony i żałował, że w ogóle tu przyszedł.

– Potknął się na dywanie i uderzył głową o marmurowy gzyms – wprawnie skłamał Angel. – Ten marmurowy gzyms był od stuleci w posiadaniu mej rodziny i oto został poważnie uszkodzony. Obawiam się, że nie da się go już naprawić.

Jimmy się uśmiechnął, a uśmiech jego podzielał zaraźliwie.

– Obrzydliwe oszczerstwo – zawołał, odzyskując równowagę. – W rzeczywistości...

– W rzeczywistości – przerwał mu Angel z naciskiem – Jimmy spacerował w lunatycznym śnie.

– Panie Angel, proszę nie żartować – rzekła błagalnie dziewczyna, poważnie teraz zaniepokojona, gdyż wyobraziła sobie przypuszczalne rozmiary ran i dostrzegła czarne cienie pod oczami Jimmyego. – To sprawka Speddinga?

– Tak – szybko potwierdził Angel. – Mała nieudana próba.

Jimmy zauważył żywe współczucie w oczach dziewczyny i po męsku doznał z tego powodu szczerzej przyjemności.

– Nie ma doprawdy, o czym mówić – zaręczył pośpiesznie. – Sądzę, że nie powinniśmy tracić ani sekundy.

– Nie będę panów wstrzymywać, skoro zależy nam na pośpiechu. – Kathleen i wyszła z pokoju, by się przebrać do wyjścia.

– Jimmy – odezwał się Angel po jej wyjściu – daj mi srebrnika, mój drogi, a przepowiem ci przyszłość.

– Nie żartuj, proszę – odciął się Jimmy.

– Widzę wesołą przyszłość, piękną panią o dużych szarych oczach, która...

– Na Boga, przestań paplać – prychnął Jimmy, mocno

zaczerwieniony. – Wraca.

Gdy dzwony miejskie obwieszczały w pół do dwunastej, stanęli przed gmachem, gdzie mieścił się schowek.

– Wejdziemy? – spytał Jimmy.

– Raczej nie – mruknął Angel. – Gdyby Spedding dowiedział się, że mamy klucz, mogłoby to całkiem pomieszać nam szyki.

Samochód przejechał powoli wąską Lombard Street, budząc zainteresowanie pół tuzina policjantów ubranych po cywilnemu i pełniących tam służbę. Czekano jeszcze trzy kwadransy, po tym jak zegary na wieżach wybiły już północ, gdy wreszcie od strony zachodniej nadjechał duży samochód i skręcił w ulicę. Przystanął przed gmachem sejfu, po czym wyskoczył z niego człowiek w cylindrze. W tej samej chwili podjechało auto Angela i wysiedli z niego wszyscy troje.

Spedding w uroczystym stroju, smokingu i cylindrze, stał jedną nogą na schodku przed bramą, z ręką na kluczu, który wsunął do zamka. Nie okazał zdziwienia na widok Angela i lekko się skłonił dziewczynie. Następnie otworzył drzwi i wszedł do środka, a Angel ze swoim towarzystwem tuż za nim. Spedding zapalił światła w korytarzu, otworzył wewnętrzne drzwi i wszedł do ciemnego hallu. Znów trzask włączników i w olbrzymim hallu rozbłysły światła.

Dziewczynę przebiegł lekki dreszcz, gdy podniosła wzrok na ponury i wyniosły sejf, pomnik ruiny,

ucieleśnienie żalów tysiąca nieżyjących graczy. Samotny, odosobniony i niesamowity górował nad wszystkim, odcinając się od otoczenia – blok granitu w szlachetnej, złotej oprawie. Stary Reale potrafił perfekcyjnie uwydatniać kontrast i trafnie przewidział, że nagi realizm obrzydliwego postumentu zostanie doskonale pogłębiony przez wspaniałe tło hallu.

Spedding zamknął drzwi i z triumfującym uśmiechem przyglądał się obecnym.

– Obawiam się – rzekł najuprzejmiejszym tonem – że państwo się spóźnili.

– I ja się tego obawiam – przytaknął Angel, a adwokat spojrział na niego podejrzliwie.

– Napisałem do pana – powiedział. – Wszak otrzymał pan mój list?

– Całe popołudnie spędziłem poza domem – odparł Angel i usłyszał stłumione westchnienie ulgi wydobywające się z piersi adwokata.

– Bardzo mi przykro – podjął Spedding – że muszę państwa rozczarować, ale jak państwu wiadomo, szczęśliwy odkrywca hasła musi zgodnie z postanowieniem testamentu zawiadomić mnie i udowodnić swoje prawo do zastosowania owego hasła dla otwarcia zamka.

– Tak jest istotnie – zgodził się Angel.

– Otrzymałem takie zawiadomienie od jednego ze spadkobierców, od pana Connora – mówił adwokat, wyciągając z kieszeni jakiś papier. – Oto jego pisemne

upoważnienie, bym w jego imieniu otworzył sejf.

Wręczył papier Angelowi, który przeczytał go i zwrócił.

– Podpisane dziś – krótko stwierdził Angel.

– O drugiej po południu – potwierdził adwokat. – A teraz chciałbym...

– Zanim pan powie, o co chodzi – przerwał Angel – muszę panu przypomnieć, że jesteśmy w towarzystwie damy, a pan ciągle jeszcze przebywa tu w kapeluszu. – Detektyw wyciągnął rękę, a adwokat, bez zastanowienia, podał mu nakrycie głowy.

Angel spojrział na denko. Jedwabiste włoski były zmierzwione i pokryte lekką warstwą kurzu.

– Jeśli chce pan mnie obsługiwać – zażartował adwokat – nie mam nic przeciwko temu.

Angel nie odpowiedział, lecz ostrożnie położył kapelusz na mozaikowej podłodze hallu.

– Jeśli przed otwarciem sejfu ktoś z państwa życzy sobie zadać jakieś pytanie – pouczył adwokat – lub też wygłosić jakieś uprawnione zastrzeżenie, wezmę to pod uwagę.

– Ja nie mam nic do powiedzenia – oznajmił Angel.

– A pan? – Adwokat zwrócił się do Jimmyego.

– Nic – brzmiała lakoniczna odpowiedź.

– Może panna Kent?

Kathleen spojrzała mu prosto w oczy i odrzekła chłodno:

– Przyłączam się do tego, co powiedzieli moi

przyjaciele.

– Wobec tego pozostaje mi jedynie spełnić polecenie pana Connora – oświadczył po króciutkiej pauzie adwokat.

Podszedł do żelaznych schodów i zaczął po nich wstępować. W połowie wysokości przystanął, by odetchnąć. Stał na małym zakręcie, tuż naprzeciw wypolerowanego granitowego bloku, wskazującego, gdzie spoczywają prochy starego Realea. Napis brzmiał: *Pulvis Cinis et Nihil*.

– Proch, popiół i nic – mruknął adwokat. – Stosowne ostrzeżenie dla ludzi goniących za marą próżności.

Ścigali go spojrzeniami, gdy piął się w górę, aż dotarł do szerokiej platformy naprzeciw drzwi sejfu. Następnie widzieli, jak wyjął z kieszeni papier i coś z niego odczytywał. Uważnie patrzył na kartkę, następnie ostrożnie przekręcał tarczę, aż potrzebne litery, jedna za drugą, stanęły naprzeciw wskazówki. Wtedy przekręcił ciężką rączkę sejfu. Przekręcił ją i szarpnął, ale stalowe drzwi ani drgnęły. Widzieli, jak się pochylił, ponownie zbadał tarczę i znów pochwycił rączkę – z tym samym wynikiem. Kilkakrotnie powtarzał tę samą czynność i za każdym razem nieruchome drzwi opierały się próbom otwarcia. Tupiąc głośno, zszedł po schodach, i niemal się zataczając, podszedł do grupki w hallu. Jego oczy świeciły upiornie, twarz była śmiertelnie blada, a na czoło wystąpiły grube krople potu.

– Słowo! – wykrztusił. – To słowo jest fałszywe!

Angel milczał.

– Kilka razy próbowałem! – krzyczał adwokat, niemal nieprzytomny – i nie udało się!

– Może ja bym spróbował? – spytał Angel.

– Nie, nie – syknął Spedding. – Na Boga, nie! Spróbuję jeszcze raz. Któraś z liter jest nieodpowiednia, niektóre symbole mają podwójne znaczenie.

Odwrócił się i ponownie zaczął wchodzić na schody.

– Ten człowiek cierpi – zauważył cicho Jimmy.

– Niech cierpi – powiedział Angel z zimnym błyskiem w oczach. – Niech cierpi, zanim odpokutuje swoje łotrostwa. Spójrz, znów jest na górze. Jimmy, niech pan wypuści ludzi, bo teraz znajdzie właściwe słowo. I, proszę, niech pan wyprowadzi pannę Kent, jak tylko zacznie się awantura.

Dziewczyna ujrzała nagle, jak twarz Angela zmienia się w zimną maskę. Zrzucił z siebie palto, usłyszała skrzypienie butów w korytarzu. Zniknął uprzejmy, trochę zuchwały światowiec, a w jego miejsce ukazał się bezlitosny urzędnik policji, nieodgadniony jak los. Zobaczyła całkiem nowego Angela i przysunęła się do Jimmyego. Okrzyk triumfu wydany przez mężczyznę przy sejfie skłonił ją do podniesienia wzroku. Z gwałtownie bijącym sercem ujrzała otwierające się z wolna ciężkie stalowe drzwi.

Nagle człowiek przy sejfie wydał okrzyk przypominający ryk wściekłości dzikiego zwierza.

– Pusty! – wrzasnął.

Stał zszokowany i oniemiały, następnie wbiegł do wielkiego stalowego skarbca i usłyszeli głucho echo jego głosu. Znow ukazał się na platformie, tym razem z białą kopertą w ręce. Na ośle zbiegał ze schodów, a oni słyszeli jego ciężki, sapiący oddech.

– Pusty! – jego skrzekliwy głos przeszedł w przenikliwy wrzask. – Nic, prócz tego! – Wyciągnął rękę z kopertą, po czym ją rozerwał. Było w niej tylko kilka słów:

*Zawartość sejfu podjęliśmy w imieniu
panny Kathleen Kent.*

*podpisano: James Cavendish Stannard,
baronet Christopher Angel*

Oszołomiony i przerażony adwokat odczytał dokument, a potem spojrział kolejno na jednego i na drugiego.

– Zatem pan! – zawołał.

Angel skinął potakująco.

– Pan! – powtórzył Spedding.

– Tak.

– Ograbił pan sejf! Pan, urzędnik policji!

– Tak. – Angel nie odrywał od niego oczu. Skinął na Jimmyego, a ten, szepnąwszy parę słów dziewczynie, odprowadził ją do drzwi. Gdy wrócił do Angela, weszło sześciu ubranych po cywilnemu policjantów.

– I sądzi pan, że mnie ma? – Spedding ciężko dyszał.

– Nie sędzę – zaznaczył Angel – lecz wiem.

– Skoro pan wie tak wiele, to może wie pan też, że bliski jest śmierci?

– To również wiem – spokojnie oświadczył Angel. – Jestem świadom grożącego mi niebezpieczeństwa, odkąd obejrzałem pański kapelusz.

Adwokat nie odpowiedział.

– To znaczy – spokojnie mówił dalej Angel – odkąd widziałem kapelusz, który pan położył na zakurzonej stole w moim mieszkaniu, kiedy zamordował pan Connora.

– Och, więc znalazł go pan, byłem tego ciekaw – powiedział Spedding beznamiętnie. W tej samej chwili usłyszał cichy metaliczny dźwięk i odskoczył, wsunąwszy rękę do kieszeni.

Pistolet Jimmyego nie pozwolił mu na dalszy ruch. Przez chwilę Spedding stał niezdecydowany, aż sześciu ludzi rzuciło się na niego i stawiającego opór, powaliło na ziemię. W kajdankach na rękach adwokat dźwignął się z dawną swoją miną – wzgardliwie obojętną, choć w pełni uświadamiał sobie poniesioną klęskę. Znów był dawnym, uprzejmym, gładkim urzędnikiem. Zaśmiał się nawet, spojrzawszy na Angela.

– Dobre zakończenie – przyznał. – Jest pan jednak znacznie zręczniejszy, niż przypuszczałem. Jak brzmi oskarżenie?

– Morderstwo – odrzekł Angel.

– Będzie panu trudno tego dowieść – odpowiedział

chłodno. – A ponieważ jest w zwyczaju, że w tym stadium postępowania oskarżony zwykł składać zeznanie, twierdząc formalnie, że od dwóch dni nie widziałem Connora.

Otoczony strażą, wyszedł z hallu. W westybulu minął Kathleen, która mimowolnie się cofnęła. Zdawało się go to bawić. Nucąc jakąś melodię, wszedł do auta, którym przybył, a za nim policjanci. Wychylił się, by powiedzieć jeszcze kilka słów Angelowi.

– Moja wesołość wydaje się panu czymś niestosownym – zauważył. – Ale czuję się jak człowiek, który znudzony idiotyczną gonitwą, ma teraz pewność, że czeka go zdrowy sen przynoszący zapomnienie. – A kiedy samochód ruszał z miejsca, dodał jeszcze: – Rozumie się, że uśmierciłem Connora. To było nieuniknione. – Po czym samochód odjechał.

Angel zamknął drzwi depozytu i wręczył klucz pannie Kathleen.

– Poproszę Jimmyego, by odprowadził panią do domu – powiedział.

– Co pan o nim sądzi? – spytał Jimmy.

– O Speddingu? Och, zachował się tak, jak się tego po nim spodziewałem. Jest ucieleśnieniem zbrodniarza najgorszego typu, jaki istnieje. Takich ludzi nie da się ani potępić, ani wytłumaczyć. Tworzą odrębną, specyficzną klasę, którą można nazwać „perwersyjne przejawy natury”. Spedding posiada rys wyjątkowo zabawny.

Odprowadził tych dwoje do auta, a potem powoli poszedł do biura miejskiej policji. Inspektor pełniący

służbę, ujrawszy go, skinął mu głową.

– Umieściliśmy go w specjalnej celi – poinformował go.

– Czy poddano go dokładnej rewizji?

– Tak, proszę pana. Zwykle narzędzia i nabity pięciostrzałowy rewolwer.

– Proszę pokazać – poprosił Angel.

Zbliżył rewolwer do światła gazowego. Jeden otwór w bębunku nie zawierał kuli, a lufa była brudna od prochu.

– To, nawet bez przyznania się, zaprowadzi go na szubienicę.

– Prosił o papier i ołówek – dodał inspektor – ale chyba nie spodziewa się wypuszczenia za poręczeniem?

Angel zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, przypuszczam jednak, że chce napisać do mnie list.

Nagle drzwi gwałtownie się otworzyły i wbiegł dozorca więzienny z gołą głową.

– Coś się musiało stać pod czwórką! – zawołał.

Angel podążył za inspektorem, który tymczasem pobiegł wąskim korytarzem, na który wychodził szereg żelaznych drzwi po obu stronach. Inspektor zajrzał przez lufcik.

– Otworzyć drzwi! – rozkazał.

Zgrzytnęły i zadźwięczały rygle. Spedding leżał na plecach ze słabym uśmiechem na ustach, oczy miał zamknięte. Angel, przyłożywszy rękę do piersi leżącego,

nie wyczuł bicia serca.

– Niech pan biegnie po lekarza – rzucił inspektor.

– Na nic się to nie zda – odparł spokojnie Angel. –
Nie żyje.

Na twardym łóżku leżał kawałek papieru, zaadresowany energicznym pismem adwokata do Angela. Detektyw wziął go i przeczytał:

*Nieźródlny Panie Angel,
oto nadeszła chwila, kiedy sam muszę rozwiązać
zawiłą kwestię nieśmiertelności. Pragnę Panu powiedzieć,
że nie żywię urazy do Pana ani pańskiego towarzysza, ani
do czarującej panny Kent. Oczywiście zabiłbym was
wszystkich razem lub każde z osobna, ale, niestety, moim
zamiarom nie sprzyjały warunki. Od dłuższego już czasu
przewidywałem możliwe następstwa mojego postępowania
i przy każdym surducie miałem guzik, który, choć podobny
do innych, był w rzeczywistości zręcznie uformowaną
pastylką cyjanku. Żegnam Pana.*

Angel spojrzał na martwe ciało u jego stóp. Pierwszy guzik po prawej stronie surduta był oderwany.

Rozwiązanie

Wszystkie te niezwykle zdarzenia opowiedziane w poprzednich rozdziałach rozegrały się bez wiedzy prasy, a wybitni dziennikarze dzień po dniu wypełniali swoje obowiązki, niczego się nie domyślając. Żądni sensacji wydawcy gorliwie poszukiwali w prowincjonalnej prasie interesujących wydarzeń, kiedy w pobliżu kryła się wielka tajemnica związana z sejfem Realea. Reporterzy uganiali się po całym Londynie, by zdobyć informacje o jakimś marnym wypadku autobusowym czy eksplozji gazu. Łatwo zatem sobie wyobrazić wzburzenie prasy wywołane ogłoszeniem podwójnego śledztwa w sprawie Speddinga i jego ofiary.

W związku z historią nieszczęsnego sejfu nie mniej jak dwunastu reporterów, trzech zastępców redaktorów, dwóch specjalistów kryminalnych i jeden wydawca zostało z miejsca i bez apelu zwolnionych z pełnionych przez siebie obowiązków. Sam „Megaphone” zwolnił pięciu współpracowników, trzeba tu jednak zaznaczyć, że szef tej gazety zwalniał więcej osób niż inni, czując obowiązek podtrzymywania swojej dobrej reputacji. Krzykliwie podawana treść, nagłówki tłustym drukiem, całe kolumny zadrukowanych szpalt opowiadały historię o milionach Realea, podstępny adwokacie, niezwyklej zagadce i Szajce Miejskiej. Zamieszczano podobizny Angela, Jimmyego i Kathleen Kent (szkicowane podczas

rozprawy w sali sądowej, kiepskiej więc jakości), plany domu Clapham i rysunki gmachu, w którym mieści się sejf.

Przez trzy dni, dopóki trwało śledztwo, Londyn, a zwłaszcza Fleet Street – siedziba wielu dzienników, rozkoszował się historią dziwaczного testamentu starego krupiera i tragicznymi następstwami, jakie ten dokument wywołał. Prokuratura wykazała się wielkim taktem i pominęła milczeniem awanturniczą przeszłość Jimmyego, krótko tylko przesłuchała Kathleen, natomiast badanie Angela trwało niemal pięć godzin, gdyż jemu przypadło zadanie szczegółowego opowiedzenia całej historii.

Zeznania Angela okazały się świetnym usprawiedliwieniem całej działalności Scotland Yardu. Należało wyjaśnić pewne nieścisłości, a pewne kwestie pominąć, na przykład pytanie: dlaczego nie podjęto oficjalnej akcji z chwilą stwierdzenia, że Spedding ma zbrodnicze zamiary? Angel z powodzeniem bronił twierdzy biurokracji, a kiedy po złożeniu zeznań wychodził z sali, pozostawił wrażenie, że Scotland Yard jest instytucją wszechwiedzącą i przewidującą, a lista jej zasług pomnożyła się właśnie o nowy świetny czyn.

Rozgorączkowanie prasy trwało trzy dni. Czwartego dnia znakomity lekarz, sir Wiliam Farran, na dorocznym zjeździe Związku Lekarzy Angielskich, w świetnym wykładzie zatytułowanym *O pierwszych przyczynach chorób*, wypowiedział niezłomne przekonanie, że wszelkie choroby cielesne spowodowane są noszeniem

obuwia. Wzburzenie wywołane ukazaniem się nawróconego przez niego lorda Mayora boso na długo upamiętniło się w dziejach angielskiej żurnalistyki. A przynajmniej wystarczyło do wyciszenia historii Realea, gdyż bezpośrednio po pojawieniu się pokaźnej figury szanownego członka Stowarzyszenia Szmuklerzy w stroju urzędowym i łańcuchu, lecz boso, prasa wszczęła namiętną dyskusję pod tytułem: *Buty i zbrodnia*, stawiając groźną zapowiedź rewolucji w dotychczasowym ładzie społecznym.

– Bill jest niezrównany – pisał Angel do Jimmyego. – Namawiałem go, by wystąpił z jakimś sensacyjnym twierdzeniem o bakteriach, ale odpowiedział mi, że już na wszystkie sposoby zajmował się pluskwami. W zamian podsunął hasło: „Precz z obuwem”.

Dwa tygodnie po rozprawie Jimmy pojechał do Streatham, by zgodnie z przyrzeczeniem wyjaśnić Kathleen tajemnicę kryptogramu. Miała to być jego ostatnia wizyta u dziewczyny, taki był jego stanowczy zamiar. Po odrzuceniu propozycji Kathleen, by po równo podzielili się majątkiem Realea, pozostała mu tylko jedna droga – i tę właśnie wybrał.

Oczekiwała go, siedząc przy kominku. W roztargnieniu przerzucała strony książki.

Jimmy przez chwilę milczał zakłopotany. Po raz pierwszy znalazł się z nią sam na sam, pomijając tamtą nocną jazdę, kiedy odwoził ją do Streatham. Czuł się więc trochę skrępowany, nie wiedząc od czego zacząć

rozmowę. Ostatecznie rozpoczął całkiem banalnie, mówiąc o pogodzie, a ona, nie będąc dłużna pod względem banalności, kazała podać herbatę.

– A teraz, panno Kent, muszę jeszcze wyjaśnić rozwiązanie kryptogramu starego Realea. – Wyjął z kieszeni kartkę pokrytą hieroglifami. – Rozumie się, że pomysł tego kryptogramu nasunął się Realeowi w Egipcie. Mieszkał tam dość długo, by w pewnym stopniu przyswoić sobie pismo obrazkowe tego kraju. I rzeczywiście, byliśmy idiotami, że nam to od razu nie przyszło do głowy. Oczywiście, nie mówię tu o pani – dodał szybko – lecz o Angelu, sobie, Connorze i wszystkich tych, którzy mieli do czynienia z Realem.

Dziewczyna popatrzyła na kartkę i uśmiechnęła się z powodu tego jego faux pas.

– W jaki sposób zaznajomił się z tym „profesorem” i co w ogóle się stało z tym biedakiem? – spytała.

– Angel umieścił go w jakimś zakładzie – odrzekł Jimmy. – Należy on do często spotykanego typu starych dziwaków. „Włóczęga w dziedzinie nauki” – tak nazwał go Angel, i wydaje mi się, że to trafne określenie. Człowiek zarzucający Ministerstwo Marynarki swoimi pianami okrętów wojennych, których nie można zatopić, taki „szalony geniusz” – znów określenie Angela – który dzięki akademickiemu wykształceniu i dobrej pamięci napisał całkiem rozsądną książeczkę, jaką równie dobrze mogło napisać pięciuset innych nauczycieli, jak profesor pojawił się w życiu Realea, tego się nie dowiemy.

Prawdopodobnie Realeowi wpadła w ręce książeczka profesora i dzięki niej trafił do autora, a polegając na jego niepoczytalności, uczynił go swym powiernikiem. Czy pani pamięta – mówił dalej Jimmy – jak swego czasu powiedziała pani, że te ryciny przypominają Biblię? Otóż miała pani rację. Niemal w każdym objaśnieniu do Biblii znajduje się tablica wyjaśniająca powstanie alfabetu. – Mówiąc to, wskazał palcem figury na kartce. – Oto egipskie hieroglify. Ręka oznaczająca literę „D” a tu dziwny hieratyczny flores, posiadający to samo znaczenie. Łatwo dostrzec, że litera fenicka niewiele się różni od hieroglifu, z greckiej „delty” zrobił się trójkąt, a ostatecznie powstało nasze „D”. – Szybko naszkicował parę znaków. – Wszystko to jest bardzo uczone – zaznaczył – i nie ma nic wspólnego z rozwiązaniem kryptogramu. Ale stary Reale wpatrywał się w te wszystkie osobliwe ptaki, zwierzęta i przedmioty, aż w końcu znalazł sześć liter: O, T, W, Ó, R, Z, które złożyły się na słowo, mające otworzyć sejf – „otwórz”.

– To bardzo interesujące – rzekła trochę oszołomiona.

– Tamtej nocy, kiedy panią uprowadzono – mówił Jimmy – odnaleźliśmy to słowo i na wszelki wypadek opróżniliśmy sejf. Z naszej strony był to czyn dość ryzykowny, ponieważ nie dała nam pani upoważnienia.

– Dobrze panowie zrobili – pochwaliła. Czuła, że powiedziała to bardzo zdawkowo, ale nie przyszło jej na myśl nic lepszego.

– I to wszystko – zakończył nagle, a potem spojrzał

na zegar.

– Przed wyjściem musi się pan napić herbaty – powiedziała pośpiesznie.

Usłyszeli dźwięk klaksonu, a Jimmy się uśmiechnął.

– Najnowsze odkrycie Angela – zażartował, nie wiedząc, czy błogosławić, czy przeklinać swego energicznego przyjaciela za przerwanie owego tete-a-tete.

– Och! – wykrzyknęła Kathleen.

Jimmyemu wydało się, że usłyszał w jej głosie nutkę zawodu.

– Angel ciągle eksperymentuje z coraz to nowymi dźwiękami – wyjaśnił. – Ktoś widział, jak bawił się klaksonem wydającym dźwięk podobny do ludzkiego głosu.

Odezwał się dzwonek, a w parę sekund później Angel wszedł do pokoju.

– Wpadłem tylko na kilka minut – rzucił wesoło. – Chciałem jeszcze się zobaczyć z Jimmym przed jego wielką podróżą, a ponieważ zostałem niespodziewanie odwołany z Londynu...

– Przed wielką podróżą? – powtórzyła powoli. – Pan wyjeżdża?

– Tak, wyjeżdża z kraju. – Angel udawał, że nie widzi gniewnego spojrzenia Jimmyego. – Sądziłem, że powiedział pani o tym.

– Ja... – zaczął Jimmy.

– Wyjeżdża do Konga Francuskiego polować na

słonie – paplał Angel. – Choć do tej pory jeszcze nie zdołałem zrozumieć, w czym te wielkie zwierzęta zawiniły.

– To nagła decyzja?

Zajęta nalewaniem herbaty, Kathleen stała odwrócona do nich plecami, Jimmy nie mógł więc widzieć, że jej ręka drżała.

– Rozlewa pani mleko – zauważył wścibski Angel. – Może pani pomóc?

– Nie, dziękuję – odparła chmurnie.

– Znakomita herbata – mówił dalej Angel, wcale nie zbity z tropu, w najlepsze popijając z filiżanki. Przybył w określonym celu i ku niemu właśnie zmierzał. – Jimmy, nad rzeką Sangar nie dostaniesz herbaty. Wiem o tym, ponieważ tam byłem, i nie wróciłbym tam, choćby chcieli mnie zrobić gubernatorem całej prowincji.

– Dlaczego? – spytała, na próżno usiłując przybrać ton obojętny.

– Proszę nie zważać na jego gadaninę – błagalnie odezwał się Jimmy i dodał złośliwie: – Widzi pani, Angel poluje na grubą zwierzynę i rad by się popisać przed panią dalekimi i niebezpiecznymi podróżami.

– To prawda – przyznał Angel zadowolony. – Niemniej obstaję przy tym, co powiedziałem o Kongu Francuskim. To zabójczy kraj, ziejący malarią. Znałem takich, co o czwartej skarżyli się na ból głowy, a o dziesiątej już nie żyli, o czym Jimmy dobrze wie.

– Mówi pan dziś same przygnębiające rzeczy –

zauważyła dziewczyna. Czuła się dziwnie osłabiona i próbowała sobie wmówić, że nie odzyskała jeszcze równowagi po niedawnych wstrząsających przeżyciach.

– Raz brałem udział w polowaniu nad rzeką Sangar – opowiadał Angel, w zamyśleniu wodząc oczami po suficie. – Wyruszyliśmy na polowanie, które zawsze jest tam niebezpieczne. Wiem o jednym wypadku, kiedy słoń zaatakował myśliwego i...

– Angel! – gniewnie przerwał Jimmy. – Może by pan zechciał te swoje wspomnienia zachować dla siebie?

Angel wstał i ze smutną miną odstawił filiżankę.

– Ach tak! – westchnął. – Ostatecznie, życie jest ciężarem i na jedno wyjdzie, czy się umrze w Kongu, czy gdziekolwiek indziej. Choć muszę przyznać, że to okropnie ponure miejsce do umierania. Bywaj zdrów, Jimmy.

– Spojrzał nie niego ze smutkiem i wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Niech pan nie będzie taki dziecinny! – poprosił Jimmy. – Napiszę do pana od czasu do czasu, a pan może wysyłać do mnie listy przez Sierra Leone.

– Grób białych ludzi – mruknął Angel, tak aby go usłyszano.

– I odpowiednio wcześniej zawiadomię pana, jeśli wrócę.

– Jeśli! – znacząco podkreślił Angel.

Lekko potrząsnął prawicą Jimmyego, z miną człowieka żegnającego się na zawsze. Następnie wyszedł

z pokoju, a żałosny gwizd jego klaksonu dochodził do nich jeszcze przez jakiś czas.

– Do diabła z nim! – rzucił Jimmy. – Z tą ponurą twarzą i przesądami...

– Dlaczego mi pan nie powiedział, że wyjeżdża? – spytała spokojnie. Stała przy kominku z lekko pochyloną głową, a zgrabną nóżkę oparła o gzyms kominka.

– Przybyłem, aby pani powiedzieć – próbował się tłumaczyć.

– Dlaczego pan wyjeżdża?

Jimmy odchrząknął.

– Ponieważ bardzo potrzebuję zmiany – odparł niemal szorstko.

– Znudzili się panu przyjaciele? – spytała, nie podnosząc oczu.

– Mam tak niewiele przyjaciół – mruknął gorzko. – Ludzie stąd, ci, którzy mnie znają, wiedzą.

– Wiedzą co? – Spojrzała na niego.

– Wiedzą, jakie było moje życie – odrzekł posępnie. – Od chwili wydalenia z Oksfordu do dnia odziedziczenia po wuju tytułów i posiadłości. Wiedzą, że wałęsałem się po świecie i nawiązywałem rozmaite znajomości. Wiedzą, że byłem jednym... – zawahał się, szukając odpowiedniego słowa – jednym z bandy, która obrabowała bank paszy Rahbata, że miałem duży udział w przedsiębiorstwie Realea... udział, z którego mnie ograbił, co zresztą nie jest teraz istotne, że przez całe życie stale się mijam z prawem.

– Na czyją korzyść? – wtrąciła.

– Bóg raczy wiedzieć. – W jego głosie pojawiło się znużenie. – W każdym razie nie na moją. Nigdy nie odczuwałem braku pieniędzy, o to postarał się mój wuj. Nigdy nie odwiedziłbym Realea, gdyby nie pragnienie wymierzenia sprawiedliwości. Jeśli pani sądzi, że kradłem dla zysku, myli się pani. Kradłem, ponieważ bawiło mnie ryzyko, podniecała bezustanna psychologiczna walka z bystrymi ludźmi, takimi jak ja. To ludzie w rodzaju Angela zrobili ze mnie złodzieja.

– A teraz? – chciała wiedzieć.

– A teraz... – wyprostował się – teraz skończyłem z dawnym życiem. Budzi ono we mnie wstręt. Po prostu sięgnąłem dna.

– Czy ta podróż do Afryki wynika z pańskiej potrzeby pokuty? – spytała. – Czy też pan wyjeżdża, aby zapomnieć... – Jej głos zniżył się niemal do szeptu, a oczy wpatrywały w płomień kominka.

– Zapomnieć o...? – powtórzył chropowatym tonem.

– Zapomnieć... o mnie? – wyszeptała.

– Tak – potwierdził – o pani właśnie pragnę zapomnieć.

– Dlaczego? – spytała, nie patrząc na niego.

– Dlatego... och, dlatego, że zbyt panią kocham, bym pragnął, by zniżyła się pani do mojego poziomu. Kocham panią bardziej, niż mi się wydawało, że można kochać kobietę... tak bardzo, że jestem szczęśliwy, wyrzekając się mojego najgorętszego życzenia. Myślę bowiem, że

znikając, wyświadczę pani największą przysługę. – Chwycił jej rękę i zatrzymał w swojej.

– Czy pan nie sądzi... – szepnęła tak cicho, że musiał się nad nią pochylić, by usłyszeć, co mówi. – Czy pan nie sądzi, że należałoby też zapytać mnie?

– Pani... pani! – wykrzyknął zdumiony. – Czyżby zechciała pani...

Spojrzała na niego z uśmiechem, a jej oczy promieniały ogromnym szczęściem.

– Zechciałabym, Jimmy. – Po raz pierwszy nazwała go po imieniu. – Chcę ciebie, ukochany.

Objął ją ramionami, a ich usta spotkały się w pocałunku.

Nie słyszeli dzwonka, ale usłyszeli pukanie do drzwi. Dziewczyna szybko wysunęła się z jego objęć i zajęła porządkowaniem nakryć do herbaty. Wtedy właśnie wszedł Angel. Spojrzał na Jimmyego, który w roztargnieniu bawił się łańcuszkiem zegarka, a potem na dziewczynę.

– Bardzo mi przykro, że znów przeszkadzam – tłumaczył – ale w tym małym urzędzie pocztowym na rogu ulicy otrzymałem depezę, że nie jestem potrzebny przy tej sprawie w Newcastle. Wobec tego wróciłem, by powiedzieć Jimmyemu, że chętnie spędzę z nim dzisiejszy wieczór. Trzeba oblać ten wyjazd, a raczej... urządzić stypę.

– Nie wyjeżdżam – oświadczył Jimmy, który odzyskał już spokój.

– Nie wyjeżdżasz – powtórzył Angel zdumiony.

– Nie – potwierdziła Kathleen, nie patrząc na niego. –

Namówiłam go, żeby został.

– Ach, rozumiem... – Mówiąc to, Angel schylił się, by podnieść dwie szpilki do włosów leżące na dywanie przed kominkiem.